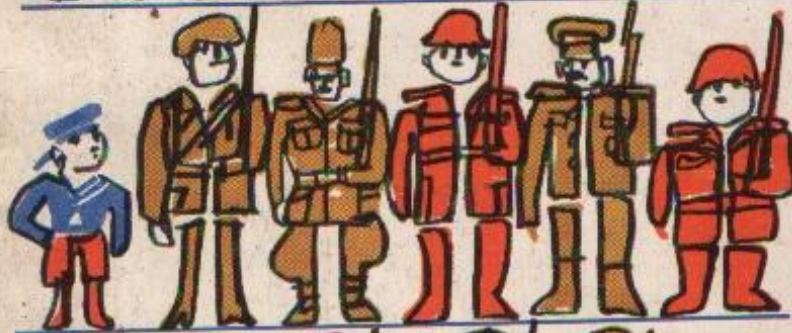


Młodość... miłość... artyleria!...



STANISŁAW ZIELIŃSKI

kielbie we łbie



Kiełbie we łbie

Stanisław Zieliński

Spis treści

Ciastko z kremem	3
Z piernika paż.....	26
Morał w szopie	47
Dorośli komplikują życie.....	60
Powrót na Ukrainę.....	77
Między Wisłą a Ługiem.....	99
Twarzą na południe	131

Ciastko z kremem

Ponad drogą Irpień płynie,
Za Irpieniem wał wzniesiony,
A za wałem oko ginie
I kijowskie słychać dzwony.
(Stara piosenka)

Pewnego dnia zamiast krzyknąć: „Już jestem, czy to mama wołała na obiad?”, kichnąłem przeraźliwie głośno. Babunia poruszyła się w fotelu. Spojrzawszy znad okularów, powiedziała surowo:

- Co za okropne dziecko, znowu kicha... W Kijowie o tej porze roku na pewno nie miałyby kataru.

O Kijowie mówiło się ciągle. Dorośli wracali tam przy każdej okazji. Kijowski miraż unosił się nad równinnym krajobrazem Warszawy. Wszystko dawało powód do porównań i do wspomnień.

Kijowianie odwiedzali nas często. Ich rozmowy kończyły się zwykle westchnieniem pełnym sentymentu. Przysłuchiwałem się, nie odczuwając ani tęsknoty, ani wzruszenia. Byłem mały. Kijowskie dzieciństwo wydawało mi się równie odległe jak czasy, w których rzeka Irpień wytyczała granicę Rzeczypospolitej. Kresowym przyjaźniom muszę oddać sprawiedliwość: trwały aż do śmierci.

Puszcząłem mimo uszu nazwy dzielnic, ulic, zaułków. Mówiąc o Kijowie dorośli mrużyli oczy. Próbowałem ich naśladować, lecz nic z tego nie wychodziło. A tak chciałem zobaczyć choć raz to, co z całą pewnością dostrzegali starsi.

Po południu słońce, chyląc się za kijowskie wzgórza, rozpałało zielone i złote kopuły. Cienie wież zsuwały się na Padół i na Dniepr, a piaski Truchanowskiej Wyspy nabierały złocistego blasku. O tej porze, gdzieś koło piątej, zaczynał się ruch na przystaniach. Jeden za drugim odzywały się parostatki,

zapowiadając rychły odjazd. Oto już rusza ogromny, biały „Sławianin”. Odpływa do Jekaterynosławia z tysiącem pątników wracających z Ławry. W chwilę później odbija „Nikołaj”, też biały i też bardzo duży. Mniejsze statki zwracają się dziobem w górę rzeki. Płyną do Czernihowa nad Desną, do Orszy, do Czarnobyla nad Prypecią.

Parowce zaorały Dniepr. Strome fale kołyszają łodziami, potrząsają bajdarkami, syczą na piaskach, uderzają w przycumowane u brzegu berlinki, pełne kawonów i smoleńskich antonówek. Na galarach targ trwa do zmroku. Wybredne gospodynie przebierają w jabłkach, próbują kawony. „Dobry kawon po naciśnięciu powinien zatrzęszczeć. Antonówki kupowało się na pudy, kawony na setki...”

To było dla mnie prawdziwe niemieckie kazanie. Pudy, wiorsty, dziesięciny i wiadra myliły mi się ciągle. Nie mogłem zrozumieć, po co tak dawniej komplikowano życie?

- Od tego przeliczania mogła głowa pęknąć... - powiedziałem kiedyś. - Z kilogramów na pudy, z kilometrów na wiorsty i mile. A jeszcze te arszyny i te jakieś wiadra...

- Co ty pleciesz? A któż tam przeliczał! Nic nie pamiętasz? Nic a nic?

Braku zainteresowania nie brano mi za złe. Czuję jednak, że moja obojętność wobec „spraw kijowskich” sprawia rodzicom przykrość. Nic na to nie mogłem poradzić. Oni byli jeszcze z Kijowa, a ja już z Warszawy. Spod kijowskiej panoramy, spod cebulastych kopuł i znad obcej rzeki uciekałem na róg do budki na kwas i po lizaki. Kupowałem tylko zielone. Zresztą za zielonymi przepadali wszyscy. Zieloną farbę robiono na arseniku - tak mówiono w domu - i dlatego o zielone cukierki zawsze wybuchała awantura. Z tego samego powodu nie malowano u nas na zielono wielkanocnych jajek.

- Proszę o zielony, o bardzo zielony - mówiłem grubym ze wzruszenia głosem do pani Brykowej z budki.

Ale potem, przy rozwijaniu lizaka z papierka, pociły się palce i mróz włożył za koszulę. Trzeba było nadrabiać miną.

- A jak się otruję? Ale będzie heca, o rany...

- Phi, oblizałem raz całego muchomora i nic mi nie było.

- Muchomor nie jest zielony...

Stłumiwszy niepokój, lizaliśmy na wyścigi. Dziewczynki cmokały cytrynowe, a lizaki czerwone cieszyły się powodzeniem wśród jędzowatych nianiek. Złe kobiety podtykały malinowe świnstwo tupiącym ze złości berbeciom.

- Liźnij, Lalunia, bo czerwone dobre.

Obrzydzenie brało. Każdy wiedział, że malinowe są z buraków i na sacharynie. Zielony lizak popijało się kwasem. Warszawski kwas chleбny, „choć nie umywał się nawet do kijowskiego”, smakował wyśmienicie. Po pierwszym łyku zapomniałem o Kijowie i o widoku z Włodzimierskiej Górki. Wracałem do domu z pustą głową i mogłem słuchać od początku.

Jedynym punktem zaczepienia dla moich uczuć, niestałych i chwiejnych, była forteca na Peczersku. Moja ścieżka w przeszłość prowadziła przez most nad fosą. W fortecznym gmachu, zwanym

Mikołajowską Bramą, przesiedział pięć lat mój dziadek za udział w Powstaniu. Peczersk wbił się w pamięć. Wiele lat później, kiedy po raz drugi znalazłem się w Kijowie (Kijów wydał mi się wtedy znajomy, przypominał Lwów), próbowałem odszukać ślady wiekowej warowni. Wszystko się jednak zmieniło. Nie było już ani kijowskiej cytadeli, ani mostu łańcuchowego na Dnieprze.

Most łańcuchowy, nawet przez Europę uznany za „jeden z najładniejszych” (model postano do Londynu i wystawiono w Pałacu Kryształowym), zbudował Anglik.

Włoch zaprojektował najpiękniejszy zabytek architektoniczny miasta - cerkiew św. Andrzeja (podczas remontu, gdy przyszło do wymiany spróchniałych belek na żelazo, spartolono główną kopułę i włoską cerkiew ubrano w ruską rzeźbę. Mimo licznych poprawek i gorliwej dźbaniny nie udało się nadać kopule dawnej smukłości i strzelistych kształtów), do której prowadziły piękne schody z lanego żelaza liczące pięćdziesiąt trzy stopnie. Z tarasu otaczającego cerkiew, jeśli spojrzeć w lewo, widziało się wzgórze Kisielówki. Stał tam niegdyś zamek wojewodów kijowskich.

Z polskich pieniędzy, z Krzemieńca i Wileńskiej Akademii, powstał kijowski uniwersytet. A cytadelę zafundował miastu car Mikołaj Pierwszy. Car własnoręcznie kreślił plany fortów i kazamat. Osobiście doglądał robót i dyrygował budowniczymi.

Czas pewien zaliczano Peczersk do pierwszorzędných twierdz Rosji, lecz groźne fortece starzeją się również i prędko schodzą na psy. Zdziadziła więc i kijowska. W latach dziewięćdziesiątych zesłała do roli „składu fortecznego”. W budynkach ulokowano fabrykę armat oraz oddziały artylerii i saperów. Przy bramie, zgodnie z carską modą, wystawiono na widok publiczny „zastużone pontony”. Na tych pontonach wojska rosyjskie, idąc przeciw Turkom, forsowały Dunaj w roku 1877. Z obronnej świetności pozostały cytadeli głęboka fosa, zarośnięta trawą i zwodzony most.

Pewnie istniały jeszcze inne drogi z fortecy do miasta. Byłem jednak pewien, że dziadek opuścił cytadelę przez zwodzony most. Uwolnienie nastąpiło w okolicznościach dopasowanych ściśle do miejsca i zgodnych z duchem czasów. Niespodziewanie przybył na Peczersk brat cesarza. Podczas inspekcji lochów i kazamat natrafił wielki książe na „kamienny worek”. Tak nazywano celę bez okna, ciasną, z sufitem na wysokości ramion dorosłego mężczyzny. W kamiennym worku spędził dziad osiemnaście miesięcy. Była to dodatkowa kara za próbę buntu.

Dostojny gość przekreślił wszystko jednym słowem. Kazał wypuścić. Pański rozkaz natychmiast wykonano. Nieprzytomnego więźnia wypchnięto poza mury. Oślepiiony słońcem, ścięty z nóg powiewem świeżego powietrza, więzień zatoczył się i upadł. Wielki książe kazał zwolnić, nie kazał czynić więcej. Gdy wartownicy zatrzasnęli bramę, nad leżącym zebrali się przechodnie. Potem nadjechał furgon z chlebem. Piekarz wziął dziadka na wóz i zawiózł do miasta. Ot, tak, z dobrego serca.

Dalej potoczyło się wszystko normalnym trybem. Paszport ze stemplem „bywszyj miatdeżnik” wytyczał kierunek na wschód. Kiedy upłynął przewidziany czas i stał się możliwy powrót do „zachodnich prowincji”, wrócił dziad na Ukrainę. Nad Salichą, pod Borodianką, Koszowatą, w okolicach Berdyczowa kryły się po lasach samotne kurhany, mogiły powstańców z roku 1863. Na trakcie między Płoskirowem a Kamieńcem sterczały jeszcze opłotki osad, których mieszkańców wysiedlono na Sybir ukazem carskim wymierzającym kary za Powstanie. Przez kraj pełen wspomnień ciągnęła rodzina dziadka w okolice Kijowa. Po trzech latach progimnazjum w Głuchowie i po roku w

Sumach trzeba było pomyśleć o jakiejś porządnej szkole dla mego ojca. Wybrano kijowskie Pierwsze Gimnazjum.

W tych ciągłych przeprowadzkach, wśród codziennych kłopotów i trosk zagubiła się cała powstańcza historia. Co było przed Peczerskiem? - pytałem często. Spodziewałem się opisów bitew i potyczek. Chciałem usłyszeć tętent idących cwałem koni. Chciałem zobaczyć błysk powstańczej szabli. Każdy miał chyba taki okres w życiu, że blask dobytej szabli uznawał za blask najbardziej jasny.

Opowiadano mi same nudne rzeczy. Z zawiedzioną miną słuchałem o jazdach z powiatu do powiatu, o łączności, jaką „partia” Popowskiego (pod Popowskim służył dziadek), działająca w berdyczowskim powiecie, utrzymywała z oddziałami w innych okolicach. W połowie 1863, zdaje się, że w czerwcu, partię rozbito. Z pewnością wiedziała kiedyś babunia, lecz wiek zrobił swoje, zdążyła zapomnieć i ona. Dziadek spisał wspomnienia. Papier był dobry i schowanie pewne, a mimo to diabli pamiętniki wzięli. Zabrała je carska żandarmeria podczas rewizji w 1912 roku.. Przyszli wtedy po ojca. „Ciągłe ktoś kradnie nasze pamiętniki albo przychodzą takie czasy, że sami musimy niszczyć papiery” - tak kwitowano w domu stratę rozdziału rodzinnej historii.

Dziadek doczekał się obalenia caratu. Szedł w pierwszym szeregu rewolucyjnego pochodu wiosną 1917. Doczekał się również wolnej Polski, ale do Polski już nie dojechał. Wśród nielicznych pamiątek, jakie z Kijowa przywieźliśmy do Warszawy, na pierwszym miejscu figurował szeroki pas z prostą, ręcznie kutą klamrą. Uznałem od razu, że jest to pas powstańczy, najprawdziwszy w świecie.

- Patrzcie - mówiłem kolegom wpatrzonym w pamiątkę - tu ślady po rapciach, a tam, z drugiej strony, ślad po rewolwerze.

Pas robił wrażenie. Takich pasów nie sprzedają w sklepach. To nie fasowany rzemień. Pokazywałem pamiątkę od wielkiego święta. Za każdym razem powstawał spór, czy szablę nosi się przy prawym, czy przy lewym boku. Z tego powodu chłopcy po kolei okręcali się pasem, żeby przekonać się namacalnie, gdzie szabli właściwe miejsce. Którejś niedzieli, kiedy bawiliśmy się w ogródku, przyszedł mały Kuna. Wytrzeszczył oczy i powiedział z głupawym uśmiechem:

- Tu plama i tam plama.

Poczułem, że to się źle skończy. Mały Kuna miał tego dnia wyjątkowo bezczelną gębę.

- To jest pas z Powstania! - krzyknął Tadzik drżącym głosem.

- Na teczce tatusia też są tłuste plamy z masła.

Tego mieli już wszyscy dosyć. Mały Kuna dostał w ucho i nic mu się więcej nie pokazywało. Wkrótce pokazywanie pasa skończyło się w ogóle. Straciłem serce do pamiątki. Na pytania kolegów odpowiadałem tajemniczo:

- Oddało się do muzeum, bo będzie wielka wystawa.

W rzeczywistości sprawa wyglądała znacznie smutniej. Po awanturze, jaką wywołał mały Kuna (wrzeszczał pod oknem, jakby mu ktoś nasikał do ucha), zabroniono mi „kłamstw i cygaństw kosztem ś.p. dziadka”. Musiałem pogodzić się z faktem, że pas pochodzi z czasów późniejszych i z przeszłością powstańczą nic nie ma wspólnego. Cała wartość pamiątki sprowadzała się do żelaznej klamry,

wykonanej własnoręcznie przez dziadka. „Powstańczy pas” powędrował do szuflady w biurku. Przeleżał tam aż do następnego powstania, do Powstania Warszawskiego.

Pozbawiony oparcia, bo zarówno rzeczy, jak opisów, zostałem skazany na własną wyobraźnię. Brak wiadomości o działaniach partii Popowskiego psuł mi szyki, a służba łączności dawała kiepskie pole do popisu. Jak wyglądało „jeżdżenie z powiatu do powiatu”? Nie miałem o tym zielonego pojęcia. Ale bardzo lubiłem dziadka, choć znałem krótko. Nie mogłem zostawić staruszka ot tak, bez niczego...

- Galopuje dziadek z powiatu do powiatu w bardzo ważnej sprawie, aż tu nagle rosyjski generał nadjeżdża z przeciwka. Dziadek nic, ani słówka. Pamięta, że ma do spełnienia tajne polecenie, więc choć ręka świerzbi, pary z ust nie puszcza. Ale generał pcha swoją szkapę na wierzchowca dziadka i woła: „Z drogi, widzisz ty, kto jedzie?” W dziadka jakby piorun strzelił. Dał koniowi ostrogę, a generalinie w pysk. Generał jęknął: „Hospody!”, upuścił nahajkę i fajt z konia w piach. Nadleciał ordynans, wziął pana za cholewy i pociągnął po trakcie do żydowskiej karczmy. Tam z onucy namoczonej w kwaśnym mleku zrobiono generałowi okład i dano do picia lipowy kwiat na poty. A tymczasem dziadek, przez pola i lasy, galopował z powiatu do powiatu w ważnej tajnej misji. Naturalnie ścigali dziadka dragoni, huzarzy i sfera Kozaków.

- I co, złapali?

- Innym razem. A generał, choć się spodziewał medalu i snił o nagrodzie w rublach, poszedł na emeryturę. Podczas parady car, zobaczywszy napuchniętą głowę, raczył się spytać, dlaczego generał ma śliwkę pod okiem. „Co takiego? Pił lipowy kwiat? Ach, paszoł won!” - car krzyknął i przez fligeladiutanta posłał generałowi kopniaka. Generał zawył i na zawsze znikł sprzed Najwyższych Oczu.

Scena generalska cieszyła się wielkim powodzeniem wśród moich kolegów. Chłopcy wołali pod oknem:

- Chodź się bawić... Pogadamy o tym generale, co dostał po mordzie. Weź wszystkie pułki i dużą armatkę.

- Ciszej... - upominałem dając ostrzegawcze znaki. - U nas w domu nie lubią się chwalić.

Pakowałem do kieszeni ołowiane wojsko i z przyjacielem od serca biegłem do ogródka pod czarne porzeczki. Krzaki pachniały pluskwami.

- Ale fajnie śmierdzi! Czujesz?

- Klawy smród. W żadnym ogródku takiego nie ma.

- Pewnie, czarne porzeczki to smrodynie.

Ustawialiśmy jazdę i piechurów, sypaliśmy szańce, ryliśmy okopy. A potem na zmianę strzelaliśmy z armatki, do której były tekturowe ładunki z odrobiną prochu i króciutkim lontem. Scena z generałem i pościg Kozaków za dziadkiem zamieniały się w wielką bitwę z udziałem artylerii i wojsk kolonialnych. Mam nadzieję, że staruszek, oglądając z nieba ogródkowe wojny, uśmiechał się pobłaźliwie i wybaczał drobne nieścisłości historyczne. Gdy zwycięstwo zaczynało się chylić na stronę rosyjską, sięgałem po ostatnią rezerwę.

- Bardzo dziadka przepraszam - mówiłem cicho - ale muszę Indian wyjąć z pudełka. Bez Indian nie damy rady.

Indianie wypadali z zasadzki i na drobną kaszkę rąbali huzarów razem z Kozakami. Wszystko kończyło się dobrze. Na listę powstańczych przewag wpisywałem jeszcze jedno, ciężko wywalczone zwycięstwo. Indianie, jako przyzwoici ludzie, trzymali zawsze z powstańcami.

Znudziły się bitwy pod smrodyniami. Przyszła moda na strzelanie z łuku i inne zabawy. A w domu kijowskie wspomnienia bębniły w moją łepetynę z uporem jesiennego deszczu. Uwierzyłem w końcu, że pamiętam, bo widziałem na własne oczy. Obudziłem się z tym, tak jak dorośli budzą się z bólem głowy. Bez zmruczenia oczu dostrzegałem to, co dawniej widzieli tylko starsi. Razem z rodzicami wchodziłem na Włodzimierską Górkę i patrzyłem na wezbrany Dniepr. Wiosenne wody sięgały aż po atramentową smugę czernihowskich lasów. Przybór pochłaniał równiny. Rzeka płynęła szeroko jak morze. Nad wodę wystawały tylko wzniesienia i budynki Truchanowskiej Wyspy.

Uwierzywszy, zacząłem się wtrącać. Kiedy w rozmowie padało słowo „kontrakty”, paplałem bez namysłu:

- Wiem, wiem, pamiętam. To taki wielki jarmark. Odbywał się w Kijowie raz do roku, w lutym. Na kontrakty zjeżdżali się ziemianie i kupcy, a dorośli kupowali w „domu kontraktowym” słynne pierniki tulskie albo wiaziemskie, bardzo lubiane przez dzieci. Pierniki tulskie wcale nie były z Tuły ani wiaziemskie z Wiaźmy. Jedne i drugie wyrabiano na przedmieściach Kijowa. A w ogóle pierniki nie były piernikami, bo kijowskie pierniki to suche ciasteczka przekładane konfiturami lub marmoladą...

- Okazuje się, że z jego pamięcią nie jest aż tak źle... - powiedział na to mój cioteczny brat. - Słyszysz ciocia, co on plecie? Ani się zająknie.

- A pewnie! Tylko tobie się zdaje, że w domu rośnie skończony jołop! Wiem, pamiętam! Wszystko pamiętam, nawet słynne kijowskie „suche konfitury”, wyrabiane przez firmy Bałabuchów i Riaboszapków. Smakowały wyśmienicie, ale były piekielnie drogie. Słone konfitury, tak je nazywano, bo funt kosztował...

- Bezczelność - mruknął kuzyn.

- A czekolada Semadeniego albo Georges'a... A wyroby fabryki „Jefimow”...

- I co jeszcze?

- Buba, nie kop! - krzyknąłem na wszelki wypadek i obrażony wyszedłem z domu.

Nawet nie zdążyłem powiedzieć, że na wiosną, gdy woda zalewała dzielnicę Obołonię, w „domu kontraktowym” chronili się powodzianie. Mieszkali tam nieraz po parę tygodni, bo Dniepr jak przybrał, to nie puszczał łatwo.

Na końcu uliczki od strony ogródków, za pudłem nowego śmietnika, zastałem całą naszą paczkę. Chłopcy siedzieli w kucki i słuchali grubasa, na którego wołało się „Bułka”. Bułka opowiadał, że widział straż jadącą do wielkiego pożaru po drugiej stronie lotniska. Gadał, gadał, nie mogłem doczekać się końca. Kiedy Bułkę na chwilę zatkało, wyrzuciłem jednym tchem:

- Phi, w Kijowie to była dopiero straż! Każdy cyrkuł miał konie innej maści. Najszybsze konie miała ochotnicza straż. Mówię wam, jak ochotnicza gnała do pożaru, to ogień leciał spod kopyt, przechodniom fruwały kapelusze i dudniła ziemia. Taki wiatr robiła ochotnicza, tak prędko jechała! A za strażą biegli ludzie, wołali: „Dawaj, dawaj!...” Na dobry pożar zbiegało się pół miasta.

Bułka strzyknął przez zęby. Celował w moje buciki, ale coś mu nie wyszło i opluł sobie brodę. Zacząłem się śmiać, bo to wstyd, żeby taki duży chłopiec nie potrafił komuś opluć butów. Bułka rozzłościł się i do mnie:

- Gdzie to było? Gdzieś ty widział fruwanie kapeluszy i te śmigłe konie?

- Jak to gdzie? U nas, w Kijowie.

- Ty nie bądź taki ataman, bo się obudzisz z ręką w nocniku.

- Bułka srułka! Wszystko kłamstwo! Cały dzień patrzyłem na samoloty, za lotniskiem nic się nie dymiło. Ani ognia, ani straży!

- Zaraz zobaczysz dym. Czeka, ty!

Szczerze mówiąc, nie było na co czekać. Wróciłem do domu z rozbitym nosem, nadgryzionym uchem i oberwanym kołnierzem. W drzwiach spotkałem się z mamą. Na odwrót i włożenie oknem było już za późno. Mama załamała ręce.

- Znowu? Z kim?

- Z nikim. Szedłem spokojnie uliczką, aż tu raptem zza śmietnika wyskoczył jakiś obcy, duży chłopiec i popchnął mnie obcasem w nos.

- Popchnął w nos? Obcasem?

- Mówiłem mamie, że bardzo duży chłopiec. Musiał przyjechać specjalnie, bo na Kolonii takich dużych chłopców nikt dotąd nie widział.

- O co poszło?

Najgorsze są te tłumaczenia. Wolę dwa rozbite nosy niż jedno opowiadanie o jednym lekko rozkwaszonym nosie. Trzeba na poczekaniu, kiedy boli i bardzo chce się płakać, zmyślać bajkę dla dorosłych z początkiem i końcem. Nos piekł coraz mocniej. Czułem się tak, jakbym zamiast chustki użył rozpalonej fajerki. Bułka pluje gorzej od baby, ale jak mu wyjdzie „fanga”, to człowiek siada, choćby stał goły w pokrzywach.

Wysiliłem się jednak na uśmiech i odpowiedziałem mamie, że poszło o Kijów.

Mama zrobiła wielkie oczy, machnęła ręką i tylko westchnęła.

- O Kijów, mój Boże... Cóż wam przychodzi do głowy? Kijów tak daleko...

Do Kijowa było dalej niż do Ameryki. Miasto, w którym „tyle cerkwi, co w Rzymie kościołów”, znalazło się nagle poza granicami naszego świata. Listy stamtąd przychodziły rzadko i nieregularnie. Pamiętam bibulasty papier, wodnisty atrament i kosmate koperty, z byle jakim klejem. Filateliści dobijali się

o znaczki. Za jednego „krasnoarmiejca w pikelhaubie” dawali bez wahania dwie „żyrafy” i jedną markę z tapirem.

Z początku mieszkaliśmy na Proreznej, w wysokim domu tuż przy Kreszczatyku, obok poczty głównej. Tam nas złapało styczniowe bombardowanie miasta w roku 1918. Wojska „samostijnej” Ukrainy poniosły klęskę pod Krutami na Czernihowszczyźnie. Bolszewicy podeszli od strony Darnicy i zza Dniepru walnęli po Kijowie ze swoich baterii. Pojedynek artyleryjski trwał trzy dni. Dygotały mury, drżała ziemia. Wibrowało powietrze, wstrząsane podmuchem wystrzałów i wybuchów. Podczas największego nasilenia ognia, kiedy świst przelatujących nad domem pocisków stawał się już nie do wytrzymania, znoszono mnie do „podwałów” pod sklepem Gerszmana. Razem z innymi mieszkańcami kamienicy przeczekiwaliśmy huraganowy ogień czerwonej artylerii.

Podobno zachowywałem się spokojnie. Uśmiechałem się do otaczających mnie ludzi i beztrąsko bawiłem się rudą brodą starego Żyda.

- Na „bombardierkę” bardzo dobre dziecko. Ono się śmieje, choć tutaj nie ma nic śmiesznego. Nie płacze, to także bardzo dobrze. Ja nie mam nic przeciwko temu, że jemu podoba się moja broda. Niech się bawi.

Pociski padały gęsto. Żaden nie trafił w dom. Wysłała cała także główna poczta. Tylko jeden pocisk pacnął tuż przy okienku naszej sutereny. Bluznęło śniegiem, błotem. W piwnicy pociemniało. Ktoś krzyknął: „Niewybuch!” i ludzie odetchnęli.

- Ja czuję, że to się wszystko dobrze skończy - powiedział właściciel pięknej brody.

Na ulicy hurkotały armaty i jaszczyki. Ukraińskie baterie, uciekające spod bolszewickich salw, zmieniały co chwila stanowiska.

Trzeciego dnia nad hukiem dział wziętą górę jazgot kulomiotów. Czerwona piechota ruszyła przez zamrznięty Dniepr. Pod ogniem ukraińskich maszynek oddziały pułkownika Murawiewa sforsowały rzekę i wdali się do miasta. Centralna Rada dała drapaką gdzieś pod Korosteń i Żytomierz. Skończyła się *‘samostijnost’*. Flagi niebiesko-żółte znikły z gmachów. Na placu Kreszczatyckim, nad ratuszem, w podmuchach lodowatego wiatru łopotał czerwony sztandar bolszewików.

W wysokim domu zostaliśmy do lata. Nowe mieszkanie mieściło się na Łukjanówce. Ulica nazywała się Dorohożycka i tuż za naszym domem przechodziła w drogę biegnącą polami do Syrca. Oficynę od podwórza zajmował piekarz. Okna pokoju wychodziły na dziedziniec koszar Tyraspolskich.

Z przeciwnej strony widać było Lasek Kiryłowski, otaczający zabudowania szpitala dla obłąkanych. Tuż obok szpitala zaczynał się Babi Jar, opadający stromo ku Dnieprowi. W wiele lat później, podczas następnej wojny, jar nabrał ponurej sławy. Hitlerowcy rozstrzelali tam mieszkańców miasta i okolicznych wsi. Daleko do miasta, blisko na cmentarz, ale na cmentarz żydowski, więc wygodna żadna. Może tam, na Dorohożyckiej, było coś jeszcze godnego uwagi, ale albo zapomniano mi o tym powiedzieć, albo ja zapomniałem zapamiętać. Szczerze mówiąc, nawet tego piekarza nie mogę sobie przypomnieć. Pamiętam zapach świeżego chleba.

Kiedy teraz o latach tych myślę, nabieram pewności, że bliskie sąsiedztwo koszar i szpitala dla wariatów musiało wywrzeć jakiś wpływ. Jaki? - nie wiem. Przekonałem się jednak, że odciski na mózgu przypominają się w odpowiednim momencie równie natrętnie, jak zwykłe odciski podczas forsownego marszu.

To, co się działo w Kijowie, mogło zaprowadzić do „czubków” zupełnie normalnego człowieka. Robiły się ludziom takie odciski na mózgu, że kapelusz nie wchodził na głowę. Coraz to nowa władza sięgała po miasto. Przy akompaniamencie dział i kulomiotów zmieniały się flagi nad ratuszem. Zmieniały się pieniądze i coraz innych ludzi wieziono na śledztwo. Nowa władza od razu brała się za przeciwników.

Po bolszewikach wróciła Ukraina, ale już trochę inna, z hetmanem Skoropadskim i z Niemcami. Na ulicach pojawiły się kolumny piechoty w stalowych hełmach. Niemcy maszerowali jak maszyna. Pod ich ciężkim krokiem ugiął się kijowski bruk. Pocieszano się, że to bawarskie pułki, a Bawarczycy, jak wiadomo, lubią dzieci i bardzo grzeczni są dla kobiet. Okazało się wnet, że Niemcy lubili wszystko, co im w oko wpadło. Ładowali na wagony pszenicę, bydło i nawet czarnoziem. Transport za transportem odjeżdżał z Ukrainy do Niemiec. Karne ekspedycje krążyły po wsiach i ściągaly „kontyngenty”. Wreszcie bolszewik Doncew zabił generała Eichhorna, dowódcę niemieckiej armii. Alianci kazali Niemcom opuścić „spichlerz Europy”. Zdyscyplinowane pułki zaczęły ładować się na eszelony.

Odeszli Niemcy, zabierając swego hetmana. Przyszli do Kijowa *hałyczanie* i *siczowi strilci* atamana Petlury. Stara Francuzka, którą rewolucja pozbawiła posady nauczycielki we dworze, nabawiła się wiecznej migreny z powodu tych nieustannych zmian.

- Je me couche - les bolcheviques. Je me lève - Petroulala. Je me couche - Petroulala, je me lève - les bolcheviques!

Francuzica trzęsła głową i uparcie nazywała Petlurę po swojemu: Petrulalą. Starła się zrozumieć, ale potapanie się w kijowskich wydarzeniach przekraczało jej zachodnioeuropejskie możliwości. Narzekała więc coraz częściej na ból głowy i wkrótce dostała zupełnego kręćka.

Mamai ja mieliśmy poważniejsze zmartwienie. Ojciec w „sprawach polskich” wyjechał do Odessy. Tymczasem działania wojenne odcięły Kijów od południa. Przestały kursować pociągi, urwała się korespondencja. Siedzieliśmy w Kijowie, nie mając żadnej wiadomości. W okresie niepokoju jedyną pociechę stanowiły listy nadchodzące we śnie. Przychodziły bardzo rzadko. Ich odczytywanie pochłaniało wiele energii i rujnowało nerwy matki. Każdy, kto choć raz otrzymał list we śnie, wie doskonale, ile nad takim listem trzeba się namęczyć! Ile wysiłku trzeba włożyć w odcyfrowanie kilku słów z gęsto zapisanej kartki! - Wiadomości sennej poczty brzmiały uspokajająco, choć na pierwszy rzut oka wydawały się nieprawdopodobne. Czekaliśmy długo na ich potwierdzenie. W parę miesięcy po „śnie z listem” zastukał do nas pociotek mamy, który z Odessy przedostał się do Kijowa.

- Widziałem się z twoim mężem. Wyjechał...

- Do Paryża - dopowiedziała mama.

Krewniak uniósł brwi. Chciał pewnie spytać, skąd już o tym wiemy, ale po krótkim wahaniu dał spokój i tylko pokiwał głową. Ludzie przestali bawić się w zdziwionych. Wszystko było możliwe. Wszystko mogło się zdarzyć.

Gość opowiedział o spotkaniu z ojcem, opisał okoliczności towarzyszące wyjazdowi ojca z Odessy, powtórzył, co miał do powtórzenia, i wyniósł się przed zapadnięciem zmroku. O szarówce życie przechodnia kalkulowało się w granicach wartości jego butów. Ale i w podartych kapciach można było raz dwa przejechać się do Bozi.

Wielu utraciło wiarę i zniechęciwszy się do świata, szukało ratunku w „konkrete”. Zabicie nieznanego przechodnia, pozbawienie go życia bez przetrząsania kieszeni lub obdarcia z ubrania było z pewnością konkretem. Konkrete wypełniał pustkę i nieszczęśliwców zmęczonych poszukiwaniem „prawdy” wciągał znów w ludzkie, powszednie sprawy. O tym pamiętając, krewniak wracał do miasta, dobrze wyciągając nogi. Oglądał się na wszystkie strony i ostrożnie obchodził każde skrzyżowanie. Kiedy znikł z oczu, wróciliśmy do naszego zmartwienia, nie wiedząc, czy cieszyć się, czy płakać. Słaba pociecha z ojca bawiącego w dalekim Paryżu, lecz z drugiej strony czasy z dnia na dzień stawały się coraz bardziej wariackie. Wariackie i niebezpieczne.

Głuche dudnienie armat grających pod Kijowem poprzedziło wkroczenie atamana Petlury. Odezwy hetmana Skoropadskiego wzywały pod broń młodych i starych. Zanościło się na zacięty opór hetmańskiej załogi i długie oblężenie. I oto całkiem nagle zobaczono automobil z białą flagą. Samochód przemknął ulicami i popędził w kierunku, z którego nadchodził ataman. Miasto skapitulowało bez jednego strzału.

Petlura wszedł z cudownym obrazem Matki Boskiej. Odświętnie ubrane Ukrainki niosły ikony i śpiewały pieśni. Za babami człapała kawaleria, za jazdą wlokła się piechota, na końcu jechały małe, lecz hałaśliwe armatki. Wkroczenie przypominało trochę procesję, trochę jarmark.

W kilka tygodni później petlurowcy rzucili się do ucieczki. Obrabowawszy banki i sklepy jubilerskie, wynieśli się z Kijowa. Ogłosili, że „Złotego Kijowa” nie chcą narażać na jeszcze jedno bombardowanie. Piątego lutego 1919, o piątej po południu, wkroczyli znowu bolszewicy. Pół roku Kijów był w ich rękach, ale nie przyszedł jeszcze kres wojennych zmian. W sierpniu, pod naciskiem denikinowskiej ofensywy, Armia Czerwona oddała Kijów w ręce „białych”.

Razem z denikinowską „Ochotniczą Armią” zjawili się petlurowcy. „Dobrowolcy” szli od strony Peczerska. W tym samym czasie Petlura zajmował stację kolejową. Ukraińcy uwinęli się prędkiej, pierwsi wpadli na ratusz i pod złotą figurą Michała Archanioła zatknęli swoją flagę. W kilka minut potem przybiegli „dobrowolcy” i obok dwubarwnej zawiesili trójkolorową flagę carską. Przykładna zgoda trwała krótko. W parę godzin później „biali” rzucili się na petlurowców, zerwali flagę i przepędzili z miasta ukraińskie wojska. Rozżalony Petlura walnął na odchodnym ze wszystkich dział. Salwa, choć nie wyrządziła szkody, napędziła porządnego stracha, bo huk był piekielny.

W Kijowie zostali „biali”. Od razu zaczęło się wesołe życie. Ochotnicza armia pieniędzy miała w bród i znała się na spekulacji. Oficerowie handlowali, czym się tylko dało. Otwierano lokal za lokalem. Zawodziły cygańskie kapele, z rozkosznym brzękiem przyskały rozbijane lustra, szampan i wódka płynęły strugą szeroką niby Dniepr. Bawili się denikinowcy jak za najlepszych czasów. A nawet lepiej, bo tylu caféchantanów nie było w Kijowie za żadnego cara. Jednocześnie działała „kontr-razwiedka”. Specjaliści w tropieniu wrogów „dawnego porządku” brali na śledztwo każdego, kogo podejrzewali o pieniądze. Dorabiali się na życiu ludzkim równie skutecznie jak ci, co robili fortuny na „zarekwirowanym” cukrze lub zdobytym w podobny sposób spirytusie.

A bolszewicy zapadli w błotniste brzegi Irpienia. Czekali na sposobność, czekali zimy. Wisieli nad rozbawionym miastem, zbierając siły do natarcia.

U nas, na Dorohożyckiej, działa się po staremu. Wieczorem przy „kopciće” haftowanie modnych kolorowych kwiatów na pociętych na części obrusach i prześcieradłach. Wieś żądała chustek w jaskrawe wzory. Rano zbieranie chrustu w Lasku Kiryłowskim. Potem wędrowka na targ, na który zjeżdżali się okoliczni chłopi na zamienny handel. Jesień 1919 roku była wyjątkowo ładna i długa. Prawie do zmroku bawiłem się poza domem.

„Dobrowolcy” siedzieli w Kijowie jak pies na płocie. W pierwszych dnia października bolszewicy zajęli nagle lotnisko Swiatoszyn. Wkrótce czerwona bateria zaczęła ostrzeliwać miasto. Natarcie szło przez Łukjanówkę. Przed naszym domem denikinowcy ustawili kulomiot i bili wzdłuż ulicy. Postrzelawszy trochę, cofnęli się prędko do miasta.

O zmroku uzbrojone postacie zjawiły się w mieszkaniu. Byli to Już bolszewicy. Zapaliwszy świece, starannie oglądali ściany: szukali „carskich portretów”. Nie znaleźli, zaczęli więc się zbierać do dalszego marszu. Raptem któremuś z krasnoarmiejców wpadła w oko podbita futrem kurtka naszego sąsiada. Zima na karku, noce chłodne... Żołnierz, nie namyślając się wiele, wziął kurtę pod pachę i wyszedł bez słowa. Sąsiad, człowiek starszy i dobroduszny, lecz mocno jednocześnie uparty, pobiegł za żołnierzem. Nic nie wyszło jednak z targów ani z prób „zamiany” (sąsiad, żeby odzyskać kurtę, oddawał palto i coś jeszcze). Wtedy zwrócił się do dowódcy. Reszta mieszkańców domu aż przysiadła z wrażenia. Byli pewni, że zaraz usłyszą pojedynczy strzał. Czerwony oficer spojrzał aa sąsiada, obejrzał kurtę i kazał przyodziewek oddać właścicielowi. To było coś całkiem nowego. Żadne wojsko nikomu dotąd nic nie oddało.

Oddziałek bolszewicki poszedł w kierunku śródmieścia. Karabinowa stukanina trwała aż do rana. Milczały jednak armaty i tylko z rzadka gdzieś daleko terkotał samotny kulomiot. „Dobrowolcy” uciekli! Liczna i dobrze uzbrojona załoga dała drapaką na samą wiadomość o pojawieniu się „czerwonych”. Bolszewicy trzymali się trzy dni. Wyparł ich równie słaby oddział „wołczańskich”, jak mówiono, białych partyzantów. Za partyzantami ściągnęła do Kijowa reszta wojsk „kijowskiej grupy” pod generałem Bredowem. Trójkolorowa flaga wróciła na ratusz, na Kreszczatyku grzmiały dawne carskie marsze, lecz w trwałość denikinowskiej władzy nie wierzył już nikt, ani ludność wiejska, ani mieszkańcy Kijowa, ani oficerowie „Ochotniczej Armii”. Ci ostatni nie wierzyli w ogóle w nic. Nawet w następnym dniu. Starali się przepić wszystko w ciągu jednej nocy.

Naprzeciw nas, w pogimnazjalnym budynku, zakwaterował się jakiś denikinowski oddziałek. Mówiono, że to „partyzanci Strukowa”. O wszystkim i o wszystkich „mówiono”, bo na pewno nikt nic nie wiedział. „Strukowcy” dali się wkrótce poznać jako bezwzględni wrogowie Żydów. Zaciągali Żydów do koszar i tam, nie bawiąc się w żadne śledztwa, rozstrzeliwali na podwórzu. Prawdziwy pogrom zobaczyliśmy w kilka dni po powrocie „białych”. Dorohożycką, kierując się w stronę Irpienia, przeciągała denikinowska bateria. Artylerzyści zatrzymali się o parę domów od nas, żeby napić konie. Wtedy podeszła do żołnierzy „żona muzykanta wojskowego”, niejaka Łabuńska, i doniosła:

- O, tam mieszkają Żydzi - powiedziała wskazując okna pierwszego piętra.

O tych Żydach wiedzieli wszyscy dokoła. Uciekli oni z Płoskirowa przed wielkim pogromem urządzonym przez petlurowców, Na Dorohożyckiej zajęli się wypiekiem chleba, który, choć trochę droższy, cieszył się dużym powodzeniem, bo był z lepszej mąki.

Oficer jakby tylko na to czekał. Krzyknął na żołnierzy i wydał rozkazy. Ospali, o śmiertelnie znużonych twarzach artylerzyści powlekli się na piętro. Otworzyli okna i zaczęli wyrzucać wszystko, co tylko znaleźli w mieszkaniu. Żydów ktoś ostrzegł w porę. Zbiegli przez kuchenne schody i ukryli się w piwnicy sąsiadów.

Zwabieni hałasem, powychodzili z domów okoliczni mieszkańcy. Naprzeciw „żydowskich okien” zebrał się spory tłum, milczący, obojętny. Patrzone apatycznie na połamane meble, rozbite naczynia i zniszczoną żywność. Biała mąka sypała się w błoto, cukier mieszał się z końskim nawozem, na bezcenny smalec lała się nafta z pękniętych blaszank.

- Prawdziwy sklep kolonialny... Mieli nawet konfitury.

- Mieli, ale już mieć nie będą.

Na tych uwagach skończyły się komentarze. Kum, napatrzywszy się do syta, rozchodził się w milczeniu. Do końca wytrwali tylko Cyganie. Niestrudzenie przetrząsali żydowski dobytek, wyszukując rzeczy i żywność zdatną do użytku.

O zmroku bateria poczłapała na wyznaczone stanowisko. Pogrom unieruchomił armaty na cały dzień. Nie spieszyło się „dobrowolcom” ani pod Iрпиę, ani na żaden inny front.

Tam, od Irpienia, coraz gęściej postukiwały bolszewickie karabiny i coraz głośniej rozlegał się terkot maszynek. Coraz bliżej podchodziły patrole czerwonej kawalerii. Postacie jeźdźców w spiczastych czapkach wynurzały się ze śnieżnej zamieci i przepłoszywszy „dobrowolców” znikły znów w zadymce. Zima była tuż, tuż. Dnieprem płynęła gęsta kra. Przez miasto, ku stacji kolejowej, ciągnęły „gruzowiki” i wojskowe wozy, pełne tobołów, skrzyń i mebli. Mówiono, że eszelony sztabowe Bredowa stoją pod parą całą dobę, gotowe każdej chwili odjechać na południe, Droga na Odessę podobno była jeszcze wolna.

W tym czasie zawiodła nasza poczta senna. Nie przyszedł ani jeden list. Nic nie wiedzieliśmy, że od Odessy przez Birzułę, Winnicę, Koziatyn zbliża się do Kijowa specjalny pociąg misji Polskiego Czerwonego Krzyża. Pociąg z żywnością i lekarstwami, pociąg, którym można pojechać do Polski!

W Koziatynie pociąg utknął. Denikinowski komendant stacji bezradnie rozkładał ręce.

- Nie ma połączenia z Kijowem. Jakaś banda, zdaje się „zielona”, zerwała tory pod Kożanką.

Postawa szefa misji podziałała na zapitego komendanta. Zgodził się puścić pociąg pod eskortą. Dał parę kulomiotów i setką sennych „dobrowolców”. Za tyralierą przeczesującą laski i zarośla pociąg dojechał do Kożanki. Późnym wieczorem dotoczył się do Kijowa. Miasto sprawiało wrażenie opuszczonego: cicho, ciemna, nieliczne światła tylko koło dworca. Tory stacyjne zapchane pociągami sztabu Bredowa.

W dwa dni po przybyciu misji do Kijowa zerwała się nagle artyleryjska kanonada. Huk dział przybliżał się z niepokojącą prędkością. Przechodnie, posłuchawszy chwilę, zawracali w pośpiechu do domu. Dorożkarze walili szkapy batem. Sanki umykały z ulic.

Z koszar na Dorochożyckiej żołnierze wynosili ostatnie stołki. Wozy z granatami odjeżdżały klusem.

- Dokąd?

- Na front! - odpowiadali żołnierze i śmieli się z dowcipu.

Tego samego dnia, o drugiej po południu, generał Bredow oświadczył szefowi polskiej misji:

- Wszystko w porządku. Nie ma powodów do niepokoju. Pod Kijów podeszła jakaś „banda”. Zostanie zlikwidowana w ciągu najbliższych godzin. Incydent bez znaczenia.

W pięć godzin później pociągi sztabowe zaczęły wymykać się z dworca. Pociski artyleryjskie padały już na śródmieście. W bębnie armat wplatał się terkot kulomiotów. Strzelanina opasywała Kijów z kilku stron.

- Denikinowcy opuszczają miasto na dzień lub dwa. Pociąg misji musi wycofać się do Fastowa, poza teren walki.

Wiadomość o nagłym wyjeździe dotarła do matki o zmroku. Czasu zostało już niewiele. Przejechaliśmy tramwajem kilka przystanków, gdy nieoczekiwanie zgąsło światło. Elektrownia wyłączyła prąd. Tramwaj stanął, obsługa ulotniła się czym prędzej.

Wędrówka na piechotę okropnie wydłużyła drogę. Byłem za mały na to wszystko. I za ciepło ubrany. Strzelanina ogarniała już rejon dworca. Ktoś obcy, przebiegając koło nas, zawołał, żeby wracać, że przy moście łańcuchowym trwa pojedynek pociągów pancernych, że czerwona piechota obchodzi miasto od zachodu.

Pociągi pancerne zawzięcie okładały się ogniem kulomiotów. Zgodnie z nie pisaną umową działa pancerek milczały. Celny strzał mógł rozwalić pociąg wraz z załogą. W obawie przed utratą kosztownego sprzętu ograniczano walkę do walenia z kulomiotów.

Przegapiłem moment, w którym matka zdecydowała się zawrócić. Pamiętam jedno, szliśmy i szliśmy. Nie było wprost końca tej drogi przez śnieg i noc huczącą wystrzałami. Nie rozumiałem płaczu matki ani jej bezgranicznej rozpacz. Dziwił mnie tylko męczący spacer w zupełnej ciemności, rzecz przedtem nigdy nie praktykowana. Mówiłem więc do matki:

- Już nocka, tu górka, a tu jamka...

Późną nocą dowlekliśmy się na Dorochożycką. Następnego dnia przyszedł krewny matki i zabrał nas oboje do siebie, do gmachu konserwatorium. Częstoowano mnie tam cukrem w kostkach. Matkę próbowano zagadać, rozruszać. Zachwycony słodkim przyjęciem, odwdzięczałem się, wołając przy każdym pocisku:

- Leci, leci! Nasz dom nie, nie!

Pewność, z jaką wykrzykiwałem: „nie, nie”, ujęła gospodarzy. Zjednała nawet otyłą profesorkę śpiewu, która również przyszła w gości. Profesorce palnąłem bez Zastanowienia:

- Ty, stary cygan, durak!

Nauczyła mnie tego na poczekaniu ciotka. Musiałem się pochwalić. Ale i „stary cygan”, i „durak” nie poprawiły nastroju matki. Powtarzała: „Przepadło, przepadło...”

Cztery dni bulgotały nad domem pociski. Przez ten czas pociąg Czerwonego Krzyża, przepychając się między eszelonami uciekających denikinowców, dojechał do odległego o sześćdziesiąt kilometrów Fastowa. Opinie tamtejszych sztabowców były mniej optymistyczne. Jedynie dowódca odcinka widział przyszłość w jasnych barwach.

Dywizją mającą bronić Fastowa dowodził siwy generał o marsowym wyglądzie i postawie nieustraszonego wojownika. W rozmowie z szefem misji przykładał co chwila dłoń do daszka i zapewniał, że pociąg Czerwonego Krzyża może choćby zaraz wracać do Kijowa, bo w Kijowie całkowity spokój. Oficerowie uśmiechali się ironicznie. Generał z trudnością utrzymywał równowagę i śmierdział spirytusem jak dziurawa kufa.

Szef sztabu oświadczył krótko:

- Wytrzymamy, o ile Dniepr nie stanie...

- A jeśli Dniepr zamarznie?

Denikinowiec chwilę milczał. Potem wymownie wzruszył ramionami.

- Nie mogą bronić całej linii Dniepru. Jeżeli rzucą tam rezerwy, bolszewicy zajmą mi na tyłach Koziatyn.

Pod Koziatynem toczyła się bitwa. Mróz tężał, kra grubiała. Dniepr ledwo, ledwo płynął. Z dwóch linii na Odessę - jedna została przerwana tuż za Fastowem. Pozostawała jeszcze droga przez Białą Cerkiew. Piętnastego grudnia zaproponowano szefowi misji trzy miejsca w pancernym pociągu odchodzącym do Kijowa. Nim pociąg ruszył, nadeszła telefoniczna wiadomość:

- Miasto zajęte dziś o godzinie czwartej po południu.

Tak rozwiła się ostatnia szansa wcześniejszego naszego wyjazdu - i spotkania z ojcem. U krewnych mieszkaliśmy tydzień. Po tygodniu wróciliśmy do siebie.. Przed ogródkiem zastaliśmy Chińczyka z kulomiotem, w domu „krasnoarmiejców” na kwaterze. „Banda”, która zajęła Kijów w grudniu 1919, składała się z silnych oddziałów Czerwonej Armii. Pod Kijów podeszły wojska 12 armii Miezeninowa. Próba sforsowania mostów nie powiodła się, natarcie 44 dywizji natrafiło na silny opór „białych”, Dopomógł „czerwonym” stary rybak, który z „denikinowcami” miał krwawe porachunki osobiste. Znał on Dniepr doskonale, Wiedział, gdzie o tej porze roku lód łamliwy i kruchy, a gdzie mocniejszy, zdolny utrzymać rozważnie stąpającego człowieka. Pod osłoną nocy przeprowadził rybak na drugi brzeg cały 388 pułk „bohuński”! Nagłym uderzeniem o świcie czerwona piechota zaskoczyła denikinowców i wdarła się do miasta. Załamała się obrona mostów. Po kilku godzinach walki „denikinowcy” oddali Kijów. Bolszewicy uchwycili miasto i raz na zawsze przepędzili „dobrowolców”. „Biali” nie pokazali się już nigdy więcej.

Wróciliśmy do siebie i poddaliśmy się rygorom codziennego kijowskiego życia. Symbolem tych czasów były furgony wiozące w kierunku cmentarza ładunek przykryty brezentem. W mieście grasował tyfus.

Szła piechota czwórkami, lśniły bagnety i hełmy. Jechali ułani na koniach błyszczących jak lustro. Czyste, starannie utrzymane zaprzęgi ciągnęły z hurkotem armaty. Mój brat cioteczny upiera się jeszcze dziś, że największe wrażenie zrobiła na mnie wojskowa orkiestra. Muszę kuzynowi wierzyć. Siedziałem na jego ramionach, w ulubionej pozycji, „na barana”.

- Przepuście, ludzie. To wnuczek powstańca!

Tak się opowiadając, dobrnęliśmy w pobliże orkiestry. Nagle huknęły trąby i rozwarczały się bębny. Pisnąłem z zachwytu i straciwszy panowanie nad sobą, Uległem dziecinnemu wzruszeniu. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie stało się nic wielkiego Kuzyn jednak sobaczył pod nosem i kłął mnie od „zanadto muzykalnych”. Na szczęście orkiestra grała bardzo pięknie. Głośnie marsze zagłuszały rodzinne nieporozumienia. Wojsko przeszło Kreszczatyk, przedefilowało przez plac Sofijowski i równie wspaniale rozeszło się na kwatery. Kijowianie patrzyli z ciekawością, ale nowym wojskom nie wróżyli długiego pobytu.

- Takie białe konie... W mleku je chyba kąpią?

- Buty także czyste...

- Za czyści. Nie pobędą długo.

Trzy dni przed wejściem Polaków bolszewicy opuścili Kijów Polacy przeszli Dniepr, zajęli na Zadnieprzu miasteczko Browary i ósmego maja, akurat na moje imieniny, urządzili piękną defiladę. Niby usadowili się mocno, ale za Dnieprem bez przerwy dudniły armaty. Bolszewicy byli blisko. Ich aeroplan przylatywał co parę dni i krążył nad dawnym Carskim Ogrodem.

Razem z Czerwoną Armią wyjechał z Dorochożyckiej lokator naszej sąsiadki, komisarz bolszewicki. Zabrał ze sobą tylko drobiazgi. Resztę rzeczy spakował i oddał pod opiekę gospodyni.

- Wrócę za trzy tygodnie.

Czasy polskie porządnie dały się nam we znaki. Handel zamienny prawie zamarł. Chłopi przyjeżdżali na targ jak z łaski. Za produkty żądali „carskich” albo ukraińskich „karbowańców”. Często z bazaru Lwowskiego wracała matka z pustym koszykiem Na bazarze Halickim Żydzi sprzedawali tylko za pieniądze bolszewickie. Polskich pieniędzy nie brał nikt.

Spod Kijowa przesiąkały coraz dziwniejsze wiadomości. Opowiadano głośno o wielkich jednostkach czerwonej kawalerii. Czerwona jazda zbliżała się do frontu i lada moment miała uderzyć na Polaków.

Coraz bliżej pohukiwała artyleria. W nocy dorośli już rozróżniali kaliber strzelających armat. Komisarz pomylił się o tydzień.

W miesiąc po defiladzie przybiegła sąsiadka z nowiną:

- Polacy odchodzą! Słyszycie?

Czerwcowy powiew niósł ku nam głuchy, nieprzerwany turkot. Polskie tabory wyjeżdżały z miasta.

Oficerowie milczeli. Zbywali pytania niecierpliwym wzruszeniem ramion. Zasepione twarze i szybki krok piechoty starczyły za odpowiedź. Polskie czasy liczono teraz na dni i godziny. W parę dni po taborach pokłusowała na zachód osłaniająca odwrót kawaleria.

Odeszli Polacy, a my znowu zostaliśmy na Łukjanówce. Kiepskie lato, ciężka jesień, zima głodnawa i chłodna. Ratowały nas pomidory z ogródka i kasza, którą dzielili się z nami sąsiedzi. Pomidory i krupnik, a potem krupnik i krupnik. Nic, tylko krupnik. Bez kaszy byłoby zupełnie źle. Z powodu krupniku coraz częściej zachęcano mnie do spania w dzień. Nie szło. Wtedy matka chwyciła się wypróbowanego sposobu. Opowiedziała historię o złym wilku, który pożera niegrzecznych, wykręcających się od spania chłopców. Wysłuchałem bajki z wielkim zainteresowaniem, a jak mama skończyła, powiedziałem:

- Bywają wilki cacy.

Jedyna próba straszenia spaliła na panewce. Pozwolono mi biegać z pustawym żołądkiem. Popularne strachy w rodzaju Baby Jagi, Iwana-Bałwana, kominiarza lub ciemnego pokoju w ogóle nie wchodziły w rachubę. Nie stosowało się tego i już. Za poważne były czasy na głupstwa.

Po parszywej zimie przysłała wreszcie wiosna i z nią odmiana losu na lepsze. Z początkiem maja pojechaliśmy na wieś pod Wasylków, gdzie szwagier mamy, „inżynier-spec”, budował linię kolejową. Dziwili się wszyscy, że w takich czasach ktoś myśli o budowie kolei.

Zamieszkaliśmy w wielkiej chacie z ogromnym piecem chlebowym pośrodku, glinianą podłogą i taką ilością pcheł, że można było zwariować w ciągu jednej nocy. Naturalnie nie zwariowała ani mama, ani ja, bo nie po to wyjechaliśmy z Kijowa, żeby pod Wasylkowem dostać kuku na muniu. Z początku posypywaliśmy pościel „Aragacem”, a kiedy skończył się patentowany proszek, dokuczaliśmy pchłom piołunem. Pchły czuły się doskonale, a ja kichałem po piołunie jak starzy ludzie po tabace. Po kilku dniach pchły się odpasty (do naszego przyjazdu chata stała pusta), myśmy się przyzwyczaili i nastąpił spokój.

Dobrze było mi na wsi. Zaprzyjaźniłem się ze starym Dmytro, gospodarzem z chaty stojącej obok naszej. Dmytro brał mnie nad rzekę, prowadził w pole, zapraszał do siebie. Spędzaliśmy razem długie godziny.

- Gdzie byłeś? - pytała mama.

- Byłem u Dmytro - odpowiadałem naśladowując ukraiński akcent. - Jadłem barszcz z petuszyką szyszka.

Odjadałem wszystkie postne krupniki, czerniałem w spiekliwym słońcu i gadałem po ukraińsku nie gorzej od miejscowych dzieci. Największą atrakcją wsi były jednak kwiaty. Równie pięknych nie spotkałem potem nigdzie. Wasylkowskie kwiaty miały kolory z najpiękniejszej bajki. Pachniały miodem, odurzały aromatem, od którego kręciło się w głowie. Kwiaty tamtejsze, sam w to dziś z trudnością wierzę, odpowiadały na uśmiech dobrym, przyjaznym uśmiechem. Za mały bukietik gotów byłem oddać zabawkę, bułkę i nawet miskę barszczu z kawałkiem koguciej szyi. Na widok kwiatków baraniałem do reszty. Zaczynał Dmytro przepowiadał mi przyszłość ogrodnika lub sadownika. Radził, żeby sadem interesować się więcej. Człowiek, mówił, wymyślił „czortopchajkę” i żelazną kolej.

I któż wie, co wymyśli jeszcze? A zwykłej gruszki zrobić nie potrafi. Ani jabłka, ani śliwki. Musi czekać, aż owoc urośnie i dojrzeje. Dobry sad - dobra rzecz...

- Lubię sad - odpowiadałem z przekonaniem. Gdy przyjechaliśmy, chaty tonęły w bladuróżowej chmurze. Kwitnące sady wyglądały pięknie.

Życzliwe przepowiednie starego Dmytro nie sprawdziły się do tej pory. Po zwykłe gruszki chodzi się do sklepu.

Dobrze nam było, więc czas mijał prędko i z maja zrobił się raz dwa sierpień. Siedzielibyśmy dłużej, gdyby nie wiadomość z Kijowa: przyjechał polski pełnomocnik, pokój podpisany, można wyjeżdżać do Polski! Natychmiast zerwaliśmy się do powrotu. Z Wasylkowa (coś trzecia stacja od Kijowa) jechało się dawniej godzinę. W sierpniu 1921 roku podróż zajęła nam dzień i spory kawał nocy. O dostaniu się do zwykłego pociągu podmiejskiego w ogóle nie było mowy. Zresztą, jeżeli w tym czasie kursowały już pociągi podmiejskie, to kursowały według swego widzimisię, a nie według rozkładu. Dzięki stosunkom wujka-speca udało się nam wsiąść do pociągu towarowego. Towarowy jechał wolno. Maszynista po drodze tysiąc załatwił spraw i sto odwiedził światów.

Wysiedliśmy daleko od dworca wśród torów i pustych składów. Noc ciemna i niebezpieczna. Na Łukjanówkę było już za późno. Mama zdecydowała się nocować u babuni. Poszliśmy w kierunku Czechowskiego zaułka.

Od samego rana zaczęła się wyjazdowa bieżączka. Z Besarabki na Lipki, z Lipek na Besarabkę, od pełnomocnika do urzędu i z powrotem. Potem trzeba było biegać na Żytomierską, bo tam przeniosło się polskie biuro z Lipek. Wyrabianie repatrianckich papierów ciągnęło się bite pół roku. Pochłonęło kilkanaście lat życia, jeżeli można miarą czasu wyrazić ówczesne emocje i zdenerwowanie. Mieliśmy jechać pierwszym eszelonem, ale eszelon odchodził za eszelonem, a nam ciągle brakowało koniecznych do wyjazdu papierów. Jak tam było, tak tam było, grunt, że w styczniu 1928 wyjechaliśmy naprawdę.

Osiemnastego stycznia opuściliśmy Łukjanówkę rozstając się aa zawsze z ulicą Dorohożycką, widokiem na koszary Tyraspolskie, Kyrilowskim Laskiem i dobrymi ludźmi, których krupnik pozwolił nam doczekać się sytej wiosny pod Wasylkowem.

Śnieg skrzypiał pod płozami. Sanie sunęły jak po szkle. Mróz, jak na Kijów, był tego dnia zupełnie wyjątkowy: prawie trzydzieści stopni!

Wiózł nas „zięc kuzynki Mani”. Nie potrafię dopasować ani twarzy, ani sylwetki. Nie mam zielonego pojęcia o kuzynce Mani, cóż mówić o mężu jej córki? Zięc miał konia i sanki, to w tej sprawie jedynie było ważne. Nauczeni poprzednim nieudanym wyjazdem, pamiętając piekielne rozczarowanie, kiedy pociąg Czerwonego Krzyża uciekł nam dosłownie sprzed nosa, wyruszyliśmy na dworzec, gdy tylko znalazły się dla nas wagony. Kiedy eszelon ruszy - nikt nie wiedział. Władze kolejowe odpowiadały, nie przejmując się ani trochę:

- Może jutro, może za dwa dni, pewnie w tym tygodniu.

Gdyby mama potraktowała serio tę całą gadaninę, zostalibyśmy znowu w Kijowie. W parę godzin po naszym przyjeździe lokomotywa szarpnęła wściekle. Z łoskotem buforów eszelon potoczył się w stronę Polski.

Podobało mi się w „ciepłuszcze”. Prycze na lewo i prycze na prawo, pośrodku rozpalony do czerwoności piecyk. Osób trzydzieści parę, więc niby nie za ciasno, akurat tyle, żeby się pasażerom w drodze nie nudziło. Podróż obliczano na parę tygodni. Leżała ta Polska gdzieś na krańcach świata.

Mama zirytowała się od razu, ale skończyło się na wymownych westchnieniach. Towarzysze podróży rozlokowali się w dziwny sposób. Na jednej pryczy rodzina sędziego Łukaszewicza, osób coś sześć czy siedem („Bo my, proszę państwa, chcemy jechać w swoim towarzystwie”). Na drugiej - reszta podróżnych. Mimo dąsów podział wagonu utrzymał się aż do granicy. Większość chciała sprawiedliwej zmiany, ale nikt nie wiedział, jak taką zmianę przeprowadzić.

Ledwie ujechaliśmy parę kilometrów, wybuchły spory o „prawo do pieca”. Mój brat cioteczny zaproponował, żeby posiłki gotować wspólnie. Tłumaczył, że tak będzie wygodniej, pręcej i oszczędniej, bo mniej się zużyje opału. Zmyto mu, głowę, zakrzyczano, pouczono, żeby się nie wtrącał, jak o radę nie pytają starsi. Jechali w naszym wagonie ludzie do jazdy zupełnie nie przystosowani. Zachowywali się tak, jakby pierwszy raz w życiu zobaczyli pociąg.

Od piecyka bił żar, ściany porastały lodem. Babunia narzekała, że posiłki nie w porę. Rzeczywiście, obiad wypadał wieczorem, a kolacja późną nocą. Wszystko przez tę idiotyczną kolejkę do pieca. Babunia dopominała się o czekoladę i o czerwone, grzane wino. Jak na złość nie mieliśmy tych specjałów pod ręką. Ktoś musiał jednak mieć, babunia dosłyszała i stąd te humory. Babunia złościła się ciągle.

Maszynista szarpał, mało nie rozrywał składu. Zatrzymywał się przed byle wzniesieniem, jechał krok za krokiem i dawał do zrozumienia, że w naszej wyprawie nie widzi dla siebie żadnego interesu. Jechać taki szmat drogi bez najmniejszej korzyści? Oczywiście bzdura. Tuż za Kijowem, w letniskowej miejscowości Swiatoszyn, utknęliśmy na trzy dni. Ktoś umarł, komuś urodziło się dziecko. Pierwszy nieboszczyk wywołał powszechne zainteresowanie. Litowano się nad biedakiem, że zamiast do Polski zajechał na tamten świat. Potem na widok ludzi dźwigających nosze poprzestawano na pytaniu:

- A komu to się przytrafiło dzisiaj?

Umierali ludzie na starość i na tyfus. Drugi powód był dla otoczenia bardziej niebezpieczny, bito więc wszy z ogromnym zapałem, choć, jak wiadomo, nie każda wesz jest „tyfusowa”.

Podczas postoju w Swiatoszynie rozjaśniło się pasażerom w głowie. Trudno wymagać, żeby maszynista trzymał się rozkładu, skoro nie ma zegarka... Wybrano grono zaufanych osób i obarczono je obowiązkiem przeprowadzenia kwesty na „zegarek dla parowozu”. Pokażną sumkę wręczono maszyniście wraz z życzeniami „szczęśliwej podróży”. Ze Swiatoszyna ruszyliśmy tak gładko, jakby maszynista wioził otwarte kufy ze spirytusem, a nie obcych ludzi. Wkrótce ogarnęła nas zadymka. Burza śnieżna rozhulała się wokół pociągu. Mróz kąsał, wiatr przewiewał... Cóż z zegarka, kiedy ręce grabieją, a lodowaty wichur zapiera dech? Maszynista zatrzymał pociąg i udał się do najbliższego osiedla.

W nocy silne szarpnięcie zrzuciło pasażerów i prycze. Eszelon rzucał się jak brytan na łańcuchu.

- Przymarzę koła. Nie obejdzie się bez podgrzewania - mówili „fachowcy”.

- Trzeba pogadać z maszynistą - doradzali bardziej doświadczeni życiowo.

Szarpanina trwała całą noc. Lokomotywa, straciwszy siły, dyszała ze zmęczenia. Pociąg stał. Nowa delegacja poszła „pogadać” z maszynistą. Ten sprawę postawił jasno. Warunki atmosferyczne zmusiły go do zakupienia większej ilości samogonu. Na zegarek nadal ma wielką ochotę. Niestety, samogończyk w tych stronach nad podziw drogi, więc z otrzymanych pieniędzy nie zostało ani kopiejki. Delegaci pokiwali ze zrozumieniem głową i ogłosili zbiórkę na drugi zegarek. Nim zebrano pieniądze, wysłano grupę mężczyzn do lasu po drzewo. Tender był pusty, pod kotłem prawie zgasto. Zaczęło się „robienie pary”. Zdezelowany parowóz robił parę do wieczora. Maszynista z pomocnikiem rozgrzewał się resztkami spirytusu. Pasażerowie przeliczali wiorsty na litry i dnie na zegarki.

- Do Polski jeszcze tyle a tyle litrów samogonu i tyle zegarków.

Kuzyn zaopatrywał nasz wagon. Rąbał polana na szczapy, nosił wodę. Niby mieli pomagać mu i inni mężczyźni, ale zawsze, w ostatniej chwili, jednego rozboleła głowa, drugiego ręka, trzeciemu wyskoczył okropny czyrak na tyłku.

- Młody, nic mu nie będzie... - mówili towarzysza podróży, zanurzając osmolone imbryki w kubie z czystą wodą.

Jechaliśmy niecałe trzy tygodnie. Zanim ludzie zdążyli przywyknąć, skończyła się jazda i trzeba było wysiadać.

Na dłużej stanęliśmy w Szepetówce. Tam podeszła do mamy panna Cukierman i szepnęła coś na ucho. Mama zbladła. Kuzyn podrapał się w głowę.

- Rewizja?

- Osobista!

Pannę Cukierman znaleźliśmy jeszcze z Wasylkowa. Przyjeżdżała jako sekretarka komisji kontrolującej budowę odcinka kolei żelaznej. Informacjom panny Cukierman można było wierzyć. Jechała ona w osobowym wagonie komendanta eszelonu i o najbardziej poufnych zarządzeniach dowiadywała się z pierwszej ręki. Ostrzeżenie sprawdziło się w kilka minut później. Zjawili się ciepło ubrani żołnierze z sukienkami gwiazdami na spiczastych czapkach.

- Wysiadać. Wszystkie rzeczy na peron.

Babuni i mnie pozwolono zostać w „ciepłuszce”. Nasze rzeczy mieściły się w koszu od bielizny. Poza „nową” parą butów mamy nie było w koszu nic ciekawego. Gorzej przedstawiała się sprawa z bagażem babuni. Tuż przed wyjazdem babunia sprzedała meble i bibliotekę ojca. Głupie przyjaciółki i sprytni pośrednicy namówili staruszkę na carską walutę i drobne banknoty. Wiozła więc babunia trzy tysiące carskich w samych trzyrubłówkach. Cały Kijów wiedział, że w bankach warszawskich można od biedy wymienić pięćsetki. Nie pomogły perswazje. Babunia uparła się i tym chętniej zaufała przyjaciółkom, że kupcy „drobnicą” zapłacili więcej. Carska waluta zajechała szczęśliwie do Warszawy. W Szepetówce podczas rewizji („osobistą” przeprowadzono zaledwie kilku osobom, na które miano oko od samego Kijowa) na wypchany „walutą” sakwojaż babuni nikt nawet nie spojrział.

No, a w Warszawie zaczęła się tragedia. Staruszka rozumiała, upadek caratu („takie świństwo nie mogło trwać” - mówiła) i rewolucję, ale nie rozumiała czasów, które z dnia na dzień odbierają wartość bankowym biletom. Stos trzyrubłówek czekał w komodzie, aż się „unormują czasy” i „opamięta się ministerium finansów”. Po śmierci babuni carskie pieniądze poszły na rozpałkę.

Ocalał skarb babci, ale o mały włos nie przepadła moja ulubiona zabawka. Leżała w koszu na samym wierzchu.

- *Wieszcz kazionnaja, wajennaja...* - powiedział krasnoarmiejsc i schował manierkę do kieszeni szynela.

Wtedy podniosłem taki krzyk, że zbiegli się wszyscy żołnierze. Wykrzykiwałem nawet wyrazy, których dokładniejsze znaczenie poznałem grubo później. Wieszcz nie była ani kazionnaja, ani wajennaja, ani w ogóle rosyjska. Manierkę dostałem od ojca tuż przed pierwszym, nieudanym wyjazdem.

Wiedziałem, że to manierka turystyczna, kupiona w Paryżu. Za nic w świecie nie chciałem pozbywać się pamiętki. Bo niby z jakiej racji?

Kuzyn stroił groźne miny. Dawał znaki, żebym nie zadzierał z „pogranicznikami”. Mama bladła i czerwieniła na przemian. Babunia cicho opłakiwała sakwojaż. Żołnierze stanęli półkolem pod „tiefuszką”. Słuchali i uśmiechali się coraz szerzej, coraz sympatyczniej. Trochę to trwało, ale w końcu poznali się na mnie.

- Nu, wot... - powiedział amator manierki i wrzucił zdobycz do wagonu. Chłopiec z wojskowymi dogada się prędzej niż dorośli. Dorośli czasami zachowują się bardzo dziwnie. W obronie mojej manierki nawet mama nie pisnęła słówka. Ale jak przed Szepetówką pociąg stanął w polu i zwykli żołnierze otoczyli eszelon, dorośli narobili wrzasku na dziesięć wiorst. Szło o prycze. „Dawajcie deski i piecyki. Nie wolno wywozić”. Dorośli odpowiedzieli dziecinnym lamentem: „Kupione za własne pieniądze w Kijowie! Za nasze, za składkowe!” Żołnierze w śmiech; „A pieniądze jakie? Carskie, polskie, ukraińskie?” - „Sowieckie” - zapewniają gorliwie pasażerowie. „Jak pieniądze sowieckie, to piecyki i deski też sowieckie! Prędzej, ludzie, bo nie pojedziecie nigdy”. Dorosłym wydawało się, że krasnoarmiejscy gadają od rzeczy. A ja uważałem, że w tym, co mówią żołnierze można z łatwością doszukać się sensu. Trzeba tylko się zastanowić i pomyśleć chwilę. Ostatnie słowo należało do wojskowych. Pasażerowie wysiedli w śnieg. Żołnierze zabrali się do wyrzucania prycze i piecyków. Ciągnęło się to długo, bo piecyki były gorące. W gruncie rzeczy dobrze się stało. „Na czorta nam w Polsce nie heblowane deski?” - powiedział kuzyn i miał świętą rację. A jak podzielić jeden żelazny piecyk na trzydzieści parę osób? Dopiero zaczęłyby się rady-narady!

Odzyskawszy manierkę, uspokoiłem się natychmiast. Matka wpakowała ją na sam spód kosza i pojechaliśmy dalej.

Z Szepetówki było już bardzo blisko. Dziarsko pogwizdując, wjechaliśmy na stację w Równem. Tam przeprowadzka do polskiego pociągu i jazda osobowymi wagonami do koszar za miastem. Polski Biały Krzyż przyjął nas zupą z pęcaku. Obiecywano kakao i małpie mięso z amerykańskich puszek. Skończyło się jednak na obietnicach.

Od kąpieli i dezynfekcji uratowała nas znowu nieoceniona Cukierman. Okazało się, że i po polskiej stronie panna Cukierman jest nadal osobą najlepiej poinformowaną.

- Kąpiel w nie opalanej łaźni grozi zapaleniem płuc, a dezynfekcja to gwarantowane zawieszenie czystych rzeczy. Czy wam potrzebny tyfus?

Tyfusu matka bała się jak ognia. Akurat teraz był nam do szczęścia potrzebny! Zamiast do kąpieli poszliśmy prosto do kwatery. Ulokowano nas w pustych koszarach. Trafiliśmy do izby zimnej i bez szyb, ale kiepski lokal wyszedł nam na zdrowie. W ogrzanych izbach roiło się od tyfusowych wszy. Wiele dzieci nabawiło się odry, wielu dorosłych zaraz po przyjeździe do Warszawy zapadło na tyfus. Najsmutniej zakończyła się podróż dla starego pana Iwaszkiewicza, który jechał w tej samej co i my „ciepłuszce”. Wprawdzie chorował przez całą drogę, ale dożył się w koszarach. Serce nie wytrzymało gorączki. Staruszek umarł w Równem. Tyle zobaczył Polski, co nic.

Repatriantów (nazywano nas także „braćmi zza kordonu”) powierzono opiece ponurych drabów o zbójeckich gębach. Ubrani półwojskowo, mówili po ukraińsku i lokatorów koszar traktowali jak więźniów skazanych na katorgę. Chcieliśmy (w chłodnej izbie mieszkało kilkanaście osób) na własny koszt oszklić okna - draby zabroniły. Ktoś zapalił prymus, wpadły draby i tak zwymyślały „ktosia”, że mu się odechciało „kapiatoku” do końca pobytu w koszarach.

- Istne hajdamaki... - szeptali repatrianci, pełni kresowych uprzedzeń.

Dziwiono się stosunkom i brudom. Każda wyprawa do odległego ustępu kończyła się westchnieniem pełnym ulgi:

- Chwała Bogu, że mróz trzyma.. Co tu będzie wiosną...

Na obiad dzień w dzień pęczak cuchnący stęchlizną. Przed bramą koszar rój przekupniów z koszami pełnymi wędlin, białych jak śnieg bułek, cukierków i wódki. Sprzedawali za „kierenki” i za „carskie”. Babunia gniewała się strasznie: na widok trzyrubłówek handlarze wybuchali śmiechem. W ogóle nie chcieli gadać. „Kierenek” starczyło nam tylko na pasztetówkę. Bardzo była dobra!

Wyjechać jak najprędzej i jak najdalej. Uciec przed tyfusem i przed chamstwem drabów. Ale polskie formalności też musiały trwać. Oficerek reprezentujący Rzeczpospolitą znał się na urzędowaniu i na urzędowych tonach. Pomogła dopiero interwencja starosty (ktoś z towarzyszy podróży znał starostę osobiście). Oficerek stuknął obcasami i wystawił papier. Z pozwoleniem na wyjazd poszła mama do innego biura po przepustkę kolejową. Bez papierka nie puszczano na stację. Mając już wszystko, co było potrzebne, mama nałożyła nowe buty i podrałowała bez zwłoki na dworzec. Pierwszą osobą, którą tam spotkała, była oczywiście panna Cukierman. Wysłuchawszy żalów, pokwitowała mamine narzekania wzruszeniem ramion i wymownym spojrzeniem. Cukierman mieszkała w małym pokoiku, czystym i ogrzanym. Ponure draby przynosiły jej gorącą wodę, paliły w piecu i na jednej nodze biegały po papierosy. „Zbójeckie gęby” wysilały się na ludzki wyraz twarzy i trzaskały obcasami jak przed generałem. Walenie obcasami należało do ówczesnego szyku i uchodziło za objaw wrodzonych dobrych manier.

- Każdy musi żyć - powiedziała panna Cukierman na zakończenie.

- Jak to, więc tu też łapówki? - Mama zrobiła wielkie oczy. - Może dlatego miałam takie trudności z pozwoleniem na wyjazd do Warszawy?

- Na całym świecie ludziom zginają się ręce do siebie, a nie od siebie - odpowiedziała wymijająco Cukierman.

Mama udawała pierwszą naiwną, bo wstydziła się braku pieniędzy.

Mieliśmy jechać wszyscy razem specjalnym wagonem dla repatriantów, ale Cukierman przekonała mamę, że czekanie na wagon to marnowanie czasu, zdrowia i nerwów. Kiedy podstawią wagon, do którego doczepią pociągu, tego nikt nie może przewidzieć. No, to po co siedzieć w zafajdanych koszarach?

- Czy pani chce pośliznąć się na zamrzniętych sikach i złamać nogę?

Mama, oczywiście, nie chciała.

- Wieczorem odchodzi pośpieszny do Warszawy. Trzeba zaraz kupić bilety drugiej klasy.

- Nie mam polskich pieniędzy. Resztę „kierenek” wydałam na pasztetówkę.

Wtedy panna Cukierman wyjęła z torebki dwadzieścia tysięcy marek. Marka stała bardzo nisko, ale zawsze...

- Jak pani będzie mogła, to pani odeśle na adres mego brata w Łodzi.

Było to ostatnie spotkanie (nie licząc jazdy w jednym przedziale do Warszawy) z panną Cukierman. Nikt z rodziny nie widział jej potem, ale bardzo długo mówiło się o niej w domu.

- Ta Cukierman z Łodzi, co? No, i proszę... Obcy człowiek!

Wieczorem wsiedliśmy do drugiej klasy i pośpiesznym pociągiem pognaliśmy do Warszawy. Wszyscy mieli miejsca siedzące. Spałem na kolanach matki, oczarowany wspaniałą jazdą bez szarpania i postojów w polu. Babunia chrząkała z zadowolenia. Panna Cukierman częstowała smacznymi cukierkami.

Przyjechaliśmy wczesnym rankiem. W ogromnej hali Dworca Wschodniego od razu poczułem się jak w domu. Nie pytając o drogę, poszedłem prosto do bufetu, wyprzedzając babunię, której tace, pełne kolorowych smakołyków, również wpadły w oko. Za pożyczone od panny Cukierman marki zjadłem sześć ogromnych ciastek. Pierwsze ciastka w życiu! Ciastka z kremem białym, żółtym, różowym i czekoladowym!

- Jakie piękne miasto - szepnąłem do babuni.

Po ciastkach piliśmy bardzo słodką herbatę i jedliśmy szynkę z bielusieńką bułką. Panna Cukierman odjechała dorożką, a kuzyn pobiegł po platformę. Z pośpiesznego pociągu skorzystało kilkanaście osób. Zebrało się więc sporo pakunków i tobołów. Platforma miała rozwieźć rzeczy według wskazanych adresów. Ci, co nie znaleźli w Warszawie „punktu zaczepienia”, udawali się na Powązki. Był tam „etap” dla reemigrantów. Razem z naszym koszem załadował się na platformę mój brat cioteczny.

- Jedź z nimi - szepnęła mama - na wszelki wypadek... Potem ulokowaliśmy babunię w dorożce, mama wzięła mnie na kolana i z wielkim szykiem, przez pustawe jeszcze ulice, pojechaliśmy w drugi koniec miasta, na Mokotowską 29. Wkrótce zobaczyłem ojca.

- Przywiozłem manierkę!

Kuzyn zjawił się przed wieczorem. Platforma, zanim dotarła na Mokotowską, zjeżdżała całą Warszawę. Woźnica i „ludzie od rzeczy” wstępowali do szynków na rozgrzewkę. Częstowali kuzyna, zachęcali serdecznie, żeby sobie gołnął jednego. Kuzyn, ujęty grzecznością, kropnął parę wódek. Potem coś go tknęło, przestał pić i do końca jazdy nie opuszczał platformy. Twierdził, że w ten sposób uratował koszt od podejrzanych typów.

- Ogromne miasto nad małą rzeką - mówił kuzyn wydmuchując wódkę. - Cała Wisła mieści się między Warszawą i Pragą!

Zamarznięta Wisła wyglądała bardzo niepozornie. Dniepr pod Kijowem miał trzy odnogi! Za Truchanowską Wyspą płynęły wody Czartorii, a jeszcze dalej był Stary Dniepr, czyli „Starik”. Na wiosnę nie można było ogarnąć wzrokiem rozlanych szeroko wód... Ale nie po to przyjechaliśmy znad Dniepru, żeby wydziwiać nad Wisłą.

- Zobaczymy na wiosnę... - bąknął kuzyn i odczepił się od Wisły.

A potem przyszła daleka kuzynka ojca, kazała nazywać siebie cicią i zaprosiła mnie do swego mieszkania, żebym mógł „pobiegać”. Dałem się nabrać jeden jedyny raz. W zapchanym meblami pokoju nawet pod stołem leżały zawiniątka i paczki.

- Biegaj, syneczku, biegaj. W Kijowie pewno miałeś bardzo mało ruchu - mówiła nowa ciocia.

Patrzyłem na nią myśląc: „Taka duża, a udaje, że życia wcale nie zna”. Uśmiechałem się jednak grzecznie. Warszawa to nie Szepetówka. Nie mogłem się kompromitować.

Polubiłem cicię, bo choć rozmiłowana w śmiesznych gestach i równie komicznych pozach, dobre miała serce. Do polubienia było w Warszawie mnóstwo osób i drugie tyle rzeczy, Warszawa oszałamiała.

- Mama, Warszawa!... - wołałem podbiegając do okna.

Nie chciało się wprost wierzyć. Warszawa o każdej porze, Warszawa ze wszystkich stron. Cieszyłem się i podskakiwałem z radości w ciasnym pokoju na Mokotowskiej. A do Kijowa od razu wykręciłem się plecami. I wcale tego nie żałuję. Jak by to wszystko wyrazić prosto, zrozumiale?... Warszawa to Warszawa! Chyba tak? Ech, wiadomo zresztą, o co chodzi.

Ale jak człowiek wykręci się plecami, to czasem coś aż korci, żeby obejrzeć się, żeby przez ramię spojrzeć poza siebie.

Z piernika paż

Lecz żeby ci nie było żal,
Dziecino ma kochana,
Z cukru był król, z piernika paż,
Królowna z marcepana.

Zaraz po przyjeździe zapakowano mnie do łóżka. Dostałem anginy z nalotami jak koń. Podobno dlatego, że przez całe miasto jechałem z otwartą gębą. Niby nic, a jednak sensacja. Pierwsza choroba w mieszkaniu na Mokotowskiej!

Mieszkania nazywano w Warszawie „wielkim szczęściem”. Tak mówili wszyscy. Najpierw „dzień dobry”, całusy, westchnienia, a potem:

- Już mieszkanie? Wielkie szczęście!... Co prawda ciasno, ale punkt dobry, choć trochę daleko.

Coś niezrozumiałego stało się z mieszkaniami pod wpływem wojny. Wszystkie zajęte, wszędzie pełno! Za byle lokal kamienicznicy żądają bająńskich sum. O takich zyskach nikomu nie śniło się przed wojną.

Wszystko było drogie. Jeszcze rano jajka kosztowały czterdzieści pięć, a już w południe skoczyły na pięćdziesiąt pięć. Pięćdziesiąt pięć marek za jedno jajko! Marka nawet nie umywała się do prawdziwych pieniędzy. Policjant brał bite trzy tysiące marek od pijanego na ulicy. Kto słyszał o takich mandatach?

Nasze „szczęście” należało do pani Kaszyrin. Wynajmowaliśmy pokój ze „stołowaniem”. Pokój był duży, okna wychodziły na ulicę. Właścicielka mieszkała w kuchni razem ze służącą Anusią. Między pokojem i kuchnią był niewielki przedpokój, z którego wychodziło się na klatkę schodową. Drewniane schody o wysokich stopniach zupełnie nie nadawały się dla dzieci.

Pani Kaszyrin gotowała bardzo smaczne obiady. Nawet babunia zapominała pokręcić nosem nad talerzem. Anusia, niby służąca, a właściwie przyjaciółka, chodziła na targ po produkty i załatwiała sprawunki w sklepach. O wszystko dbała jak o swoje, bo już miała zapisane na siebie mieszkanie, meble, naczynia i srebrne łyżeczki. Pani Kaszyrin skarżyła się na starość i na kiepskie zdrowie. Mówiła, że długo nie pociągnie. Z tego powodu Anusia zapłakiwała się na śmierć, a staruszka wymyślała coraz lepsze leguminy.

- Przyszedł czas, że już niczego nie mogę odkładać na później.

Mama zaprzeczała głośno i gorliwie. Anusia składała ręce jak do modlitwy, a babunia wtrącała uwagę, że jak ktoś chce umierać, to niech sobie umiera, byleby innym nie zawracał głowy od rana do wieczora. Z bólu głowy też można się rozchorować. Natychmiast zmieniano temat i zaczynała się normalna rozmowa o drożyznie. Dolar szedł w górę, marka leciała na łeb, na szyję. Za dobre palto trzeba dać dwieście tysięcy! U krawca Janiaka, na Wspólnej pod nr 41, liczą za garnitur osiemdziesiąt tysięcy, a za jesionkę podbitą wiatrem sześćdziesiąt. Paskarze robią interesy, ale co mają robić porządni ludzie?

Rozumiałem, że w Warszawie dorośli mają też kłopoty. Zmartwienia trzymają się dorosłych jak rzep psiego ogona. Mądry pies podchodzi do płotu, kładzie ogon między żerdzie i póty wierci tyłkiem, aż rzep się odcepi i spadnie. Na ludzkie rzepy nie ma rady, ponieważ człowiek nie posiada ogona. Z woli bożej taki porządek panuje na świecie, trzeba więc grzecznie poddawać się domowej kuracji i na każde zawołanie pokazywać gardło, mówiąc głośno „A, a, a!” Nauki Anusi przyjmowałem z uśmiechem, choć nie bardzo wiedziałem, co ma psi ogon do mojej choroby.

- Przy gorączce kompot najlepszy...

- A krem z konfiturami dlaczego niedobry? - szepnąłem zaniepokojony troskliwością pani Kaszyrin.

Dorośli bardzo często nie słyszą szeptów dzieci. Tak stało się i tym razem.

- Zawiało, biednieńskiego, z pewnością na moście...

- Wszystko przez te powojenne frylingi! Nigdy takich cugów nie było w mieście. Porobiły się od strzelania z armat. O, kto armat nie słyszał?... Jeszcze teraz jak coś stuknie, huknie, to zaraz myślę, czy to nie armata znowu?

Dzięki Anusi nauczyłem się przeciągi nazywać frylingami. Nauczyłem się też wierszyka:

Babciu, babciu,
Dziura w kapciu!

Lecz piękny wierszyk prędko poszedł w ką. Babunia zapytała surowo: „A gdzie ta dziura? a w którym trzewiku?”, a potem obraziła się i stanowczo zaprotestowała. Wzięła wszystko do siebie i do swoich bamboszy dopiero co kupionych. Okropne wyszło nieporozumienie. Nie pomogło wołanie: „Babciu, babciu, przecież ta dziura w zupełnie innym kapciu!” Kazano mi zapomnieć. Cała nauka zdała się psu na budę.

Na Mokotowskiej uchodziłem za bardzo zdolne dziecko. Nawet z sąsiedniej kamienicy wypytawali się o mnie ludzie! Słyszałem na własne uszy, jak Anusia mówiła do człowieka, który węgiel nosił ze składu do kuchni: „A jaki zdolny!... Tyle drogi przejechał, a tyfusu - odstukać - nawet nie powąchał!” Mówiła też innym razem, że jak pomieszkam z ludźmi, to mi się klepki „obtrząchną” i na swoje miejsce same wskoczą. Byłem bardzo dumny, że mówi się o mnie w pokoju i w kuchni.

Drugi wierszyk trudniejszy był i dłuższy:

Bardzo długo radzono
I na zjazdach, i na wiecach,
Aż nareszcie was witamy
W polskich Szopienicach!

Nauczyłem się tego wierszyka znacznie później, już po chorobie w innej porze roku. Tymczasem śnieg leżał jeszcze na ulicy, a ja w łóżeczku przy ścianie. Liczyłem gipsowe ozdoby na suficie. Wsłuchiwałem się w dzwonienie sanek, turkot dorożek i wozów, w piskliwe trąbienie samochodów. Warszawska ulica różniła się od kijowskiej. Nawet dorożkarze inaczej strzelali z bata. Przez dobrze opatrzone okna wciskały się do pokoju wspaniałe okrzyki: „He-heep! Hep!” Na dorożkarza mówiło się „sałata”, na dorożkę „drynda”. Mówiło się, ale po cichu i z daleka, bo dorożkarze potraktowani „sałatą” wpadali

w taką złość, że im blacha z numerem podskakiwała na plecach. Sam widziałem pewnego razu, jak elegant w meloniku i sakpalcie krzyknął na dorożkę: „Zajeżdżaj, sałata!” Dorożkarz wychylił się z kozła, ciął na odlew i z melonika zrobiły się półdupki. Ale to też było później.

Daleko, za rogiem, huczały tramwaje, a tuż pod oknami chrobotą drewniana szufla. Stróż zgarniał świeży śnieg z chodnika.

Najciekawszy ludzie przychodzili od podwórka. Pierwszy zjawiał się szklarz. Stawał między śmietnikiem i trzepakiem, zadzierał głowę i ku zamkniętym oknom wyrzucał krzyk przenikliwy, ostry, jakby żelazem pociągnął po szkle.

- Szibi do wprawienia, szibi!. Szibi!...

Szklarz odbierał apetyt. Pod wpływem krzyku lokatorzy z zażenowaniem oglądali całe szyby i zastanawiali się, co by tu jeszcze w domu zakitować. Szklarz potrzebował pieniędzy. Jego głos przypominał rozpaczliwe wołanie tonących. „Od takich krzyków przewracają się człowiekowi bebechy...” Anusia nie puszczała Żydów na próg, z wszystkimi toczyła podwórkową wojnę, ale do szklarza miała słabość. Odłupywała kawałek kitu z kuchennego okna i rzucała na podwórze koło ratunkowe: „Niech przyjdzie do zakitowania!” W ciepłej kuchni łagodniały ostre rysy, tajała broda i siność ustępowała z twarzy. Szklarz grzał ręce nad płytą. Za jedzenie dziękował, choć Anusia zawsze podtykała mu talerz zupy. Pił herbatę drobnymi łykami, a potem zabierał się do pracy. Kitował długo, bardzo długo. Przeciągał pobyt w ciepłe. Nagle, ogarnięty wyrzutami sumienia, że tyle czasu zmarnował nad jedną robotą, chował narzędzia, zawijał kit w tłusty gałgan i zbiegał z pośpiechem po kuchennych schodach. Za chwilę odzywał się z sąsiedniego podwórka.

- Szibi!... Szibi!...

Nad bramą naszego domu nie było tabliczki „Domokrążcom wstęp wzbroniony”. Ruch na podwórku regulował stróż Stanisław, czyli strupel. Z czasem, kiedy rosyjska moda poszła w zapomnienie, strupel awansował do godności „pana dozorczy”. Stanisław królował na schodach, w bramie i na podwórzu, godził skłócone służące pod trzepakiem i robił piekło, gdy której kuchcie „sypnęły się” obierki z kubła. Na „handełesów” patrzył przez palce.

- Fajans daje za stare szmaty, za stare kaptcie, za stare kamizelki, za stare kapelusze!... Fajans, porcenele daje za gałgany, za stare szmaty!...

Handlarz zarzucał wór na plecy, chrobotął fajansem i „porceleną” i odczekawszy chwilę, ustępował z placu. Dźwięczne uderzenia młotkiem w kowadełko oznajmiały przybycie siwego „nożownika”. Wyciągano z pośpiechem noże z ułamanym końcem, stępione nożyczki i scyzoryki. „Nożownik” pedałowal zawzięcie, sypały się iskry na śnieg. Potem następowała próba włosa. Sam widziałem: tasak do rąbania mięsa przecinał włos na dwoje! Jak brzytwa! Uradowane gospodynie wracały do siebie, a „nożownik” brał maszynę na ramię i wędrował dalej.

- Butelki kupuje, butelki!...

Po butelkach wchodził na podwórze człowiek z dymiącą wspaniale blaszanką.

- Blacharz lutuje, pobiela, reperuje!... Pobiela, lutuje, repe!...

Koło południa pod trzepakiem stawał handełes, o którym opowiadano bardzo dziwne historie. Anusia dawała przenajświętsze słowo, że ten handlarz nic od nikogo nigdy nie kupił i nie kupi. Przychodził raz lub dwa razy na tydzień, zawsze z brudnym workiem pod pachą. Wołał gardłowym, grubym głosem:

- A handeł, a handeł!

Zerkano zza firanek, uchylano okna, ale nikt handlarza nie wołał na górę. Handlarz marszczył brwi, coś mamrotał w brodę i odchodził zagniewany na całą kamienicę. Wiedziano, że handlarz targuje się godzinę, potem zwija worek i oświadcza, że „nie kupi”. Dziwili się lokatorzy, mówili: jakiś wariat, udaje, że kupuje... Po co udaje? Tego nikt nie wiedział. Łatwo powiedzieć: wariat. Ale kto widział wariata w długich butach, w ciepłym, watowanym chałacie? Kto widział handełesa z pustym workiem w dorożce? A tego podobno ktoś gdzieś kiedyś widział... Mówiono, że ciepło ubrany handlarz dla przyjemności chodzi po podwórkach. Delikatnie i chytrze wypytywano innych Żydów.

- Co to za przyjemność zdzierać gardło i zelówki?

- A co za przyjemność zostawić pieniądze w „Lwowski Bar” i pobić się, za przeproszeniem, z dorożkarzem?

- No, to jak, ostatecznie, chodzi on dla przyjemności czy za interesem?

- Czy interes nie może być przyjemnością?

- Przecież nic nie kupuje! Gdzie tu interes?

- Czy przyjemność nie może być interesem? W tym domu też są takie osoby, które z przyjemnością robią interes. Ja nie chcę mówić kto...

- Więc chodzi dla przyjemności?

- Może z innego powodu?

Potem ktoś puścił plotkę, która zawojowała kuchni: Żyd chodzi na przeszpiegi! To właśnie ten handełes kupił wyleńskiego lisa od spadkobierców generałowej Bałaban. Nikt nie wiedział, że w ogonie są zaszyte carskie brylanty, Żyd oczywiście brylanty znalazł. I tak z lisa obgryzionego przez mole ma Żyd trzy kamienice i młyn motorowy w Serocku. Teraz chodzi, szpieguje, bo chce kupić czwarty dom z porządnymi lokatorami. Sensacja obiegła wszystkie piętra i wróciła na podwórze. Po dłuższej naradzie w stróżówce Stanisław postanowił sprawę wyjaśnić. Zapytał wprost:

- I jak będzie?

Żyd wykręcił się sianem.

- A co ma być?

Stanisław splunął i wrócił do stróżówki, żeby obmyślić spokojnie następne pytanie. Jak tak, to tak! Chytraść na chytraść! Puszczono w ruch zaprzyjaźnione młeczarki i wnet się okazało, że w Serocku, przy ulicy Warszawskiej, jest młyn motorowy Moszka Rosenberga. Co prawda przy Zdrojowej jest drugi młyn, też motorowy, ale to chyba nie ten, bo właściciel nazywa się Dworak. Wiatrak Elmera na

Zaokopowej w ogóle nie wchodził w rachubę. Wiadomości były pewne. Przywieziono je z samego Serocka, z restauracji Zasońskiego na Rynku.

Handełes odwiedzał podwórko, nie przeczuwając niczego. A tymczasem przy trzepaku, w stróżówce i na schodach trwały narady pełne chichotów. Szło o to, żeby „Rosenberga” przyspilić do muru, wypomnieć odebrane sierotom brylanty (no, bo jak nazwać spadkobierców nieboszczki generałowej?) i obrzydzić handlarzowi kupno naszej kamienicy.

Wkrótce potem rozegrała się decydująca scena. Handlarz wszedł na podwórko i jak zwykle zawołał:

- A handeł, a handeł!...

Wtedy podeszła do niego sprytna brunetka z oficyny. Twarz miała niby zapłakaną i okropne zmartwienie w oczach. Na rękę trzymała zupełnie nowe męskie palto. Z takich okazji żyją handlarze. Kto musi sprzedać, sprzedaje tanio i prędko. Zapłakana kobieta nie ma głowy do handlu. Łapie pieniądze i zaraz biegnie do apteki albo po lekarza.

- Panie Rosenberg, palto jest do sprzedania... - powiedziała sprytna brunetka i wytarła nos rękawem.

- Czy pan kupi, panie Rosenberg?

Cała kamienica zamieniła się w słuch. Co on na to powie? Handlarz przymrużył oczy i parę razy cmoknął, udając wielkie zdziwienie.

- Co pani się tak dziwnie pyta? Czy ja mogę wiedzieć, co kupi jakiś Rosenberg? Ja sam nie wiem, co ja dzisiaj kupię, bo na przykład takie palto może kosztować tyle, że nie opłaci się rozmowa.

Brunetka zbladła. Cały plan trafił szlag.

- To pan się nie nazywa Moszek Rosenberg?

- Czy ja jestem podobny do Moszka Rosenberga? Ja tu nie widzę żadnego Rosenberga. Po pierwsze, jaki Rosenberg, a po drugie, ja nic nie rozumiem. Ile kosztuje palto?

- Jak nie ma Rosenberga, to nie ma palta! - wrzasnęła brunetka z oficyny.

I na tym się skończyło. Nie było już miejsca ani na brylanty, ani na nieboszczkę Bałaban, ani na skrzywdzone sieroty.

Od tego czasu „Rosenberg” krzyczy do pustych okien. Stróż kręci głową.

- Jakie to twarde... Inny przyznałby się już sto razy... Może to wcale nie Rosenberg?

- A młyn motorowy w Serocku? A brylanty generalszy?

- Młyn, mówią, Rosenberga. Wychodzi więc, że jego, chyba że to nie Rosenberg...

- A kto? Jak nie Rosenberg, to kto?

Zrobiła się sprawa nie do rozplątania. „Nie na nasze głowy takie kręctwa” - mówiły kobiety. Pytano stróża, co na to wszystko rewirowy?

- Ano tak, jakby nic...

- Wziął w łapę i zadowolony. Cały świat się rozleci, a policyjna łapa zostanie!

„Rosenberg” zamykał pochód ludzi ciągnących sznurem od podwórka do podwórka. Wyjątek stanowił „inwalida”. Przychodził o różnych porach dnia i w różne dni. Zdejmował w bramie podarty szynel, zawijał rękawy koszuli (więcej w niej było dziur niż materiału...) i padał na kolana pośrodku podwórza.

A gdy huk armat wstrząsnął świat,
Jam moich marzeń rzucił kwiat...

Śpiewał przemarzniętym głosem, ze wzrokiem wbitym w niebo. Leciały z okien pieniądze zawinięte w papierek. Lokatorzy cofali się w głąb mieszkania, zatykali uszy, najchętniej wyszliby w ogóle z domu.

Inwalida urągał wszystkim. Obrażał tych od frontu i tych z oficyny. Zamiast współczucia wzbudzał złość. Ale któż przegna z podwórza byłego żołnierza? Datki nie pomagały. Z początkiem zimy urządzono kwestę. Zebrano trochę ciepłych rzeczy i niewielką sumkę. Wręczono dar za pośrednictwem dozorczy, prosząc jednocześnie, żeby inwalida dał spokój śpiewom podczas dużych mrozów. Inwalida odpowiedział, że pieniędzy za darmo brać nie może. Ukląkł w śniegu i odśpiewał cały repertuar od początku do końca.

Zwyciężył Orzeł Biały,
Zwyciężył polski lud...

Ciepłe rzeczy odprzedał „handełesowi” i poszedł na wódkę.

Wykorzystując nieobecność dozorczy, wpadali czasem na podwórze Cyganie. Mężczyźni zachwalali patelnie ręcznie kute i rondle do konfitur, kobiety dobijały się do drzwi.

- Powróżyć, pani, powróżyć...

- Kabalarka karty stawia... Pokaż rączkę, panienczko...

Młode służące bały się jędzowatych kabalarek jak diabeł świętego Michała. Wpuszczały Cyganichy do kuchni i wytrzeszczając oczy na karty, pocily się z powodu przeszłości lub przyszłości. Po wyjściu wróżbiary wybuchaly płacze. Podglądając przyszłość nie sposób upilnować srebrnych tyżeczek. Ginęły zawsze te najcenniejsze, „wyprawowe” albo „od kompletu”. Cyganie rozpętywali piekło. Panie domu dostawały spazmów i ataków hysterii, a biedne służące puchły od nieustannego beku.

W sezonie ogórków, śliwek, antonówek i kapusty przychodził druciarz, specjalista od drutowania „bunclowych garnków”, przeznaczonych na kiszonki. Ten gardła nie zdzierał, nie zachwalał swojej roboty ani krzykiem, ani pobrzękiwaniem narzędzi. Siadał spokojnie pod śmietnikiem i zwiżając grubego jak palec skręta czekał cierpliwie, aż kobiety ustawią się w ogonku.

- A na moje garnki starczy tam wam drutu? - pytała z końca kolejki pani Dubowa.

Była to najgrubsza osoba w okolicy. W zimowym palcie nie mogła precyzyjnie się przez drzwi mieszkania. Musiała rozbierać się i ubierać na schodach. Bardzo ciężkie życie miała pani Dubowa z powodu swojej tuszy. Była tak tęga, że w jej cieniu tuzin dzieci mogło stawiać babki z piasku!

Druciarz tylko czekał na okazję. O, z druciarzem nikt nie wygrał. Język miał jak brzytwa. Mogli się ludzie uczyć u niego żartów, tak jak inni uczyli się równych liter u kaligrafa Bermana z Elektoralnej ulicy.

- Starczy na garnki, starczy i na co innego! Ino se umyjcie, bo do drutowania musi być czyste!

Całe podwórko w śmiech. No, bo jak się nie śmiać, skoro jest z czego? Dubowa czerwona, a dookoła chichoty i przygadywania. Druciarz zadowolony, że trafił za pierwszym razem.

- Uciekajcie, pani Dubowa, bo wam zadrutuję! U druciarza nie kupił... Jak strzeli, jak zażartuje, kładź się, człowieku, nie patrz, kałuża czy sucho!

Po odrutowaniu kamionek żegnano dowcipnego druciarza do następnego sezonu.

Późną jesienią zjawiali się chłopci z parcianymi tobołami na plecach. Milczące postacie trzymały się bramy. Stróż bronił dostępu na podwórze, o chodzeniu po schodach w ogóle nie było mowy.

- Ni ma wchodu dla żadnego Grójca, Wynocha, warsiawiaki, bez most przez portek.

Warszawa nie lubiła okolicznych chłopów. Jakieś zadawnione porachunki uniemożliwiały nawiązanie dobrych stosunków i normalne rozmowy bez nazywania rodziny po imieniu. Jeszcze gorszą opinią cieszyli się mieszkańcy podwarszawskich osad i miasteczek. „Same kryminalne przesiedleńcy i ich pociotki” - tak o nich mówiono. Dlaczego? Też już nikt nie pamiętał. „Jedź pan na Wołomin albo do Jeziorny. Zobaczysz pan sam, co to za naród tam mieszka”...

Bogu ducha winni chłopci rozkładali swój towar pod murem kamienicy. Do przechodzących kobiet zwracali się tajemniczym szeptem. Wydawało się, że za chwilę wyjawią co najmniej gubernialny sekret. A oni mówili tylko:

- Bagno, bagno.

Mężczyznom podsuwali żubrówkę. Aromatyczną trawkę kupowały również mamki. Panowało powszechne przekonanie, że niemowlęta przepadają za ziołową przyprawą. Żubrówka (mówiono też turówka) pobudzała apetyt i krzepiła siły. Znające się na rzeczy mamki zajadały żubrówkę od rana do nocy.

Przed zmrokiem chłopci zawijali resztę ziół w płótno i odchodzili w kierunku rogatek. Następnego dnia znów ich widziano przed bramą.

Piaskarz odwiedzał podwórze jesienią i na wiosnę. Wołał:

- Piasku, żółtego, wiślanego, piasku...

Piasek kupowali stróże. Posypywali „żółtym, wiślanym” drewniane schody, chodnik przed domem podczas gołoledzi i asfalt wokół śmietnika.

Na wiosnę, po wyjęciu waty z okien i po umyciu szyb denaturatem, rozlegało się wołanie oznajmiające najmiłszą porę roku:

- Ziemia do kwiatów, do balkonów! Ziemia, ziemia!...

Furmanka z czarną, „ogrodową” ziemią zatrzymywała się przed bramą. Napętniano doniczki i skrzynki pod petunie. Zimę szlag trafił, wróciło ciepło, zaczęło się życie od początku. Może będzie lepiej... Przesiewano ziemię przez palce, wążano, bo niektórzy oszuści dosypywali pyłu węglowego dla mocniejszego koloru.

Wkrótce potem brzęk dzwonek i uderzenia w bębenek ściągały na podwórze dzieci ze wszystkich mieszkań. „Trupa Stefano” składała się z trzech osób. Dziewczynka potrząsała tamburynem, kobieta rozścielała dywanik pod śmietnikiem, a mężczyzna popisował się sztukami. Najpierw fikał kozły. Dziewczynka z tamburynem tańczyła dookoła dywanika. Kobieta krzyczała „ale-hop-la, ale-hop-la!” i czerwonym kijkiem uderzała mężczyznę w tyłek, żeby fikał prędeej. Potem chodził na rękach i połykał ogień. Na zakończenie tańczył w takt bębena z nożem kuchennym na czubku nosa. Nóż był ogromny i bardzo ostry, mimo to trzymał się nosa jak przylepiony, a właściwie jak wbity.

Dzieci klaskały w dłonie, krzyczały „och” i „ach”, piszczały z uciechy. Dziewczynka zręcznie chwytła pieniądze na bębenek i grzecznym dygiem dziękowała za każdy datek. Sztukmistrz niecierpliwym ruchem rozrywał papierki, liczył i oddawał pieniądze kobiecie. Opuszczali podwórze zawiedzeni, ku rozpaczy dzieci nie powtarzając żadnego numeru na bis. Dorośli mówili, że to wstyd, żeby „coś podobnego działo się w dwudziestym wieku”, że „tylko skrajna nędza może doprowadzić ludzi do stanu takiego poniżenia”. Wesoła trupa miała bardzo smutne oczy. Byli też wszyscy bardzo chudzi. Ale przecież człowiek z brzuszkiem i ze złotą dewizką w kamizelce nie będzie machał kozłów na dywaniku pod śmietnikiem.

- Chudy skacze, bo grubemu brzuch zawadza - mówiła Anusia. - Musi skakać i tykać, i nos kaleczyć nożem, skoro ludzie wymyślili cyrkowe sztuki. Ale ja, niech trupem padnę, za żadne skarby nie wzięłabym takiego świństwa do ust.

- Ani na chwilę?

- Niech ja skonam, proszę pani, ani na chwileczkę.

- Ani na spróbowanie?

- A czy ja zabiłam kogo, żeby musiała żywy ogień wpuszczać do środka?

Pani Kaszyrin uśmiechała się pogodnie. Na sprawy podwórka patrzyła już z pewnej odległości, jaką stwarza wiek i psujące się raptownie zdrowie.

- Czasami, moja droga Anusiu, chwila znaczy więcej od całego życia.

Anusia ceniła złote myśli. Nie lekceważyła jednak własnego doświadczenia. Pytała tonem pierwszej naiwnej:

- A bo to, proszę pani, prawda?

- Prawda.

Pani Kaszyrin poważnie pochylała głowę. Anusia, coś sobie przypomniawszy, składała ręce jak do modlitwy.

Przyszłość, razem z mieszkaniem, należała do Anusi. Starsza pani żyła zaś przeszłością, i to przeszłością bardzo odległą. Pani Kaszyrin kończyła Instytut Aleksandryjski (albo jakiś inny) i do czasów instytuckich powracała parę razy dziennie. Przypominała, jakby to wszystko działo się naprawdę wczoraj i jeszcze trwało w pamięci słuchaczy. A więc: bardzo elegancki, drobny i prędko krok, jakim poruszały się „instytutki”, galowe suknie z odsłoniętymi ramionami i ceremoniał towarzyszący wizytacjom Instytutu przez członków rodziny cesarskiej...

Na zwiędłej twarzy pojawiał się rumieniec. Zmieniał się głos. Oczy odzyskiwały blask i barwę. Pani Kaszyrin poddawała się cudownemu złudzeniu, że znowu jest młodziutką panną, uczennicą Instytutu. Kiedy przyjechał Wielki Książę, panna Kaszyrin była w ostatniej klasie.

- Przyjechał i tylko na mnie zwrócił uwagę! Jak w baśni!

Pani Kaszyrin promieniała szczęściem sprzed lat. Musiało coś być w pannie, że z miejsca wpadła w oko i przykuła uwagę członka rodziny cesarskiej. Jak długo trwała chwila wielkokiążęca? Pani Kaszyrin szczególnie pozostawiała domyślności słuchaczy.

Skończywszy Instytut, panna Kaszyrin poczuła się fatalnie. Życie straciło nagle urok. Poza Instytutem nie miało w ogóle sensu. Kaszyrin poczyniła odpowiednie starania i wkrótce otrzymała nominację na „damę klasową” Instytutu. Może liczyła, że przygoda się powtórzy? Może kierowała się sentymentem do miejsca, gdzie „się to wszystko zaczęło”? Może powodowana instynktem wybrała po prostu najwłaściwsze środowisko? Cóż wart znakomity cyklista w środowisku ludzi nie interesujących się pedałowaniem? W Instytucie o Wielkim Księżu i Kaszyrin opowiadano coraz bujniejsze historie. Klasną dama łowiła szepty i spojrzenia nowych „instytutek”. Słyszała wokół siebie: „To ta Kaszyrin, która... z którą... której...” Była szczęśliwa. Trzymała się więc Instytutu aż do generalnej klapy kramu z carami i wielkimi księżętami.

Była dama klasowa zachowała jak najlepsze wspomnienia o dawnych czasach. Bolszewików krytykowała z umiarem, nie zapominając ani na chwilę o dobrych manierach. *Wypadki rosyjskie* wprawiły panią Kaszyrin w bezgraniczne zdumienie. Czy warto burzyć cały gmach tylko dlatego, że w suterrenach popsuła się kanalizacja? Pani Kaszyrin szczerze współczuła młodym panienkom, którym przewrót odebrał szansę przeżycia romantycznej przygody z prawdziwym wielkim księciem.

- Dopóki w Rosji utrzymuje się obecny stan rzeczy... - mówiła pani Kaszyrin, lecz nie dopowiadała myśli do końca. Dawny stan rzeczy nie był znów aż tak odległy, żeby wszystko zapomnieć. Pamiętano jeszcze kozackie galopady po ulicach Warszawy i przyjezdnych elegantów w cholewach à la harmoszka. Cytadela i prawosławna Kupa na placu Saskim przypominały o carskich apetytach. To car wymyślił: „Dogłupić Polaków do poziomu Rosji”. Była dama klasowa z pewnością była niewinna, a jednak, mówiąc o przeszłości, odczuwała skrępowanie. Rozumiała, że najlepszy budyń z kremem i z wanilią nic tu nie pomoże. Nie laźła w kaloszach w polską przeszłość. Poprzestawała na westchnieniach. „Dzisiejsza młodzież przeżywa coś w rodzaju wygnania z raj. Świetne ramy porąbano na opał. Życie stało się szare i ubogie. Ani wielkich mundurów, ani strojnych toalet, ani oszałamiających wnętrz... Pamięta pani kawalergardów? Bardzo mi ich szkoda”.

W tym momencie odzywała się katarynka wygrywająca na podwórzu starego, sentymentalnego walczyka. Pani Kaszyrin, posłuchawszy chwilę melodii, uśmiechała się smutnie.

- Czyżby zostało tylko tyle?... Przeleciało przez palce, poleciało jak przez dziurawe sito. I nikt nie bronił! Wśród przyjaciół psy zająca zjadły...

Anusia wtrącała uwagę, że wszystkiemu winien paskudny Rasputin. Gdyby nie te bezeceństwa, na jakie pozwalała sobie carowa, może Pan Bóg zaczekałby jeszcze sto lat.

Kaszyrin powstrzymywała Anusię łagodnym ruchem ręki. Prosiła, żeby nie obarczać biednej Aleksandry Teodorowny grzechami Katarzyny Drugiej.

- Jak to się mogło stać!

Zdawało się pani Kaszyrin, że sekret umożliwiający zrozumienie „wypadków rosyjskich” przywieźliśmy z Kijowa w koszu od bielizny. Opowiadała więc mama całą historię po kolei. Ciągle trzeba było coś powtarzać. Dama klasowa naprawdę nic nie rozumiała.

- Przecież samych oficerów było w Rosji siedemset tysięcy!

Po tym okrzyku zaczyna się najciekawsze. Do pokoju na Mokotowskiej z łoskotem i hukiem wtaczają się eszelony pełne wojska, pociągi pancerne i eszelon Misji Polskiego Czerwonego Krzyża. Pani Kaszyrin szuka „sekretu”. Nas interesują losy polskiego eszelonu.

Po wycofaniu się z Kijowa wagony polskie utknęły na pięć dni w Fastowie. Na sąsiednim torze stał eszelon Osetyńców. Słychać głosy. Żołnierze mówią o Kijowie.

- Mówili nam: Żydzi rzną Ruskich. Myśleliśmy: biedni Rosjanie. Żydów dużo, Rosjan mało. Aż tu przychodzimy i widzimy: Żydów mało, Rosjan dużo.

Po dłuższym namyśle odzywa się inny głos:

- Rosjanie tchórze.

Nadbiega oficer. Protestuje krzykliwie, z pasją. Żołnierz odpowiada z kamiennym spokojem:

- Cicho, ty, oficerze. Pójdzie Osetyniec, przyjdzie bolszewik. Źle będzie z tobą. Pilnuj swego cukru...

Oficer wykręca się na pięcie, odchodzi. Wkrótce potem Osetyńcy ładują się do wagonów. Eszelon rusza w drogę. Od strony Koziatyna wiatr niesie ostrą strzelaninę. W pobliżu stacji zajeżdża lekka bateria i kieruje lufy na Koziatyn.

Wagony polskie doczepiono do pociągu, którym dowodził młody kornet. Oficerowi towarzyszy przystojna dama w czerkieskim stroju z rewolwerem za pasem. Piękna brunetka na krok nie odstępowała kometa. Cichym głosem wydaje co chwila polecenia. Za pośrednictwem korneta komenderuje eszelonem i oficerską sotnią.

Pociąg wlecze się w kierunku Białej Cerkwi. W polskich wagonach kilka osób zapada na tyfus plamisty. Coraz trudniej o wodę. Pompy stacyjne zniszczone, zbiorniki puste lub zapaskudzone. Maszynista sprzedaje zaoliwiony wrzątek z parowozu za spirytus i słoninę. Zapasami Czerwonego Krzyża interesuje się również towarzyska komendantka pociągu. Kornet odwiedza polskie wagony i pod pretekstem „choroby żony” usiłuje wyłudzić parę butelek lub kilka funtów tłuszczu. Dla stworzenia odpowiedniej atmosfery opowiada:

- Bolszewicy zajęli Kijów, Charków, Połtawę i Hrebionkę.

Ponieważ nikt z członków Misji nie sięga po alkohol ani po słoninę, oficer dodaje:

- Stosunki z Polską Misją przy rządzie Denikina są bardzo naprężone.

A gdy i to nie odnosi skutku, kornet ucieka się do argumentu ciężkiego kalibru:

- Misja przy Denikinie została wymordowana przez oficerów oburzonych antyrosyjskimi uczuciami Polaków!

Ale i ta wiadomość chyba celu. Kornet salutuje i wynosi się z wagonu, dotknięty do żywego. W takim nastroju eszelon wjeżdża na stację w Białej Cerkwi. Wokół zupełna ciemność. Postój przedłuża się, znów jakieś kłopoty z parowozem. Z mroku wysuwają się przygarbione postacie. Chłopi. Rozpoznawszy Polaków, wdają się w rozmowy. Są zastanawiająco zgodni w ocenie Armii Ochotniczej.

- *Taci samy złodije... Taj szoż teper bude?*

Tego nikt nie wie. Późną nocą lokomotywa budzi się ze snu. Nagłe szarpnięcie i eszelon toczy się dalej, na Odessę, z prędkością dwudziestu wiorst na dobę...

Przed stacją Woronowo-Horodyszczce lokomotywa gwizdże ostrzegawczo. Pociąg zwalnia, patrol „dobrowolców” rusza w kierunku zabudowań. W chwilę później wyładowuje się cała sotnia. Podobno stacja i wieś zajęte przez „bandy”. „Dobrowolcy” zaginają skrzydła tyraliery, otaczają stację i pobliskie budynki. Na peronie widać gęsty, nieruchomy tłum. Zobaczywszy „dobrowolców”, tłum rzuca się do ucieczki. Gdzieś poza stacją wybucha chaotyczna pukanina. „Dobrowolcy” walą z karabinów Panu Bogu w okna. Strzelanina urywa się nagle. Koniec „potyczki”, zwycięska sotnia, postukując kolbami, gromadzi się na torach. Wśród żołnierzy wymizerowany chłop z workiem na plecach. Co w worku? Chłop zgrabiętymi palcami rozsuptuje sznurek. Niedobrze, worek pełen telefonicznego kabla.

- Skąd kabel? Po co kabel? Skąd kabel?

Sytuacja wymaga odpowiedzi prędkich, przekonywających. Chłop tłumaczy się rozwlekłe, więc dwaj oficerowie biorą go pod rękę i odprowadzają „na bok” za róg budynku. Tymczasem sotnia formuje się do przeglądu. Kilku uczniów, trzech studentów paru marynarzy i kawalerzystów, dwóch oficerów sztabu, czterech z gwardii, trzech zwykłych żołnierzy. Wszystkiego sześćdziesięciu ludzi. Wszyscy brudni, w założonych szynelach, obojętni, senni.

Do sotni przemawia pułkownik. Opowiada o „bandach” we wsiach i po lasach, karci za beładną strzelaninę wszczętą bez rozkazu. Nikt go nie słucha. Pułkownik ucina przemowę, macha ręką. „Dobrowolcy”, siłkając w rękaw, człapią do swego wagonu. W kilka minut później tych samych ludzi ogarnia podniecenie. Wyskakują z wagonu i biegną co sił w nogach na koniec pociągu. W jednym z wagonów przeznaczonych dla Odessy zwąchali cenny ładunek: cukier z cukrowni Steblowskiej! Nikt się nie ociąga, nikogo nie trzeba popędzać. Momentalnie wyłamano drzwi i rozpoczęto przeładunek cukru do wagonów zajętych przez sotnię. Wszyscy widzą, lecz nikt nie myśli „armii” przeszkadzać. Dziwnym trafem komendant eszelonu ma coś pilnego do załatwienia w drugim końcu pociągu, a krewki pułkownik zaszył się w kąt i nosa nie wysuwa z wagonu. Wiadomość o cukrze roznosi się prędko po okolicznych domach. Na peronie znowu gromadzi się tłum. Chłopi interesują się cukrem, wypytują o cenę. Zaczynają się ostrożne targi.

Cena już ustalona. Osiemset rubli za pud, ani rubla mniej. „Dobrowolcy” sprzedają każdemu. Pytają tylko o pieniądze... Powyżlili z „ciepłuszek” Rosjanie. Patrzą, kalkulują, sięgają po ruble.

- Na cukrze nikt nie stracił. Waluta tak pewna, jak spirytus...

Kto nie ma pieniędzy, wysiada również, żeby choć popatrzeć, jak inni przesypują cukier do swoich pakunków. Na starego chłopca, który usiadł na szynach, nikt początkowo nie zwracał uwagi. Sądzone, że chce wygodnie nacieszyć się widokiem cukru. Chłop nagle zgarbił się, kiwnął się raz i drugi, potem runął na twarz. Nad leżącym pochyłili się współtowarzysze podróży. Nadbiegł ktoś z Polaków.

- Co się stało?

- *A szczoż? Dochodyt' taj hodi...*

Zdziwieni współczuciem okazanym obcemu, dodają z westchnieniem:

- *Szcze dobre, szo tak wmer, a tob szcze chto zarizaw...*

Gwizd parowozu przerywa rozmowę. Polak wraca do polskich wagonów, chłopci gramolą się do „ciepłuszki”. Jeszcze kilka gwizdów, łoskot buforów, jakieś zgrzyty -i piskliwe zawrodo nie smarowanych od dawna osi. Eszelon jedzie dalej, odprowadzany posępnym spojrzeniem ludzi pozostających na miejscu.

Święta Bożego Narodzenia dopędzają eszelon przed stacją Wiska. O zmierzchu zjawia się komendant pociągu i prosi Polaków na herbatę. Zaproszenia nie należy traktować dosłownie. Podpity oficer przymawia się znów o parę butelek wina i „trochę czekolady”... Następnego dnia eszelon dobija jakoś do Wiski. Kilka nowych wypadków tyfusu. Normalne kłopoty z wodą. Na przestrzeni paruset kilometrów działa zaledwie kilka pomp stacyjnych. Polacy rozpytują o świeże produkty. Kolejarze odradzają wyprawę po żywność. „W pobliskich wioskach - mówią - jedni leżą powaleni tyfusem, a drudzy, zdrowi, z karabinem w ręku czekają przy trakcie. U rabowanych i rabujących - tylko czarny chleb... Nie ma po co chodzić. Po kulę chyba...” Z Wiski pociąg kieruje się na Birzulę. Ostatnie dni roku przynoszą sensacyjne wiadomości: w Warszawie zmiana gabinetu. Premierem został Skulski. Podobno zawarto jakieś porozumienie z Denikinem.

- Polacy idą na Homel.

- Polacy zajęli Żmerynkę.

- Polacy w Winnicy.

- Polacy podchodzą pod Koziatyn.

„Dobrowolcy” zacierają ręce. Polacy z eszelonu zachowują się bardziej powściągliwie... Spółka z Denikinem śmierzdzi kiepskim interesem. Sytuacja dyktuje nową marszrutę do Polski: Birzula - Wapniarka - Żmerynka - Wołoczyska. Ale w Birzuli nie ma lokomotyw, nie ma opału dla lokomotyw i nie ma maszynistów. Od kilku dni wszyscy maszyniści chorują... Pomocnik zawiadowcy wzdycha raz za razem. Wreszcie mówi znaczącym tonem:

- Warto z maszynistami pogadać. Wiem, gdzie ich szukać...

Wskazanie drogi też kosztuje. Pomocnik zawiadowcy prowadzi do małego domku daleko od stacji. Przy stole kilkunastu maszynistów intensywnie kuruje się samogonem. Przewodnik dokładnie przedstawia sprawę, potem pyta:

- No, chłopcy, kto chce jechać? No, jak tam, chłopcy, z wami?

Maszyniści uważnie lustrują mundury Czerwonego Krzyża, wzdychają i zmrużywszy oczy coś sobie kalkulują w milczeniu. Kilka zdań zamienionych półgłosem i znowu cisza pełna głębokich westchnień. Daleka droga to nie kieliszek wódki, trudno się zdecydować bez namysłu. Wreszcie pada rzeczowe pytanie:

- A spirytus panowie macie?

Któż by bez spirytusu zaczynał poważną rozmowę? Jest spirytus, jest. Co ważniejsze, jest w odpowiedniej ilości i odpowiedniej mocy.

- A słonina?

- Słonina pierwszorzędna - wtrąca pomocnik zawiadowcy.

- Słonina jest - powtarza z powagą maszynista. - No, to dacie mi trochę pieniędzy. Ot, tam, jakieś czterdzieści tysięcy, to i pojedę... - Potem, zwracając się do siedzących za stołem: - Cóż robić? Pieniądzy nie ma, produktów nie ma, żona uciekła... Chyba pojedę, chłopcy, czy co?

- Ano jedź, czemu nie? - odpowiadają maszyniści obojętnie.

Po godzinie jest lokomotywa gotowa do dalekiej drogi, zaopatrzona w wodę i spory zapas drewna. Niestety, lokomotywa nie może się dostać do pociągu.

- Zapomnieliśmy pomówić z człowiekiem, który miał przeprowadzić przez zwrotnice - zawołał pomocnik zawiadowcy.

Po krótkiej rozmowie ze „specjalistą” trudności zostały usunięte. Lokomotywa dobiła do pociągu, a maszynista, sprawdzwszy wartość spirytusu i słoniny, ogłosił publicznie, że właściwie też czuje się Polakiem. Obiecał solennie, że doprowadzi eszelon „do samej Warszawy”. Po tych zapewnieniach ruszono w drogę. Nad ranem eszelon wjechał na stację w Wapniarce. Gospodarowali tu komendanci „białych” eszelonów i za pomocą rodzimych sposobów usiłowali przyspieszyć jazdę do Odessy. Zawiadowca stacji otrzymał dwadzieścia pięć nahajów za „sabotaż”. Komuś wybito zęby kolbą nagana. Komuś innemu „dobrowolcy” na wszelki wypadek „skuli mordę”. Nastrój na stacji fatalny. Kolejarze narzekają w bezsilnej złości:

- Gorszi od najgorszych... Straszą nas cholera i tyfusem, a sami jak dzuma. Sobacza dzuma ta cała Ochotnicza Armia...

Od Żmerynki napływają złe, niepokojące wieści. Podobno miasto i stacja zajęte przez jakieś „bandy”. Mimo wszystko eszelon wyruszył w kierunku Żmerynki. Trzydziestego wieczorem dojechał do Rachen Leśnych. Jeszcze pociąg nie zdążył się zatrzymać, gdy do wagonu wskoczyło dwóch oficerów denikinowskich. Podnieceni alkoholem i niewyraźną sytuacją w rejonie Żmerynki, machają rękami i gadają jeden przez drugiego:

- Żmerynka zajęta przez bandy Szepela! Dalej jechać nie sposób, musicie razem z nami wracać na Odessę!

Wiadomo, o co chodzi! Członkowie Misji biegną do lokomotywy: na brankardzie kilkunastu zaspanych denikinowców. Potraktowani głośno i zdecydowanie, złączą bez słowa sprzeciwu. Siągając w rękawy, rozpetzają się po stacyjnych zakamarkach. Na lokomotywę ładuje się polska „eszkorta”, uzbrojona w pozbierane po drodze karabiny.

Zaczyna się telefonowanie na wszystkie strony.

Odessa potwierdza wiadomość o zajęciu Żmerynki. Denikinowski sztab „odcinka” stwierdza kategorycznie, że jechać dalej nie można. Kto zajął Żmerynkę, co się dzieje na szlaku - o tym nikt nie ma zielonego pojęcia. Wobec tego Polacy próbują połączyć się ze stacją w Żmerynce. Okazuje się, że telefon działa. W słuchawce odzywa się męski głos, który przedstawia się jako Koźlicki, porucznik wojsk „hałyckich” i komendant stacji.

- Za godzinę prosimy... Wcześniej nie można, bo tory zajęte.

Uprzejme zaproszenie wywołuje zrozumiałą nieufność. Coś tam jest nie w porządku. Jechać do Żmerynki czy wracać na Odessę? Zanim powzięto decyzję, od strony Żmerynki nadjechał eszelon denikinowski. „Dobrowolcy” klną i sobaczą. W przerwach opowiadają:

- Podczas planowanej ewakuacji „hałyczanie” odprzodkowali kilka dział i walnęli po torach stacyjnych. Powstała panika, z której skorzystał Szepel. Uderzył na Żmerynkę i zajął stację. Teraz rabują wspólnie. W Żmerynce krzyk i strzelanina. Ludzie w koszulach uciekają na wieś.

A więc z linii Żmerynka - Płoskirów - Wołoczyska trzeba zrezygnować. Eszelon zawraca na Odessę. Może się uda dotrzeć do Tyraspola?... Po trzydziestu kilometrach drogi następuje katastrofa. Eszelon wjeżdża na stację Żurawlenka i zatrzymuje się tuż obok transportu „hałyczan”. Komendant transportu, przystojny oficer w żółtych butach z ostrogami i w damskich karakułach narzuconych na ramiona, prosi szefa Polskiej Misji o chwilę rozmowy.

- Stoimy cztery dni. Mam chorych i rannych. Nie mogę doprosić się lokomotywy. Panowie muszą zrozumieć moją sytuację...

W trakcie rozmowy od strony lokomotywy rozlegają się krzyki i przekleństwa. Komendant „hałyczan” uśmiecha się drwiąco.

- Mam ośmuset ludzi i dwanaście kulomiotów.

Eszelon polski liczy około dwustu ludzi, w tym ogromną większość stanowią dzieci, kobiety, starcy i chorzy na tyfus. Kilkanaście zdezelowanych karabinów reprezentuje „siłę ogniową” strony polskiej. Zwycięstwo „hałyczan” nie ulega kwestii. Lokomotywa zostawia polski skład i po kilku manewrach „bierze na plecy” transport ukraiński.

Ostatnia nadzieja w telefonie. Szef Misji łączy się z dowództwem Armii Ochotniczej. Przedstawiciel sztabu rozpląta się w grzecznościach i sypie uroczystymi zapewnieniami:

- Omyłka, nieporozumienie. Parowóz zostanie natychmiast zwrócony. Zaraz wyjaśnimy sprawę. Szczęśliwej drogi.

W pięć minut później telefonuje do Odessy komendant w damskich karakułach. Dowództwo na wszystko się zgadza. „Odessa- -mama nikomu nie odmawia!” Transport „hałyczan” opuszcza Żurawlenkę. Ukraińcy żegnają Polaków śmiechem i drwinami: „Przyjechali własnym parowozem i zostali jak durnie bez lokomotywy!” Lokomotywa irytuje się, szarpie, raptownie przystaje, wreszcie poddaje się argumentom uzbrojonych „mołojców” i rusza potulnie w kierunku Odessy.

Nadciąga wieczór. W opustoszałych budynkach stacyjnych ani kolejarzy, ani żywej duszy. Pustka, cisza. W polskich wagonach, przy rozpalonych piecykach, ludzie z trudnością powstrzymują łzy. Wszystko wydaje się stracone. Złe wróżby na Nowy Rok, bo , to się dzieje w wieczór sylwestrowy.

Gdy mrok gęstnieje, z lasków przylegających do torów wynurzają się pojedyncze postacie. Z początku trzymają się z daleka. Potem podchodzą bliżej, śmieiej i coraz liczniej. Wokół unieruchomionych wagonów gromadzi się tłum, milczący, apatyczny, o powolnych ruchach. Tłum zaopatrzone w puste worki. Nie słychać rozmów ani nawoływań. Ludzie z workami wchodzą na stopnie wagonów i zaglądnają do środka.

Pytają o sól i naftę. Interesują się wymianą pieniędzy. Stłumionym głosem, prawie szeptem pytają, na jaką sumę można liczyć w każdym wagonie. Zmarzniętym wzrokiem wpatrują się w piecyki. Chłoną ciepło, myszkuje oczami wśród tobołków i pakunków. Zza lasu, z ukrytych w ciemności chat i domów nadchodzą coraz nowi. Gęsty tłum otacza wagony ze wszystkich stron. Za chwilę północ, Nowy Rok.

Tuż przed północą od strony Wapniarki nadlatuje przeraźliwy ryk syreny. Buczenie przybliża się z prędkością dobrego ekspresu, z łoskotem kół, dudnieniem szyn. Rozpędzony parowóz roztrąca tłum, uderza z fantazją w bufory i z przenikliwym zawodzeniem syreny wyciąga wagony na pusty szlak odeski.

- Teraz możemy złożyć sobie życzenia noworoczne.

Ludzie śmieją się, płaczą. Ścierają z twarzy śmiertelny pot i strach.

Na tle śniegu widać przygarbione postacie, sunące wolno ku ciemnej plamie lasu. „Puste worki” wracają tym samym apatycznym, znużonym krokiem do lodowatych izb, wyziębłych pieców i pustych misek. Korowód zawiedzionych ludzi roztapia się w mroku, ginie z oczu za snopem pomarańczowych iskier. Maszynista zbiera owoce cnoty. Rozgrzany spirytusem, nie żałuje pary. Opowiada, że uciekł „świńskim mordom” (maszyniści nie lubią poszturchiwania kolbą...) w Wapniarce. Zbyt pewni siebie „hałyczanie” rozleźli się za samogonem. Wtedy maszynista „skoczył” pod pompę, spod pompy „przeskoczył” na drugi tor i pełną parą pognął z powrotem. Póki obowiązuje umowa „spirytus, słonina i trochę pieniędzy”, maszynista gotów jechać do Polski choćby najdłuższą drogą.

Nie udało się przez Żmerynkę, wrócimy przez Odessę! - oświadcza z fantazją i otwiera następną butelkę „na szczęście, na zdrowie, za powrót”.

Z południa Rosji dwie drogi prowadzą do Polski: albo przez Odessę morzem, albo z Tyraspoła przez Dniestr do Bender. Ledwie eszelon minął Wapniarkę, wiadomo już z całą pewnością: porty rumuńskie nie przyjmują statków wychodzących z portów rosyjskich. Dniestr obsadzony. Drogi z Tyraspoia do Bender i z Owidiopola do Akermanu zamknięte dla wszystkich uchodźców ze wschodu. Przez kordon graniczny można przedostać się tylko z polskim paszportem. O polski paszport zaczyna się walka przy pomocy „dokumentów” i setek tysięcy rubli. Powstają „polskie komitety” i „polskie konsulaty”

wystawiające sążniste dokumenty, ostemplowane cudacznym „Białym Orłem”. Wokół prawdziwego konsulatu w Odessie tłum stoi dzień i noc. Uchodźcy z Ukrainy, Kaukazu i Południa kołaczą o prawdziwe polskie paszporty. Sytuacja sprzyja pośrednikom. Na odeskim bruku rodzi się nowy typ „mecenasa”, który przy pomocy stosunków i znajomości może „przyśpieszyć” uzyskanie paszportu. Później, kiedy nadeszła wiadomość o wzięciu Rostowa nad Donem, paszporty skoczyły nagle w górę. Po prostu nie było na nie ceny! Bolszewicy rozerwali front i siły denikinowskie na Ukrainie odcięli od głównych sił na Kubaniu.

Eszelon polski dołynął do Odessy razem z jedną z ostatnich fal denikinowskich. Pociągi pełne rannych, rzuconych w drogę bez leków i opieki, pociągi z cukrem, pociągi ze spirytusem, eszelony oficerskie, objuczone zrabowanymi rzeczami, pociągi wiozące rodziny zmarłych na tyfus oficerów - to wszystko szukało ratunku na brzegu Morza Czarnego. Ale w Odessie nie było węgla i nie było statków. Nadzieja ewakuacji drogą morską rozwiąta się jak wiele innych nadziei, którymi ciągle żyli „biali”.

Piątego stycznia 1920 roku eszelon wjechał do Odessy. W mieście tyfus, brak opatu, rabunki o każdej porze dnia i nocy. Rumuni zacięli się i nie wpuścili nikogo w ciągu całego stycznia. A do Odessy ciągną coraz to nowe eszelony, zjeżdżają zatłoczone pociągi ze wszystkich stron. Odessa trzeszczy. Podobno ma się bronić. Za falą denikinowców i uciekinierów idą forpocztę Czerwonej Armii.

„Biali” piekłą się na koalicję. „Przysyłają nam płaszcze i buty. Wielka sztuka! Niech przyjdą sami i razem z nami, ramię w ramię, staną do szeregów”. Angielskie buty prosto z magazynów wędrują na bazy. Front „ochotniczy” chodzi boso lub w butach ściągniętych z chłopa... - przypominają ludzie zorientowani w zyskach denikinowskich kwatermistrzów. Denikinowcy sypią pretensjami na lewo i na prawo. „Dlaczego Polacy nie pomagają Rosjanom? Dlaczego wojska polskie nie uderzają pod Korosteniem? Dlaczego Kijów jeszcze nie zajęty?” Proponują sformowanie mieszanych oddziałów „strzelców rosyjsko-polskich” pod komendą „białych” oficerów. „Nasza sprawa ginie. Kto nam teraz rękę poda, tego nie zapomnimy. A kto nas opuści... No, tego zapamiętamy sobie do końca życia...”

Dni Odessy już policzone. O bolszewikach coraz głośniej. Podobno wystarczy wyjść na przedmieście, żeby zobaczyć na horyzoncie podjazdy czerwonej kawalerii. „Odessa będzie broniona” - powtarzają denikinowskie władze. Generał „armii ochotniczej”, dawny oficer gwardii i człowiek cieszący się opinią tęgiego umysłu, sceptycznie ocenia przygotowania obronne. „Po co walczyć przeciwko zjawiskom nieuniknionym? Trzeba przyśpieszać to, co nieuniknione. Powstrzymanie choroby zje ostatek sił. Nam nie pomogą ani transporty szyneli, ani całe korpusy indyjskie lub kanadyjskie...” Następnego dnia mianowano generała szefem sztabu obrony Odessy.

Przewlekłe rokowania z Rumunami doprowadziły wreszcie do porozumienia. Rząd bukareszteński zgodził się otworzyć granicę. Sto osób dziennie może przejść na drugi brzeg. Z chwilą nadejścia bolszewików granica zostanie ponownie zamknięta. Rumuni pragną uniknąć konfliktu z nową siłą, która wyrosła na terytorium Rosji.

Eszelon Czerwonego Krzyża ma opuścić Odessę czwartego lutego. Na stacji Zastawa połączy się z eszelonem konsularnym i ruszy dalej, na Tyraspol.

Kolejarze nie wytrzymali nerwowo i wyprawili polskie wagony o parę godzin wcześniej. Członkowie Misji, wróciwszy z odprawy na dworzec, zastali tory puste. Trzeba brać konie i gnać dorożką do położonej o kilkanaście wiorst Zastawy. Ciemnieje. Na ulicach już postukują karabiny. Słychać

wybuchy granatów. „Znów gdzieś rabują prawdopodobnie”. Nikt się nie dziwi, nikt nie śpieszy z pomocą. Dorożkarz zacina konia i tuż za dworcem towarowym wjeżdża między rozrzucone w poprzek ulicy tyraliery. Uzbrojone postacie coś krzyczą. Dorożka leci cwałem, turkot kół zagłusza krzyki i pojedyncze strzały. Widać już przeciwników tyralierów. Pod ścianami drewnianych ruder przebiegają skulone sylwetki. Znowu krzyki: „Stój stój!”, znowu porcja karabinowych strzałów.

- Zbieraj nogi, widzisz, co się dzieje!... - woła dorożkarz. Koń jakby zrozumiał.

Jeszcze chwila i potyczka uliczna zostaje daleko w tyle. Po strzelaninie cisza huczy w uszach. Po obu stronach ruiny domów zniszczonych wybuchem prochowni w roku 1918. W pół godziny później dorożka zajeżdża na stację Zastawa. Są wagony! Dorożkarz zgarnia zapłatę, przeciera konia i ku zdumieniu Polaków zawraca spokojnym kłusikiem, choć daleką strzelaninę słychać wciąż wyraźnie.

- Postrzelają i przestaną...

Nad ranem przybywa eszelon konsularny z polską eskortą wyposażoną w kulomioty. Nastrój poprawia się momentalnie. Pociąg rusza w drogę i po całodiennej jeździe zatrzymuje się w Rozdzielnej. Rano następny postój w Kuczurganie. Potem już tylko kilka godzin i - Tyraspol. W Tyraspolu panika. „Bolszewicy blisko! Trzeba się śpieszyć, Rumuni lada dzień mogą zamknąć granicę!”

Od tygodnia Tyraspol stał się ośrodkiem dla resztek armii denikinowskiej, operującej na Ukrainie prawobrzeżnej. Po zajęciu Rostowa Armia Ochotnicza rzuciła się do ucieczki wypróbowaną już w kwietniu 1919 roku drogą na Rumunię. Z północnego wschodu ściągnęła do Tyraspola grupa Bredowa, z południa grupa Szylinga. Dzień i noc trwa przemarsz „białych” śpieszących nad Dniestr. Sunie nieprzerwany sznur sań, powozów i chłopskich fur. Na stosach kołder, poduszek i tobołów jadą kobiety okutane w chusty. Wraz z taborami, grupami po kilku lub po kilkunastu, idą oficerowie piechoty. Ani jednego oddziału maszerującego zwartym szykiem. Żadnej komendy. Nie widać również dowódców.

W tym samym czasie na stację tyraspolską wjeżdżają pociągi pancerne i zajmują stanowiska na torach łączących miasto z mostem na Dniestrze. Nieco później przybywają pociągi sztabowe, eszelony artylerii, piechoty i znowu pociągi pancerne.

Obydwa tory na przestrzeni dziesięciu wiorst zapchane pociągami z wojskiem. Czternaście pociągów pancernych zajęło stanowiska między Tyraspołem i Dniestrem.

Denikinowska fala przepływa wciąż przez miasto. Mieszkańcy Tyraspola na długo zapamiętali ostatnie dni stycznia i pierwsze dni lutego 1920... Denikinowcy uważali Żydów za sprawców wszystkich klęsk i nieszczęść, a ponieważ ludność Tyraspola składa się prawie wyłącznie z Żydów, więc każdy postój „wojsk” kończył się rabunkiem, strzelaniną i krzykiem młodych kobiet, od których „dobrowolcy” ściągali świadczenia w naturze.

O bolszewikach brak było pewnych wiadomości.

- Idą, są już blisko, bo dziś „dobrowolcy” cztery razy bili Żydów, a wczoraj tylko dwa razy gromili.

Dziesiątego lutego w Wielkich Parkanach, po stronie rosyjskiej nad Dniestrem, odbył się wystawny obiad z udziałem „białej” generalicji, oficerów rumuńskich z Bender i prefekta najbliższego okręgu Besarabii. Mimo dobrego wina rozmowa kulała. Przyjęcie załatywało stypą. Wprawdzie generał

Bredow mówił z pasją o „wspólnym niebezpieczeństwie” i wzywał „wszystkie kulturalne narody”, aby się jednoczyły do walki z bolszewizmem, ale Rumuni milczeli. Pod koniec obiadu jeden z oficerów wyszedł z sali i tuż za progiem palnął sobie w łeb „na znak protestu”. Posypały się wyrazy współczucia. „Dobrowolcy” mieli gdzieś rumuńskie kondolencje. Szło o podniesienie szlabanu, o zdjęcie posterunków z Dniestru!

Wieczorem następnego dnia eskorta eszelonu konsularnego z rotmistrzem Makowieckim na czele zmyliła straże rumuńskie i przeszła Dniestr po lodzie, zostawiając uchodźców na opiece Czerwonego Krzyża. Już wcześniej kilku członków Misji ulokowało się w Benderach. Przyjmowali tam uchodźców i ekspediowali koleją do Polski. Słowem, mieli pełne ręce roboty. Na brzegu rosyjskim zostali chorzy, dzieci i kobiety, ludzie niezdolni o własnych siłach dojść nad Dniestr. Szef Misji wyprawiał wóz za wozem. Każdy odjeżdżał skwapliwie, żaden nie wracał do Tyraspola.

W tym stanie rzeczy doszło do rozmowy z generałem dowodzącym zgrupowanymi wokół Tyraspola wojskami.

- Wytrzymamy co najmniej dwa tygodnie - powiedział generał pewnym głosem. Potem, rozłożywszy mapę, wyliczył baterie, kulomioty, bagnety i pociągi pancerne.

Denikinowskie zapewnienia miały ustaloną markę. Należało ewakuację przyspieszyć. Dwunastego w południe do dyspozycji szefa Misji został tylko jeden wóz. Jeszcze kilkudziesięciu chorych czekało na transport z Tyraspola, gdy w miasteczku zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Ulice nagle opustoszały. Kupcy z pośpiechem zamykali sklepy. Na rogu głównej ulicy stanęła grupka cywilów. Czekali na coś lub na kogoś. Stało się jasne, że lada moment coś nastąpi.

Trzech jeźdźców wpadło galopem. Przemknęli co koń wyskoczy i znikli za rogiem. Zanim zorientowano się, co to za jedni, wrócili cwałem. Pognali tam, skąd się zjawili. Nim minął kwadrans, rozległ się stukot kopyt. Do Tyraspola wjeżdżała kawaleria.

Oddział, liczący pół szwadronu, jechał rojem. Konie szły drobnym kłusem, jeźdźcy trzymali karabinki oparte o siodło. Za półszwadronem sunęły sanie. W saniach kobiety z opaskami Czerwonego Krzyża. Za siostrami miłosierdzia jechały „zimowe taczanki”, dwie pary saní wiozące po jednym kulomiocie. W chwilę później mieszkańcy Tyraspola usłyszeli nie znaną jeszcze pieśń:

My pajdiom za włast' Sowietow...

Dopiero teraz zauważono czerwone kokardy na czapkach i zwinięty sztandar czerwony na czele oddziału.

Kawaleria wjechała. Półszwadron rozsypał się na sekcje, sekcje kopnęły się galopem w ulice i w uliczki. Za jazdą szła piechota. Wszystkiego ze stu ludzi. Piechurzy, obdarci, brudni, obuci pozał się Boże, zamykali pochód. Próżno czekano na kulomioty i armaty. Nie doczekano się nikogo więcej (nieco później przygalopowali dwaj marynarze z Czarnomorskiej Floty, w skórzanych kurtkach, z naganami w ręku, z rozwianymi na wietrze wstążkami). To byli wszyscy!

Tyraspol struchlał. Liczono sekundy jak po błyskawicy. Jeszcze chwila i rykną denikinowskie baterie. Czternaście pociągów pancernych otworzy ogień ze wszystkich luf. Roztrajkoczą się kulomioty,

rozstukają karabiny. Lawina żelaza spadnie na Tyraspol i zmiecie oddziałek Czerwonej Armii razem z mieszkańcami. Czekało na śmierć w okropnym huk.

Tymczasem bolszewicy szli luźną tyralierą ku stłoczonym na torach pociągom. Szli, szli, aż doszli.

Na stanowiskach ogniowych ani jednego kanoniera.

Pusto w wagonach eszelonu piechoty.

Nikogo w pociągach sztabowych.

Żywej duszy w najeżonych armatami pancerkach. Denikinowcy, rzuciwszy sprzęt i amunicję, uciekli na piechotę w kierunku północnym. Pół szwadronu z dwoma kulomiotami i sto bagnatów bez strzału rozpędziły całą „grupę tyraspolską”. Tegoż dnia stanęły nad Dniestrem gęste placówki Czerwonej Armii. W Tyraspolu wiedziano już, że miasto zostało zajęte przez „brygadę Kotowskiego”, że Kotowski ze sztabem zamieszkał w hotelu i że brygada składa się z dwóch pułków noszących numery 401 i 402.

Prószy śnieg, zawiewa tory i opuszczone pociągi pancerne, wypatroszone kufry i nadpalone papiery. Na Mokotowskiej również pada. Wiatr bawi się śniegiem, kręci, wierci i podrzuca. W pokoju cisza. Słyszę, jak chodzi wielki zegar w kuchni. Potem słyszę głos pani Kaszyrin:

- Kto raz uciekł, musi uciekać całe życie.

Anusia ma co do tego wątpliwości:

- A bo to prawda? Nasz „Tamboryn” trzy razy uciekał, a potem tak się przyzwyczaił, że nawet za suką nie chodził do innego kwartału.

- Bardzo chciałbym poznać „Tamboryna”... - wtrącam przymilnie.

Anusia wzdycha.

- Nie ma już naszego „Tamboryna”. Po ogrodzie niebieskim pewno teraz biega.

Czy pies może pójść do nieba? Dobry pies dostanie się tam prędzej od złego człowieka. Gdzieżby się podziały zwierzęta z szopki betlejemskiej? Anusia wykręca się sianem. Mówi, że co innego niebo, a co innego ogród niebieski. A w ogóle jak człowiek dobrze myśli, to w słowach nie ma grzechu.

Nie zobaczę „Tamboryna”. Zginął przed moim urodzeniem. Pijany oficer zastrzelił psa na samym początku wojny.

- Myśli taki jeden, że po to mu nogi wyrosły z tyłka, żeby miał czym zwierzę kopnąć!

Anusia ma rację. Psów nie wolno kopać. Psa karmi się i daje mu się pić. Z psem trzeba rozmawiać, żeby nie rósł na głupiego. Żal mi „Tamboryna”. W niespokojne czasy pies powinien siedzieć w domu.

Za oknem coraz dziwniej.

- Mama, śnieg pada z dołu do góry!

Pani Kaszyrin zerwała się z fotela.

- Kompot!... Na śmierć zapomniałam. Zrobię mało słodki i dużo dam skórki cytrynowej.

Anusia powiedziała, że „w razie czego” każdej chwili gotowa skoczyć do apteki. Pani Kaszyrin przystanąła w progu.

- Anusiu, w taki śnieg?

- A co mi tam śnieg, proszę pani? Zębów nie szczerzę. Nigdzie mi nie nasypie.

Pani Kaszyrin wróciła do pokoju i pocałowała Anusię w prawe ucho.

- Serce, ty moje serce!...

Już wiem, że po lekarstwa skacze się do apteki Michelisa na Mokotowską pod czterdziesty trzeci. Mam obiecać, że jak wydobrzeję, to pójde z Anusią obejrzeć wszystko na własne oczy. Wokół tyle sklepów, że wprost zapamiętać trudno. Najpierw załatwimy sprawunek w mydlarni Oligórskiego pod numerem szesnastym. Mydlarnia wspaniale pachnie naftą, kitem, talkiem i gumą. Nikomu palić nie wolno. Może być wybuch, a wtedy...

O dwa domy dalej firma „Dziecko” sprzedaje gotowe ubrania dla dzieci. Na rogu Koszykowej popatrzymy (ale krótko) na wystawę sklepu „Antoinette” z damskimi kapeluszami. Od razu powiedziałem Anusi: „Nie jestem baba. Nie będę oglądał”. Anusia mi na to: „Będziesz oglądał, będziesz. Jak przyjdzie czas”. Anusia jest kochana, ale nie za mądra. Po drugiej stronie ulicy, również na rogu, mieści się skład apteczny Hermanowskiego. Reklamuje on kakao holenderskie, oliwę nicejską, octy wyborowe, wody mineralne, naturalne i sztuczne, środki opatrunkowe i wyroby gumowe, ale właściwie „można u Hermanowskiego dostać wszystko”. Między Koszykową i Szopena pod nr 28 krawcy mężczy, Wagner i Zalewski, mają renomowany zakład. A po stronie nieparzystej (nr 37) sklep z galanterią i norymberszczyzną prowadzi pani Malanowska. Jeszcze parę kroków i już cukiernia „Express” Złotowskiego. Apteka w następnym domu.

Na półkach słoje, słoiki, metalowe emaliowane pudełka, porcelana i fajanse. Marmurowy kontuar i kasa z kryształową szybą. Proszki, pigułki, tabletki, mikstury i trucizny z trupią czaszką na etykietce. Waga błyszcząca jak złoto. Na takiej wadze można zważyć pół włosa albo muszą kupkę.

I ja tego nie zobaczę. Tuż przed apteką Anusia, „żeby było prędzej”, weźmie mnie na rękę i dopiero przy sklepie Putowskiej, pod szyldem „Owoce”, postawi na ziemi.

Na nic płacze i lamenty. Uparła się Anusia, nie i nie.

- Dlaczego, dlaczego? Bo ja dostanę gorączki! Opowiedz!

- Dlatego, że w domu nad apteką mieszka niejaki Gumoczek.

Anusia wzdryga się, przysięga, że słowa nie piśnie więcej.

Trzeba mocniej prosić. Zanim mama wróci do pokoju, muszę dowiedzieć się, co zrobił Gumoczek.

- Gumoczka miejsce w kryminale, a nie w porządnej kamienicy! A jeżeli Gumoczek, zamiast siedzieć, nie wiadomo z jakiej racji mieszka, to taki dom powinny dzieci omijać jak zarazę!

Po zrobieniu siusiu powiedziałem cicho:

- Anusiu, mów dalej.

- Nic nie słyszeliście w Kijowie? - Anusia unosi brwi i robi wielkie oczy.

Pociągam nosem.

- Nie słyszeliśmy. Mów już, ja bardzo proszę.

- Gumoczek, w pokojach umeblowanych na Koziej, pozbawił życia cztery osoby: bankiera Balansera, dwie młode kobiety oraz przyjezdnego przemysłowca z Pobuża, który wszedł do pokoju, żeby u jednej z pań uregulować zegarek. Wszyscy padli ofiarą Gumoczka. Rabował na Koziej, a teraz na Mokotowskiej ma skrytkę w ścianie za obrazem! Trzyma tam zagrabione złoto i pierścionki. I takie życie nazywa się życiem z „funduszków własnych”!

Dopóki nie urosnę, jestem skazany na omijanie domu z Gumoczkiem nad apteką. Od owocarni Putowskiej możemy pójść Kruczą wśród damskich kapeluszy do sklepu Krzyżanowskiego w domu nr 43. Pełno tam kolorowych piątek, wózków, koni na biegunach i małych, czarnych „lanek”. Można również iść dalej Mokotowską, przez plac Trzech Krzyży, na Nowy Świat, żeby popatrzeć na zabawki u Graffa, jeszcze wspanialsze i jeszcze droższe. Pod tym samym numerem mieszczą się kinoteatry „Varsavia” i „Colosseum”. Ale to już bardzo daleko. Ruch tam uliczny ogromny. Co chwila myk - dorożka, myk - samochód, a do tego tramwaje, platformy i wozy! Nim człowiek przebiegnie ulicę, w siedmiu skąpie się potach. Tak mi opowiadała Anusia. Musiałem jej wierzyć na słowo.

Gdybym Mokotowską szedł bardzo, bardzo długo, doszedłbym w końcu do domu nr 73. Zobaczyłbym siebie na widowni teatryku „Buffo”, a na scenie Ordonkę i Waltera. Ani mnie, ani siedzącej obok blondynce nie przeszło wtedy przez myśl, że noc po przedstawieniu będzie ostatnią w przedwojennej Warszawie, że rano obudzi nas policjant z wezwaniem mobilizacyjnym.

W tym samym domu, na Mokotowskiej pod siedemdziesiątym trzecim, mieścił się sklep firmy „Juliusz Meinl, import kawy i herbaty”. Któż mógł przypuszczać, że towary wydawane na osławione „majnlowskie kartki” do dziś będą się odbijać okupacyjnej klienteli?

Przyszłość leżała dalej niż Nowy Świat. Za daleko to było na dziecinne nogi. Anusia przeceniła moją inteligencję. Niby nic mi nie było, a jednak padałem na nos. Nie pamiętam ani parku, ani sanek, ani bitew na śnieżki, ani lepienia bałwana. Kiedy wyszedłem z domu, słońce świeciło już wiosennie. Musiałem mrużyć oczy.

- No, ty, coś taki paż z piernika!...

Krzyknąłem z zachwyty i ze szczęścia. Nareszcie zagadał do mnie ktoś mojego wzrostu. Obcy chłopiec wziął mnie za rękę i razem poszliśmy w kierunku Wisły.

Morał w szopie

Jak Stasiowi po tym, strzale
Barszcz smakował doskonale,
Jak nabierał niezabudek,
Jak mu w lesie uciekł dudek...

Późną jesienią 1923 roku żegnałem płaczem moją Amazonkę. Opuszczaliśmy podwarszawski Konstancin, aby na dobre zamieszkać w Warszawie.

Musiałem zostawić wszystko: flotyllę łódek z kory, cudowne zatoki o piaszczystym dnie, nadbrzeżne zamki, porty z kamieni, podstępne rafy, wyspy, przesmyki i kanały o brzegach umocnionych gliną. Rozrzucając szałas nad Jeziorką płakałem rzewnymi łzami. Własnymi rękami niszczyłem świat wspaniałej przygody, egzotycznych podróży, dalekich rejsów po burzliwych morzach. Chłodny wiatr rozproszył bezpowrotnie wrzawę potyczek i zgiełk morskich bitew. Nad mizernymi łąkami rozwiały się dymy moich niezawodnych muszkietów. Powędrowała na śmietnik stara szczotka, którą robiłem wielkie fale i wywoływałem burze. Zatarłem ślady letniego biwaku, aby nie odszukać ich już nigdy w życiu.

W Konstancinie nauczyłem się bawić sam. W sąsiednich willach mieszkali tylko dorośli. Nigdzie w pobliżu nie było chłopców do zabawy. Musiałem wszystko wymyślić sam. Z początku próbowałem bawić się z babcią Karoliną, ale babunia nie lubiła zabaw. Zamiast podskoczyć i kopnąć piłkę podaną „na woleja” babcia udawała, że piłki nie widzi albo opędzała się laską jak od kundla. Wojna „na łuki” również wyprowadzała babunię z równowagi. Babcia wpadała w gniew i kategorycznie zabraniała strzelać do siebie, choć strzały miały na końcu grudek mokrej gliny i były zatrute tylko na niby. Z wyścigów też nic nie wychodziło. „Ścigajmy się przez las do willi!” - wołałem i pędziłem jak najprędzej. Zdyszany wpadałem na metę i zadowolony z wygranej czekałem na pochwały. Babunia zjawiała się zła jak osa. Gderła na cały dom: „Pobiegł nie wiadomo gdzie i po co, niech Bóg broni takie dziecko”. Wreszcie zrozumiałem, że jestem skazany na zabawę w pojedynkę. Dałem babci spokój. Gdybym słuchał babci, całe życie „byłbym cicho” i nigdy nie biegał.

Można być jednocześnie piratem, admirałem, sternikiem i kanonierem, można dowodzić obroną i kierować atakiem, ale nie można strzelać do siebie z łuku. Pewnego dnia zobaczyłem nad Jeziorką małego chłopca, równie samotnego jak i ja. Ucieszyłem się bardzo. Chłopiec powiedział mi, że nazywa się Jurek i że nie może się bawić, bo mu nudno. Dałem Jurkowi starą szczotkę i pokazałem, jak robi się wielkie fale. Na wielkich falach fajnie kotysały się okręty z kory. Jurek tak machnął szczotką, że rozwalił pół portu i dwie fortece. Strasznie się mu zabawa spodobała, ledwie odebrałem szczotkę. Jurek widział zupełnie co innego niż ja. Tam gdzie były twierdze, szańce, porty, baryłki z prochem i składy zamorskich towarów, widział tylko „piasek”, „kamienie”, „patyki”, „szyszki”, „glinę”...

Gwizd lokomotywki przerywał zabawę. Rzucaliśmy łódki i znad rzeczki biegliśmy w dyrdy do płotu, skąd widać było tor wilanowskiej kolejki. Ciemnozielony, prawie czarny, ociekający smarami „samowarek” nadjeżdżał buchając parą i sapiąc jak prawdziwa lokomotywa szerokotorowej kolei. Właziłem na płot i z płotu machałem ręką do maszynisty i do pasażerów. Jurek nie dorósł jeszcze

nawet do najniższej dziury w płocie. Pociągał płacząco nosem i pytał z dołu: „Czy to kolejka, czy to sam parowóz?” Od takich pytań można dostać kolki, odpowiadałem jednak cierpliwie, bo przy Jurku czułem się duży i bardzo dorosły. Radziłem Jurkowi, żeby jadł drożdże. Od drożdży wszystko rośnie, i ciasta, i dzieci. Posłuchał mojej rady i rozchorował się na żołądek. Albo zeżarł za dużo, albo drożdże były stare.

Było mi żal Jeziorki-Amazonki i łąki przylegającej do rzeczki, bo na tej łące dorośli strzelali z prawdziwych brazylijskich łuków, przywiezionych do Europy przez pana Warchałowskiego.

Patrzyłem z zazdrością, jak dorośli marszczą brwi, naciągają z wysiłkiem cięciwę i wypuszczają strzałę w kierunku kolorowej tarczy. Pierzaste pociski padały przeważnie obok celu. Trudno było łuk naciągnąć, cóż mówić o trafieniu! Strzała miała więcej wzrostu ode mnie, a łuk dorosłemu sięgał do łysiny. Którejś niedzieli (w niedzielę zjeżdżali się amatorzy łuków) pan Casimiro, celując w środek tarczy, trafił w melonik pana Miecia. Poczciwy grubas krzyknął „och” i padł na kolana. Myślałem, że trafiony śmiertelnie i że zaraz zginie od trucizny, ale pan Miecio po prostu szukał binokli, które spadły w trawę. „Miał szczęście, że melonik trzymał w ręku” - powiedział pan Casimiro i z prawdziwie brazylijskim spokojem sięgnął po następną strzałę. Po tym wypadku zainteresowanie łukami znacznie osłabło.

Chłopców do zabawy - poza małym Jurkiem - ani na lekarstwo. Za to dorosłych do licha i trochę. W Konstancinie zabrali mnie rodzice „na herbatkę” do znajomych, gdzie też były dzieci. Pierwsza w życiu wizyta wypadła średnio. Uczono mnie, że trzeba mówić prawdę. Pech chciał, że przypomniałem sobie o tej nieszczęsnej prawdzie zaraz po wejściu do obcego domu. Coś mi wpadło w oko, ledwo znalazłem się w pokoju. Co to było? Wazon, obraz, nakrycie stołu? Może suknia pani domu? Sam już nie wiem co. Przepisowo szurnałem nogą, powiedziałem „Dzień dobry”, a potem głośno do mamy: „Mamo, jakie to strasznie brzydkie”. Nawet nie przypuszczałem, że wypadnie aż tak głośno. Matka zrobiła się malinowa od włosów po dekolt. Pani domu spojrzała na mnie tym okiem, co na psa: „Masz rację, to naprawdę brzydkie”. Uśmiechała się przy tym, ale od takich uśmiechów kwaśniejają ciastka z kremem i muchy spadają z sufitu. Po tych wstępnych grzecznościach oddano mnie w ręce domowych dzieci. Mówiąc ściśle, w ręce czternastoletniej pannicy, bo drugie dziecko pojechało z żoną do Warszawy. Pannica zajęła się mną jak podrzutkiem. Bełtała konfitury z wodą i mówiła: „Napij się, to dziecinne wino”. Potem ciągnęła za rękę do łazienki i sprawdzała majtki. Po każdym spacerze dygała przed mamą: „Jeszcze wszystko w porządku, proszę pani”. Widziałem, że mamę ponosi. Mnie też ponosiło, ale uparłem się i wytrwałem w grzeczności do końca wizyty. W drodze powrotnej pouczono mnie, że prawdę, owszem, należy mówić, ale z zachowaniem grzeczności. O nic nie pytałem, bo czułem przez skórę, że na pytania i dyskusje nie pora.

Trzydzieści kilka lat zatarło różnice wieku. Kiedy spotykamy się teraz, „znajoma z czasów dzieciństwa” przechwala się dawną zażyłością. Opowiada, że podczas pierwszej wizyty wlałem pod stół i ugryzłem ją w łydkę. Wprost trudno uwierzyć, jak czas wszystko przeinacza! Jeżeli nawet do czegoś takiego doszło, to nie pod stołem, lecz w łazience. Szarpania za majtki miałem powyżej uszu.

Jeszcze tkwił w pamięci wspaniały przyjazd do Konstancina, a już trzeba było wyjeżdżać. Podróż z Warszawy odbyliśmy autem. Pierwszy raz jechałem osobowym samochodem. Najpierw z głośnym trąbieniem przez pół miasta, potem Belwederską na dół i dodawszy gazu pognaliśmy szosą wzdłuż toru kolejki. Granatowy „Renault” zrobił na mnie ogromne wrażenie. Nigdy nie jechałem tak prędko. Pęd powietrza uderzał w twarz i tamował oddech. Za Wilanowem zobaczyłem jadącą w tym samym

kierunku kolejkę. Szofer tylko uśmiechnął się pod wąsem. Nawet nie dotknął dźwigni umieszczonej na zewnątrz karoserii (były dwa metalowe drążki, jeden służył do zmiany biegów, drugi do hamowania). Bez trudu dopędziliśmy pociąg i mimo wysiłków maszynisty wpadliśmy pierwsi między zabudowania Powsina. W niecałe pół godziny machnęliśmy prawie dwadzieścia kilometrów! Gorący ze zmęczenia „Renault” zatrzymał się przed willą „Nad rzeką”.

W Konstancinie przemieszkaliśmy całe lato i spory kawał jesieni. Zdążyłem przez ten czas wymyślić własny świat. Czy uda mi się wymyślić drugi, w Warszawie? Wiedziałem, że w mieście nie będzie ani leniwie płynącej rzeczki, ani starych drzew o grubej, „w sam raz na łódki” korze, ani łąki, ani brazylijskich łuków, ani płotu z widokiem na tor kolejki. Byłem na tyle dorosły, żeby zrozumieć, że przeprowadzka do Warszawy to „wyjazd na zawsze”, wyjazd bez możliwości powrotu. Po dwudziestu pięciu latach, kiedy okoliczności zmusiły do szukania mieszkania pod miastem i wybór znowu padł na Konstancin, nawet nie próbowałem odszukać starych tropów. Willę „Nad rzeką” nazywano „Willą pod diabłami”. Podczas okupacji Niemcy szyli w niej kozuchy dla żołnierzy wschodniego frontu. Znikła łąka, wyrosły drzewa, zmieniła się cała okolica. Powrót do Konstancina nie był powrotem, był po prostu urządzeniem się w zupełnie obcej miejscowości.

Tuż przed wyjazdem zdarzył się wypadek, który poruszył mieszkańców i letników. W sobotę rano usłyszałem daleki grzmot. Dudnienie było tak silne, że zadzwoniły szyby w willi. Wybiegłem do ogrodu: w stronie Warszawy rósł słup czarnego dymu. „Wybuch, coś wyleciało w powietrze” - wołali sąsiedzi. Słup pęczniał, wspinał się coraz wyżej. Wkrótce nad Warszawą zawisła wielka, ciemna chmura. Po godzinie wiedziałem, co się stało. Wybuch nastąpił w warszawskiej cytadeli. Prochownia wyleciała w powietrze. Opuszczaliśmy Konstancin pod wrażeniem wypadku, który komentowano bardzo różnie. Jedni mówili, że prochownia „wyleciała”, inni, że ją „wysadzono”.

Do nowego mieszkania jechaliśmy ulicą wybrukowaną kocimi łbami. Taka to była wtedy, w 1923 roku, Warszawa, że żaden dorożkarz „za żadne pieniądze” nie podejmował się o zmroku kursu w tym kierunku. Ulica Nowowiejska przypominała bardziej podmiejską szosę niż stołeczną arterię. Prawdziwe miasto kończyło się koło Politechniki.

Zobaczywszy szyny, wagonetki z hamulcami, zwrotnice i „weksle”, krzyknąłem z zachwytem. Otwierał się przede mną nowy świat, pełen technicznych wspaniałości. Momentalnie obeschtły łzy i równie prędko zapomniałem o konstancińskiej Amazonce. Zanim wniesiono rzeczy do mieszkania, zawarłem znajomość z chłopcem, który przedstawił się jako Dymek. Najważniejsze wiadomości wyrzucił jednym tchem. Nowe nasze mieszkanie nazywa się „Kolonja Urzędnicza”. Wagonetki są bycze i jeździ się nimi klawo, ale dopiero wtedy, gdy robotnicy zejda z budowy. Jest taki jeden, co na widok chłopców odpina pasek z mosiężną klamrą. A w ogóle - morowo. „Tu nic nie trzeba będzie wymyślać samemu - powiedziałem cichutko do siebie. - Wszystko jest”.

Kolonja Urzędnicza składała się z długich jednopiętrowych budynków, krytych czerwoną dachówką. Rodzice narzekali, że daleko, że mieszkanie tandetne, że po każdym deszczu w piwnicy gromadzi się woda, bo najpierw stawiano domy, a dopiero potem niwelowano grunt pod uliczki, i że wszystko razem trąci „panamą” i typową dla powojennych czasów lichotę. Nie mogli się doczekać linii tramwajowej, która przez ulicę Śniadeckich i plac Politechniki miała połączyć nas z miastem. Pętlę projektowano na rogu Topolowej i Nowowiejskiej. Rodzicom przeszkadzał brak latarni, chodników, rynsztoków, śmietników i wielu innych urządzeń, bez których dorośli nie mogli dosłownie się obejść. A w każdym razie lubią udawać, że nie mogą.

Dla mnie i dla moich rówieśników Kolonia stała się terenem wspaniałych zabaw i znakomitym punktem obserwacyjnym. Tuż obok, za szpalerem wysokich topoli, mieściło się lotnisko. W pogodny dzień od świtu huczały motory. Aeroplany rolowały po trawie do oficera z chorągiewką i ustawivszy się pod wiatr, ruszały pełnym gazem. Trzeszczące maszyny przelatywały nad dachami i pokrążywszy wśród obłoków, wracały na zieloną murawę lotniska.

Czasami z groźnym rumorem startowały dwumotorowe ogromne dwupłatowce „Farman-Goliath”. Wtedy nawet nam, żyjącym z lotnictwem za pan brat (puszczali nas wartownicy pod same hangary, nikt nie przeszkadzał dzieciom patrzeć, jak mechanicy biorą się za ręce i zapuszczają motor), robiło się gorąco z wrażenia. „Farman”, zanim poderwał się do lotu, brał rozbieg prawie przez całe lotnisko. Bywało, że koła muskały korony drzew. Wszystkim na ziemi zamierało serce. Uf, poleciał... Niebo wypełniało się łopotem napiętego płótna, gwizdem wiatru na linkach i zastrzałach, łoskotem motorów.

- Mama wie - mówiłem w domu, bo o „Goliathach” gotów byłem gadać cały dzień bez przerwy - że taki „Farman” zabiera takie bomby, co mogą każdy dom rozwalić od strychu do piwnicy. A do tego jeszcze karabiny maszynowe, nie mogę powiedzieć ile, i po dwa rewolwery dla każdego lotnika. Dlaczego mama wzdycha zamiast słuchać?

Opowiadania o bombach nie wzbudzały zachwytów. Rodzice mieli dosyć wojen i ich stosunek do podtatusiałych bombowców był zdecydowanie wrogi. „Farmany” wzbijały się w powietrze tylko od wielkiego dzwonu. Oszczędzono wielkie samoloty i szanowano nerwy warszawiaków. Bombowce unikały przelotów nad domami. Gdyby „Goliath” spadł na miasto... Dwumotorowce występowały na lotniczych, defiladach i pokazach. Nieco później zaczęto używać „Farmanów” do grupowych skoków ze spadochronem. Skoczkowie wychodzili z kabiny na skrzydło, publiczność wstrzymywała oddech... Dopiero gdy „Farman”, „wysypawszy” skoczków, schodził ku hangarom, ludzie oddychali z ulgą.

Często w okolicach lotniska rozlegał się donośny huk i słup dymu pojawiał się za topolami. Były samoloty o złej sławie „latających trumien”. Innym w powietrzu „odmaszerowywały” skrzydła. Inne słyntęły ze skłonności do płaskiego korkociągu (a to oznaczało bęc! i koniec), a jeszcze inne waliły się na łeb przy najmniejszej utracie prędkości. Najwięcej katastrof zdarzało się przy lądowaniu oraz w powietrzu. Lotnicy chronili się przed kraksą przeróżnymi maskotkami. Wielkim uznaniem, jako najbardziej skuteczne, cieszyły się damskie jedwabne pończochy. Nieco później weszły w modę spadochrony. Ale i spadochron nie zawsze otwierał się w porę.

Mieszkając na Kolonii nie traciło się czasu. Ciągłe coś przelatywało nad głową! Osobowy samochód wywoływał większe poruszenie niż klucz myśliwski lecący skrzydło w skrzydło. Samoloty cywilne wzbudzały mniejsze zainteresowanie. Bez fasonu pochylały się na wirażach i siadały tak ostrożnie, jakby wiozły jajka. Lot do Krakowa trwał dwie i pół godziny, do Paryża dziesięć. Codziennie, chyba że mgła, burza lub inna niepogoda uniemożliwiły start, odlatywał z Pola Mokotowskiego aeroplan Francusko-Rumuńskiego Towarzystwa Żeglugi Powietrznej. Srebrno-niebieski samolot paryski długi czas nie dawał nam spokoju. Dlaczego „Potez-Spad” kieruje się z Warszawy na południe? My, filateliści, wiedzieliśmy przecież, że do Paryża jedzie się na zachód. Czyżby samoloty miały swoje własne strony świata? Wyjaśniło się potem, że linia lotnicza prowadzi przez Pragę i Strassburg. Gdyby samolot leciał prosto, lot trwałby jeszcze krócej. Prędkość komunikacji lotniczej oszałamiała dorosłych. Aeroplan bił ekspres o trzydzieści godzin!

- Musi być w tym jakiś szwindel przeciwny naturze ludzkiej - mówiła babunia.

- Z tego pośpiechu i gorączki zrobi się to w końcu, że człowiek będzie żarł surowe mięso i twarde kartofle - odpowiadała przez płot pani Helka, kucharka sąsiadów.

Wszyscy chłopcy uważali samoloty za zjawisko zupełnie normalne. Słuchaliśmy z niedowierzaniem o czasach „kiedy aeroplanów w ogóle nie było”. Myśliwskie „Spady” śmigały nad Kolonią ze zwinnością jerzyków żerujących wieczorem... Poważne „Breguety”, krążące trójkami lub całą dziewiątką, trzeszczące „Henrioty” (z bliska śmierdziały rycyną i dlatego wzbudzały we mnie obrzydzenie) i inne maszyny poznawało się na pierwszy rzut oka. Wiedziałem, że „Breguet” może rozwinąć szybkość 180 kilometrów na godzinę i że są już samoloty, które przekraczają 200 km/godz! Samolotem można było wystać do Francji nawet list. Zwykły list kosztował jednak bite 200 marek. Tyle, co dwa bilety tramwajowe.

W domu ciągle słuchałem narzekań na ceny, na pasek i paskarzy. Za obiad w restauracji żądano już 500 marek! Drożało wszystko, nawet „Biała główka”, czyli wódka Szustowa nr 21, o czym ze smutkiem opowiadał stryj, gdy nas odwiedzał na Kolonii.

- A pamiętam, że za rubla...

Ponieważ wiedziałem, że „za rubla człowiek zjadł, wypił, zapalił i jeszcze dostał reszty”, więc nie czekając na dalszy ciąg, wiałem z mieszkania do ogródka, a z ogródka dalej. Dorośli mieli bzika na punkcie cen. Mówili przy każdej okazji:

- Dziś setki i tysiące, a jutro melony...

„Melonami” nazywano miliony. „Melonów” bała się cała dorosła Kolonia.

Dorożkarze mówili o nas, że mieszkamy „na pałatkach”. Dawno, „za ruskiego cara”, kiedy zamiast marek kursowały ruble, a miasto pełne było żołdatów, na terenach Kolonii urządzano letni obóz dla wojsk warszawskiego garnizonu. Kolonię zaczęto budować w 1921 roku, wykorzystując cegłę ze starych rosyjskich fortów. Wielu bezrobotnych znalazło wtedy pracę na kilka krótkich sezonów budowlanych. Zdaje się, że już wtedy zaczął się spór między dorosłymi: „bezrobotny” czy „bezroboczy”... Tandetne budynki przetrwały do wojny. Kolonia spaliła się we wrześniu 1939. Można ją jeszcze odszukać na starym planie Warszawy między ulicami Nowowiejską, Suchą, Filtrową i Topolową.

Czasami odwiedzam stare kąty. Ze zdumieniem przyglądam się roslým drzewom o grubych pniach i rozłożystych koronach. Liczę lata na palcach, ileż to lat minęło? Hm, sporo... Żeby policzyć dokładnie, trzeba by przyjść z kolegami. Wtulam głowę w ramiona i wynoszę się chyłkiem z Warszawy mojego dzieciństwa. Boję się spotkania z małym chłopcem uczesany w ohydną, babską grzywkę.

Chodziłem z grzywką prawie do egzaminów gimnazjalnych. Przyzwyczailem się w końcu, i co najważniejsze, przywykli do grzywki koledzy. Większość chłopców nosiła cudaczne uczesanie. Każdemu własne wydawało się najbardziej babskie i ośmieszające. Kiedy przygotowywałem się do gimnazjum, starsi chłopcy paradowali już w granatowych „rondelkach” z błękitną wypustką i srebrnym orzełkiem nad ceratowym, czarnym daszkiem. Widywało się czapki szkół miejskich i prywatnych, ale u nas na Kolonii państwowe „baniaczki” były najliczniejsze. Waśnie w okresie

grzywki i przygotowań gimnazjalnych wystąpiłem pierwszy raz na scenie. Wplątałem się w teatralną awanturę przez Wandę i przez „Krowę”.

Krowa chodził do szkoły Rontalera, czyli do „fajermanów”, bo Rontaler maszerował do kościoła z orkiestrą głośną jak strażacka. Wanda nosiła beret z kolorowym pomponem jakiejś żeńskiej pensji. Nie interesowałem się babskimi szkołami. O Krowie mówiło się „Et, Krowa...” i wszyscy już wiedzieli, o co chodzi. Ale Wanda to był numer! To był ktoś! Wandzie nie wystarczało ani lotnisko, ani samoloty, ani wojsko po drugiej stronie Nowowiejskiej, ani wagonetki, ani rzucanie kamieni do glinianek. Wandzie wszystkiego było mało. Ciągle coś organizowała. To był jej bzik. Gdyby mogła, toby Kolonię poprzestawiała po swojemu. Na Wandę też przyszła kryska. Pewnego dnia zaczęła biegać na lotnisko. Biegała jak zwariowana. Myśleliśmy, że to z powodu „Junkersów”, które właśnie wprowadzono na linie lotnicze. Dorośli połapali się wcześniej, Plotkowali, szeptali, patrzyli na Wandę znacząco, a Wanda nos do góry i co sił w nogach - na lotnisko. Stało się to jednak znacznie później.

Ni z tego, ni z owego zachciało się Wandzie teatru. Z początku każdy naśmiewał się, że Wanda głupia i że z pomysłu nic nie wyjdzie. Teatr to nie „święto wiosny” i nie „szałas z wróżką”. Musi być scena i muszą być aktorzy. Chwilowo był guzik z pętelką. Nawet biletów nie było!

Znudziły się nam śmiechy, ale Wanda wciąż latała jak kot z pęcherzem. Zbierała składki na kostiumy, kupowała bibułkę i glansowany papier, zanudzała rodziców prośbami o wypożyczenie ryżowej szczotki, bo szopę trzeba było porządnie wyszorować. Po świętach, po stopnieniu śniegów, przygotowania ruszyły z kopyta. Pewnego dnia Wanda rozdała role. Dla każdego coś wymyśliła, a wobec mnie zachowała się obrzydliwie. Zapomniała albo zrobiła specjalnie na złość. Prosiłem Tadzika, żeby pokręcił się koło Wandy i delikatnie wypytał. Tadzik wrócił skwaszony. Wanda odpowiedziała krótko: „Guano peruwiano”. Zacząłem się domyślać, że moje sprawy w teatrze stoją pod zdechłym Azorkiem.

- Zabawa w kucanego berka na szparagowym polu, a nie żaden teatr! Lipa! Teatr w szopie! Wanda w ogóle prawdziwego teatru nigdy nie widziała. Powiedz jej to - krzyknąłem do Tadzika.

- Może lepiej nie mówić?

- To nie mów.

Czekałem dzień, dwa... Cisza. Ani kuku, ani pocałuj mnie w nos! Jak tak, to tak. Postanowiłem nie brać udziału. „Spocę się i zaziębę - myślałem łykając złość. - Dostanę anginy albo chrypki. Położą mnie do łóżka. Będę miał gorączkę. Przyjdzie doktor Bondy, zapisze recepty. Nikt się nie będzie śmiał...”

Zdjąłem wełniany szalik, rozpiąłem paltocik i rozchlapując kałuże pobiegłem do pompy. Wiatr przenikał przez ubranie i fajnie chłodził rozgrzane ciało.

- Chrypka wystarczy - gadałem do siebie. - Przy anginie pędzlują gardło i każą pić ohydny lipowy kwiat. Co chwila łyżeczkę pakują do ust i oglądają naloty. Cały dom żyje pod strachem dyfterytu i życie staje się okropne.

Zdecydowałem się na chrypkę z okręconym gardłem.

- Będę okropnie skrzeczał. Każdy zrozumie, że z taką chrypą nie można występować w teatrze. Porządny człowiek odwołałby przedstawienie i wywiesiłby kartkę „Teatr zamknięty z powodu choroby”...

Były to tylko marzenia. Wanda niczego nie odwoływała nigdy. Gdyby scena w szopie pękła na połowy, Wanda skombinowałaby deski i kazała aktorom biegać po kładce nad przepaścią. A potem mówiłaby wszystkim, że to niespodzianka przez nią wymyślona.

Glina przy pompie rozmiękła. Ze zwykłej gliny zrobiła się glina kława. Wiatr pędził znad lotniska wiosenne obłoki. Pawie oczka, odbicia błękitnego nieba, śmigły przez kałuże. Lepiłem z gliny kule wielkości buraków. Potem przygotowałem zapas małych. Napchałem kulami kieszenie, lecz ciągle było pusto i okropnie nudno. Są takie dni. Wszyscy gdzieś idą od samego rana, nikogo nie można się doczekać. Słońce ucieka, mija czas, kończy się przedpołudnie i trzeba wracać na obiad do domu. O błoto w kieszeniach wybucha awantura. Po awanturze nie puszczają na dwór. Dzień zmarnowany, wieczór zapłakany, kule wyrzucone na śmietnik albo jeszcze dalej.

Tuż obok pompy stała szopa. Przechowywano w niej cement i narzędzia potrzebne do budowy wielkiego domu, stawianego między Kolonią i lotniskiem. Wymurowano już trzy piętra. Razem z wiosną zjawili się na rusztowaniach inżynier z czarną teczką i majster z żółtym metrem. Opowiadali głośno, że zaraz, „jak tylko wilgoć puści”, zacznie się murarka, że przez lato zbudują resztę pięter i położą dach. Pewnie straszili tylko, żeby nam popsuć humor przy wspinaczkach i przekradankach. Rodzice nie lubią rusztowań i ja nie cierpię nowej kamienicy, bo za chodzenie po rusztowaniach dostają regularne lanie. Dziecko niszczy się od lania, a nie od biegania po rusztowaniach! Rodzice o tym jakby nie wiedzieli. Matka wzdycha:

- Kiedy nareszcie skończą ten przeklęty dom. Nie mam spokojnej chwili.

Dom po skończeniu zasłoni widok na lotnisko. Nie zobaczę już z ogródka startujących i lądujących samolotów. Gotowy dom to koniec fajnych zabaw. Robotnicy rozbiorą tor kolejki, znikną wagoniki i zwrotnice. Potem rozmontują pompę z budowlaną wodą i na furmankach wywiozą szopę. Nowy dom to prawdziwa tragedia dla dużych chłopców. Dorośli chłopcy na rusztowaniach uczą się do matury. Co będzie z maturami za rok, za dwa lata, jeżeli majster uprze się i, tak jak mówił, dom postawi?

Szopy też nie lubię. W zimie namówiła mnie Zośka, żebyśmy zjechał na saneczkach z dachu. Pojechałem, machnąłem kozła i o kamień rozciąłem brew „tuż, tuż nad okiem”. Krew ciekła ciurkiem, z początku wrzeszczałem, ale potem bardzo byłem dumny. Wanda przykładła mi śnieg do rany, chciała koniecznie zrobić opatrunek i wziąć głowę w łubki, czyli przywiązać łeb do patyka. Byłoby morowo i byczo, bo, jak Kolonia Kolonią nikt tak krwią nie sikał, gdyby nie kuchta sędziego Syropka.

- Wybili dziecku oko! O, już mu z drugiego leci!... - wrzasnęła jak wariatka. Podniosła krzyk i takiego narobiła harmideru, że zaraz po mnie przybiegli z domu. Cały tydzień nie mogłem dotknąć się do sanek.

- Żebyś na kilometr nie zbliżał się do szopy! - krzyczał kuzyn.

- Dobrze, dobrze, idę na plac Politechniki. Niech mnie przejedzie dorożka!

- Możesz chodzić koło szopy, ale nie po szopie.

- Przecież ja nie chodziłem po szopie. Zjechałem raz na „śledzia” i już.

- Czy ciebie nie boli głowa? Ty wiesz, że ze wstrząsem mózgu trzeba leżeć nieruchomo? Byłoby warto poradzić się jednak doktora. A na wymioty nie zbiera się, co?

- Przepraszam, Buba. Już więcej nie będę.

Lepiej przeprosić kuzyna niż leżeć z głową w lodzie. Kuzyn strasznie był mądry. Miał własną żonę i chodził na uniwersytet, żeby zostać wielkim przyrodnikiem. Krajał żaby, zaglądał glistom do środka i gryzł stonogi, bo o smak każdego robala pytano na egzaminie. Z robaków kuzyn przerzucił się na ryby. Po dziesięciu latach strzelania z rybich pęcherzy (tak sobie te studia wtedy wyobrażałem) znalazł kuzyna w bebechach szczupaka arcyciekawego robaka. W tym robalu siedział robal mniejszy, a w tym mniejszym żył sobie robaczek trzeci, zupełnie malutki. O istnieniu trzeciego malutkiego nikt na całym świecie jeszcze nie wiedział. Buba zalał robaczka galareta i pod mikroskopem pokroił w talarki. Co zobaczył, to opisał. No, i sensacja gotowa. W sprawie najmniejszego robala pisali nawet Japończycy z Tokio! Gdyby nie wojna, która pokiełbasiła plany, zrobiłby kuzyn na robakach karierę jak złoto.

Chcąc nie chcąc, musiałem się liczyć ze zdaniem kuzyna również w kwestii szopy. Właśnie w tej szopie odbędzie się w następną niedzielę wymyślona przez Wandę heca.

Siedzę na kupie gliny i jest mi coraz smutniej. Jedyna pociecha w przemoczonych nogach. Chrypa murowana. A chryпка „może rozwinąć się w nie wiadomo co...”

Wybrałem dobrą pigułę i palnąłem w szopę. Bycza glina jak placek klapnęła w deskę. Między deskami była spora szpara. Zacząłem celować w szparę. Kilka pigułek i na kostropatej ścianie wyrosło piękne jaskółcze gniazdo.

- No, ty, nie wygłupiaj się... - odezwał się z szopy gruby, zmieniony głos.

- Krowa! - krzyknąłem uszczęśliwiony. - Chodź prędko, mówię ci, co za fajna glina!

Krowa przysunął nos do szpary.

- Wynoś się, szczeniaku! - zawołał i plunął.

Ten strzał udał mi się jak żaden do tej pory. Mała kulka musnęła deski i z głośnym ciapnięciem wyrznęła w piegowate czoło. Krowa zaklął. Tak klną dorożkarze, gdy pasażer zamiast zapłacić daje nogę z dryndy.

- Chodź, chodź - wołałem zachwycony - co, boisz się?

- Nie boję się, ale nie wyjdę, bo nie chcę. Wont od szopy!

- A co, twoja?

- Moja.

- Kłamiesz!

Rozmowa się urwała. Krowa nie wychodził. Postanowiłem Krowę wywabić z szopy podstępem. Wrzasnąłem na całe gardło:

- Krowa, Krowa, dlaczego nie byłeś w szkole?

- Przestań, nie umiesz krzyczeć cicho?

- Umiem, ale nie chcę. Przeszanę, jak wyjdiesz. Krowa, Krowa siedzi w szopie!

- Dobrze. Wyjdę, ale ty mnie jeszcze popamiętasz. Zamawiam!

- Liczę do dziesięciu. Rób piguły. Raz, trzy, pięć, dwa, cztery, sześć...

- Do dwudziestu i nie tak prędko.

Liczyłem, a Krowa lepił fajne, soczyste piguły. Nim zdążyłem krzyknąć „dwadzieścia i już!”, Krowa chwycił tornister za paski, zakręcił nim młynka i z całej siły pacnął w kałużę. Pół kałuży wylał mi na głowę.

- Chcesz jeszcze?

- Chcę! - odpowiedziałem wypluwając błoto.

- To lu!

Dopiero zaczęła się zabawa. Wśród wojennych okrzyków rozdrapaliśmy kupę aż do gołej ziemi. Piguły z groźnym furkotem przelatowały o włos od nosa. Ulepione w pośpiechu pociski zderzały się w powietrzu, bryzgając błotem jak prawdziwe granaty. Kałuża przechodziła z rąk do rąk. Walka wręcz nie przyniosła rozstrzygnięcia. Krowa podciął mi nogi, ale padając zdążyłem szarpnąć za nogawki i Krowa rymsnął razem ze mną. Bawilibyśmy się dłużej, lecz przy najlepszej nawet zabawie wylazi z Krowy paskudna babska natura.

- O rany, moje ubranie!

Krowa złapał tornister i pognał do domu.

- Zajęcza łapa! Kozi bobek! - wołałem za Krową prawie z płaczem. Ani się obejrzał. Co prawda, od kilku minut słychać było przerażony głos mamy Krowy.

- Bolek, Bolek, czyś ty zwariował? Bolek, moje dziecko!

Zeskrobałem błoto z włosów (grzywka trzymała glinę jak lep muchy), umyłem twarz pod pompą i na wszelki wypadek zrobiłem z resztek gliny cztery duże kule, po dwie do każdej kieszeni. Potem poszedłem pod mieszkanie Krowy.

- Krowa, wracaj. Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Mama Krowy otworzyła okno. Ukłoniłem się i spytałem, czy Bolek już wrócił ze szkoły i czy może wyjść z domu na króciutką chwilkę. Na to mama Krowy zaczęła krzyczeć, że ma już tego wszystkiego dosyć i że wszystko powtórzę mojej mamie.

- Bardzo przepraszam, u państwa pewnie już obiad - powiedziałem grzecznie i pokazałem trochę język, bo za plecami mamy Krowa wygrażał mi pięścią. - Nie będę przeszkadzał.

Mama Krowy trzasnęła oknem, a ja pobiegłem dalej. Sam nie wiem, jak to się stało, bo o teatrze wcale nie myślałem, że znalazłem się raptem przed furtką do ogródka Wandy.

Ojciec Wandy chodził po ogródku i liczył pączki na drzewkach.

- Dzień dobry, panie profesorze.

- Dobry dzień - odpowiedział profesor z nosem przy gałązce.

Podobno ojciec Wandy myśli po niemiecku i dlatego na normalne „dzień dobry” odpowiada dziwacznym „dobrydzieniem”.

Nigdy się nie myli. Mówimy profesorowi „dzień dobry” od rana do nocy.

Wanda na mój widok ryknęła śmiechem.

- Kąpałeś się w rynsztoku? Wyglądasz jak prosię. Nie podchodź pod okno, bo pobrudzisz mur.

- Obejrzyj sobie Krowę. Nie poznasz, gdzie glina, gdzie piegi. Wygrałem.

- Wielka sztuka wygrać z Krową.

- Ale też się liczy.

- U jednego się liczy, u drugiego nie. U mnie się nie liczy.

- Krowa powiedział, że ta twoja opera bardzo głupia. W sam raz do szopy. A w szopie Krowa zrobił coś... Nie powiem co. A w ogóle mam straszną chrypę. Ledwie mogę mówić. Pewnie będę chory.

- Przerobiłam operę na dramat.

- Słuchaj, czy twój dramat bardzo smutny?

- Dramat musi być smutny i musi być w dramacie morał.

- Lubię dramaty - westchnąłem wyraźnie, żeby się Wanda wreszcie połapała. - Nawet mama pytała, czy gram w twojej sztuce. Mama bardzo cię lubi. Zdaje się, że mama chce ci pożyczyć wszystkie nasze krzesła.

Patrzyłem w niebo. Dałem Wandzie ostatnią szansę naprawienia świństwa. Obłoki jak zwariowane nad dachem. Czułem, że mi czerwienieją uszy i wilgotnieją oczy z okropnego niepokoju. Wanda milczała. Gapiła się nie wiadomo gdzie.

- To są bardzo porządne krzesła. W sam raz do teatru.

- Co za chrypka, o jejku...

- Już mi lepiej, słyszysz?

- Słyszę, słyszę. Z tego może być angina. A to zaraźliwe.

- Angina z chrypy? Coś ty, głupia?

- Ja głupia? Powtórz!

- Nie znasz się na żartach? Właśnie żartowałem.

Wanda zmarszczyła nos. Namyślała się tak długo, że jeszcze chwila i kropnąłbym ją w sam środek zmarszczonego kartofla. Miałem piguły w kieszeni! Pohamowałem się w porę.

- Ostatecznie mógłbyś grać drugiego giermka.

- Z mieczem?

- Aha.

- Z ostrogami?

- O niczym nie masz pojęcia. Pewnie nigdy nie widziałeś prawdziwego giermka...

- Wanda, a kołnierz z czerwonej bibułki?

- Nie bądź za cwany.

- Chodź, pokażę nasze krzesła!

- Krzesła nie widziałam? Też wielkie mi coś!

- Widziałem u mamy pełne pudło wstążek. Kolorowych!

- Aksamitki?

- Aha. Kiedy mam przyjść na próbę?

- Milcz i czekaj. Dam ci znać.

Wybiegając z ogródka ukloniłem się profesorowi i znów powiedziałem „dzień dobry”. Starszy pan westchnął, spojrzął na mnie ze zdziwieniem, ale odpowiedział „przetawianką”, która wprawiała nas w zachwyt.

Reszta dnia minęła mniej ciekawie. Rozmowę o krzesłach i aksamitkach wypadało odłożyć na później. Na razie mówiło się w domu tylko o tym, co mama Krowy naopowiadała mojej mamie. Powtórzyła więcej, niż mogła słyszeć. Powtórzyła nawet to, co sobie myślałem w duchu.

Wanda dotrzymała słowa. Pewnego dnia przybiegł zadyszany Krowa.

- Ty, na próbę, ale to już!

Poleciałem natychmiast do wyszorowanej szopy. Wanda poczyniała sobie ostro.

- Zdejmij czapkę. Tu nie chlew!

Radość trwała krótko. Giermek II był postacią potrzebną jak dziura w moście. Wanda królowała na scenie, wdzięczyła się do pustej szopy i takie robiła miny, jakby przed chwilą wypijała pół butelki tranu.

Siedziałem za kotarą z koca. Bez pozwolenia nie mogłem wysunąć na scenę nosa. Musiałem czekać na znak, a Wanda dawała znaki jak z łaski. Usłyszawszy klaśnięcie w dłonie, wychodziłem zza koca, „każdym swym krokiem podkreślając oddanie i szacunek”. Na srebrnej tacy wnosiłem kryształowy puchar. Dęta lipa od początku do końca. Nikt prócz Wandy nie miał zielonego pojęcia o krokach wyrażających szacunek i oddanie. A Wanda, niby wiedziała, nie mogła jednocześnie siedzieć na tronie i podawać sobie samej kryształ na srebrnej tacy. Ani srebra, ani kryształu. Herbaciana szklanka udawała puchar, a tektura oklejona glansowanym papierem grała rolę królewskiej tacy. Wanda wypijała wodę i stawiała szklankę na tacy. Kłaniałem się znowu i nic nie mówiąc lażłem z powrotem do kąta za koc.

Chciałem rolę giermka ożywić i urozmaicić.

- Wanda, ja coś powiem. Pozwól, bardzo proszę.

- Popsujesz sztukę. Zabraniam.

- Wanda, co ci szkodzi? Wanda!

- Natychmiast daj uroczyste słowo honoru!

Zwiesiłem głowę i wystękałem uroczyste słowo. Straciło ono moc już następnego dnia. Wanda giermka zmieniła na pazia. Odebrała miecz i ostrogi. Ubrała mnie w sukienkę do pierwszej komunii, pożyczoną od jakiegoś obcego bachora. Przypięła szarfę z karbowanej bibułki. Wyglądałem jak dziewczynka. Ze słowa honoru zrobiło się zwykłe „cyku, cyku na patyku”.

- Czego becysz? Zmieniłam tylko kostium. Reszta po dawnemu. Grasz pazia czy nie?

- Gram pazia, ale bardzo się dziwię, że właśnie ze mnie chcesz zrobić idiotę. Zabierz kokardę. To ohydne.

- Paż musi mieć kokardę koloru mojej sukni. Zawsze tak było i ty mi się do kostiumów nie wtrącaj.

- Będę grał z kokardą.

Za kocem uderzyłem w bek. Płakałem krótko, bo mi nagle wspaniały pomysł wpadł do głowy.

Niedzielne przedstawienie ściągnęło do szopy rodziców i znajomych. Zebrała się kupa ludzi z całej Kolonii. Przez dziurkę w kocu widziałem cioteczno brata. Zapomniałem powiedzieć, że był to wysoki dryblas o krostkowatej twarzy. Pryszczki miały zniknąć po ślubie, ale nie znikły, więc kuzyn przypiekał je spirytusem salicylowym. Prócz spirytusu stosował także drożdże. Trzy razy dziennie ugniatał spore kulki i tykał jak indyk. Raz mu taka kulka wyskoczyła nosem i o mało nie zbiła żarówkę. Słowo daję.

- Ogłuchłeś? Wyłaż, Wanda klaszcze!

Krowa, przebrany za rycerza, podał tacę i wypchnął mnie za koc.

Na scenie było strasznie. Nogi przykleiły się do desek. Zrobiły się takie ciężkie, że nie mogłem ruszyć się z miejsca. Gorąca fala oblała twarz i szyję. Zimne mrówki biegały po plecach.

- Dzień dobry... - powiedziałem jakimś obcym głosem i ukloniłem się publiczności.

Rozległy się życzliwe chichoty. Ktoś parę razy klasnął w dłonie.

- Miły mój paziu, Królowa Wiosny prosi cię o puchar... - deklamowała Wanda rozwalona na tronie jak moskiewski kupiec. - Tylko źródlaną piję wodę z dzwoniących źródeł w głębi gór...

- Paż leje na podłogę... - mruknął brodaty Duch Gór stojący obok tronu.

- Paziu, bliżej... - syknęła Wanda i usiadła przyzwoiciej.

- Bo jak cię kopnę... - dodał Duch, ale też przestał się wypinać.

- To jest woda z pompy! Surowa, nie gotowana! Dobra, zimna! Czuć wodę żelazem! - krzyknąłem i pół szklanki wypilem jednym haustem.

Publiczność podziękowała oklaskami. Wanda uśmiechnęła się do sali.

- Mój paż nieśmiały, zupełnie stracił głowę...

A potem do mnie wrednym szeptem:

- Oddaj szklankę. Dajesz czy nie? O, czekaj, ty fąflu!

- Nie wolno mówić „fąflu”!

Zauważyłem, że kuzyn unosi się z krzesła. Nie było chwili do stracenia. Nabrałem tchu. Wrzasnąłem z całej siły:

Skazał starik Seneka:
Stoj swinju z daleka
i nie tykaj ryła,
De ne twoja siła!

- A teraz całuj mnie gdzieś i sama leć po wodę!

Oblałem Ducha i Królową. Rzuciłem szklanką, lecz czujny Duch dał susa w bok i puchar poszedł za kulisy. Chciałem powiedzieć jeszcze jeden wierszyk, ale matka zerwała się z miejsca i schwyciła mnie za rękę.

- Kurtyna, kurtyna!... - piszczała .Wanda na pustej scenie.

Za kocem rycerstwo pękało ze śmiechu.

- Teraz mama widzi, jaka ta Wanda jest naprawdę - powiedziałem, gdy opuszczałem szopę eskortowany przez kuzyna.

- Ani chwili spokoju. Skandal za skandalem - powtarzała matka okropnie zdenerwowana.

- Daję uroczyste słowo, że Wanda powiedziała „ty fąflu”. Ja mamie powiem, co Wanda myśli po cichu, jak mówi głośno „fąfel”...

- Bydlaku... - kuzyn przyczepił się do mego ucha. Zacząłem ryczeć.

Wróciliśmy z teatru w kiepskich nastrojach. Ojca na szczęście nie było w Warszawie. Ponieważ kuzyn pod wpływem obcowania z robalami miał fioła na punkcie ciągnięcia za ucho, wyniosłem się do kuchni i tam, liżąc rany, popłakiwałem w samotności. Przed snem kuzyna ruszyło sumienie. Wziął mnie w obronę.

- A pamięta ciocia - powiedział do mamy - występ Majakowskiego w Kijowie?

- Nie pamiętam i pamiętać nie chcę. - Mama ciągle nie mogła przyjść do siebie.

- Majakowski wystąpił w żółtej damskiej bluzce. Spojrzał groźnie na publiczność, wziął ze stołu szklanę, nabrał wody w usta i prychnął na salę. „Tak na was pluję!” powiedział i dopiero po tym wstępie zaczął czytać wiersze. Wrażenie było kolosalne. Mówiono: „Ho, ho, ot, Majakowski!...” Wydawało się, że piorun bije za piorunem...

Słuchałem z podziwem. Pioruny, żółta bluzka! O czymś podobnym mogłem tylko marzyć, ale i marzenia przychodziły mi na razie z trudnością. Bolesne następstwa pierwszego występu odpędzały sen. Ucho piekło, inne części ciała też były bardziej gorące niż zwykle. Poddałem się dorosłym, zrezygnowałem z teatru. Nie grałem więcej w żadnej sztuce, choć w szopie wystawiano ich coś z tuzin.

A w teatrze do dziś jestem rzadkim gościem. Pytają znajomi: „Dlaczego? Cóż to za nowe dziwactwa?” Uśmiecham się, wzruszam ramionami. Udzielam nawet wyjaśnień, które niczego nie wyjaśniają. Trudno każdemu opowiadać wszystko od początku, o Wandzie, Krowie, o scenie w szopie, o życiu na Kolonii.

Dorośli komplikują życie

Dalej, bracia, a nie zwlekać,
Z naszej Polski zrobim raj!

Imieniny wypadły w sobotę. Tego samego dnia skończyłem dziewięć lat i zacząłem dziesiąty rok życia. Od obiadu kręciłem się po jadalnym, czekając na gości. Zamiast przyjść od razu, popisywali się punktualnością. A zegar szedł, jakby kukułka narobiła w tryby. Wahadło kiwało się z łaski. Zegar stękał nad każdą minutą i mijała dobra godzina, zanim z minuty uzbierał się kwadrans. Chodziłem od okna do okna, szyja już bolała od wyglądania, a na ulicze wciąż nie było widać psa z kulawą nogą.

Zaprosiłem wszystkich. Wszystkich prócz Zośki i Szandra. Zdrajcom nie podaje się ręki i nie jada się ze zdrajcami ciastek z cukierni „R. Pomianowski” na rogu Pięknej i Marszałkowskiej.

Tuż przed imieninami podeszła do mnie Zośka.

- Chcesz bawić się w dzwonki?

Lubię biegać i bardzo lubię dzwonić. Zgodziłem się więc bez namysłu. Szander, brat Zośki, też miał wielką chętkę.

- Ty - powiedziała Zośka - dzwonisz do wszystkich drzwi w budynku ósmym, Szander w siódmym. Meta za płotem. Ja sędziuję. Kto wygra, będzie się ścigał ze mną. Dam mu fory, bo jestem starsza i mam dłuższe nogi. Do każdych drzwi dzwoni się trzy razy. Jeżeli dzwonek popsuty, trzeba zastukać obcasem. Też trzy razy.

- Nie musisz uczyć. Zaczynamy?

Kiedy stanęliśmy na starcie, Szander zaczął kręcić.

- Trochę mnie noga boli. Nie pobiegnę prędko...

- Mnie jeszcze więcej boli noga, ale nie mówię o tym nikomu. Zośka, licz!

Na „hop” wbiegłem do ogródka mieszkania numer jeden. Ledwie dotknąłem dzwonka, drzwi się otworzyły i służąca Helka z trzepaczką wyskoczyła na dwór.

- A to tak? A to się nigdy nie skończy? A to tak będzie dzisiaj od rana do wieczora? A to kawaler zna?

Zawróciłem na pięcie. Ucieczka przed Helką nie przynosi ujmy. Przed tą samą trzepaczką zmykał kiedyś ordynans pani kapitanowej Czeżowskiej. Po rozmowie z Helcią służąca sąsiadów wyniosła się na posługę w innej dzielnicy miasta. Do furtki miałem kilkanaście kroków. Trzepaczka robiła okropny wiatr tuż za plecami. Pędziłem jak straż pożarna, lecz odwrót miałem odcięty. Ktoś furtkę zatrzasnął i drut wetknął w skobel. Dopadła mnie Helka, gdy byłem na płotku.

- Nie wolno bić! - wrzasnąłem. - Niech sobie nie pozwala!

W tej samej chwili usłyszałem słodki głosik Zośki.

- To ten, pani Helko. On już trzeci raz przeszkadza pani dzisiaj.

- Podłe kłamstwo, nawet nie dotknąłem dzwonka! Mogę dać słowo honoru, nie wiem, kto do państwa dzwonił!

Helka nie słuchała. Pogroziła trzepaczką i wróciła do siebie, wspaniale trzaskając drzwiami.

Zośka chichotała jak głupia. Szander dłubał w nosie i powtarzał „he, he”.

- Smaczna trzepaczka? Dobra trzepaczunia?

- Kto zamknął furtkę? Kto wsadził drut?

- Ktoś... - Zośka oparła się o płotek i znacząco poruszyła nogą. - Chcesz kopa na deser?

- Tylko nie próbuj pluć... - Szander podniósł kamień i zaczął go czyścić rękawem.

- Zdrada, zdrajcy! - krzyknąłem, żeby usłyszeli wszyscy dookoła. Jak na złość nikogo nie było w pobliżu. W oknach pojawiły się twarze dorosłych, ale ci, naturalnie, ze współczuciem nie śpieszyli. Patrzyli na mnie, jakbym miał choinkę na głowie.

- To ten - mówiła Zośka rozdając dygi na lewo i prawo - bawił się dzwonekami, ale już nie będzie, bo od pani Helci trzepaczką otrzymał naukę.

- Ze zdrajcami nie gadam - wsadziłem ręce w kieszeń i odszedłem udając, że nic mnie nie obchodzi Zośka ani Szander.

Dopiero przed budynkiem wojskowym zobaczyłem Katię, córkę kontraktowego podpułkownika Gruzina. Kucnąłem obok dziewczynki i cierpliwie obserwowałem zygzaki, jakie Katia kreśliła patykiem na piasku. Katia, choć najmłodsza, była cennym sojusznikiem. Szła do ataku jak lokomotywa. Cofała się ostatnia i nigdy nie płakała. Namówić Katię bez pomocy jej brata Wanosa udawało się bardzo rzadko. Postanowiłem jednak spróbować. Wywróciłem kieszeń i oderwałem od materiału dwa zielone krążki.

- Chcesz dropsa? Miętowe.

Katia przyjęła cukierek i dalej rysowała w milczeniu swoje esy-floresy.

- Słuchaj, Kaczka. Szander zdrajca. Trzeba Szandrowi zbić mordę.

- Dobrze - odpowiedziała przesuwając dropy pod drugi policzek.

- Będę się bił z Szandrem, ale Zośce nie dam rady. Zośka zachodzi z tyłu i takie daje kopy, że traci się apetyt nawet na różowe ciastko. Kaczka, dasz radę Zośce, prawda?

- Dam.

- Umiesz gryźć w tydkę, prawda, Kaczka?

- Tak.

- Chodź. Podbiję Szandrowi oko, a ty ugryziesz Zośkę. Chodź, Katia. Pluń na piasek.

Kaczka ani drgnęła. Usiadłem obok i zacząłem od początku.

- Słuchaj, Kaczka...

- Aha.

- Boisz się Zośki?

- Nie.

- Dasz radę?

- Dam.

- Lubisz się bić?

- Tak.

- To chodź ze mną, Kaczka, chodź!

- Nie.

- Kaczka, dlaczego!?

- Wanos nie kazał.

- Kaczka!...

Nic, cisza. Ze złości spocily mi się ręce i oczy. Katia gryzmołła dalej patykiem.

- Gdzie Wanos?

- Poszedł.

Przegrałem sprawę. Rozmowa z Katią nie miała już żadnego sensu. Równie dobrze mogłem gadać do słupa. Podniosłem się z kucek.

- Co to jest? - zapytałem wskazując rysunek na piasku.

- Nie twoja rzecz!

Kaczka wypluła cukierek i jednym ruchem starła wszystkie linie.

Cała rodzina dziwna. Kaczka bez brata nikogo nie ugryzie w tydkę. „Stary Wanos”, pułkownik, nosi czarną brodę, a matka Kaczki i Wanosa... Czasem bierze dzieci za ręce i całą trójką idą na skraj lotniska. Tam stają i nic do siebie nie mówiąc patrzą w drugi kraniec pola, gdzie spoza koszar i hangarów połyskuje kopuła wojskowej cerkiewki. Po co patrzą i co widzą - nie wiemy. Coś tam, na południowym wschodzie, widzieć jednak muszą, bo stoją pod topolami nieraz bardzo długo. Bywa, że zniecierpliwiony pułkownik przybiega po rodzinę. Słyszymy jak irytuje się w niezrozumiałym języku. Potem zdejmuje rogatywkę, kiwa głową, macha ręką. A potem prowadzi rodzinę z powrotem na Nowowiejską. Idą w milczeniu, patrzą w ziemię, jakby szukali czegoś, co wypadło-przepadło, zapadło się niby kamień w wodę.

Upór Kaczki i nieobecność Wanosa przekreśliły próbę pojednania z Szandrami. Zośka i Szander zostali na całe życie zdrajcami. Obiecywałem sobie, że do śmierci będę patrzył na Szandrów „jak na powietrze”. Nie spodziewałem się więc Szandrów na imieninach, ale i tych zaproszonych gości doczekać się było trudno.

Słońce świeci w oczy i przez otwarte okna sięga już do kredensu. Kredens „na balaskach” jest duży i brzydki. Panuje nad pokojem jak wielka kamienica nad małym podwórkiem. Mówi się ciągle, że trzeba będzie w końcu kupić przyzwoite meble, ale po tych zapowiedziach następuje zwykle wyliczenie oczywistych zalet nabytego okazjnie kompletu: „Dąb, masyw, wyjątkowo tanio.

Drewno suche, pewnie przedwojenna robota, bo teraz wszystko partolą. Na mokrą sosnę kładą byle jaki fornir, zasmarowują kitem i każą sobie płacić bajońskie sumy”. Co do jednego zgadzamy się bez dyskusji: meble wyszły spod ręki maniaka opętanego tokarką. Stąd tyle kul, półkul, wyrzuseń i jajowatych narośli.

Trzeba przestawić półmiski, żeby nie roztopił się lukier na eklerach, nie sflaczały napoleonki i nie klapnął krem w ponczowych. Pomagam matce, próbuję krem palcem, czy „aby nie skwaśniał”, i znowu wracam do okna. Myślę o Szandrach-zdrajcach, oglądam się na kredens, wymyślam różne myśli, a wszystko po to tylko, żeby uniknąć pokusy i nie popatrzeć za wcześnie na zegar.

Pierwszy przybiegł Jacek. Wspiął się po ceglach i zajął do pokoju.

- Już można?

Zanim mama zdążyła odpowiedzieć, popędził po brata. Jędrzek stał za rogiem. Punktualnie co do minuty przyszedł Staś Polaczek i z wielką powagą powiesił na wieszaku gimnazjalny „rondelek”. Zaraz po Stasiu przybiegły Dzik i Jaga, a za babami przyczłapał Krowa. Krowa, jak to Krowa. Zamiast przywitać się z mamą, a mnie złożyć „najserdeczniejsze życzenia”, potknął się na progu. Myślał, że o sznurek, więc krzyknął:

- No, ty! Tylko się nie wygłupiaj!

Po Krowie zjawiała się Wanda z Witkiem. Witkowi wszystko jedno, ale Wanda do manier wielką przywiązuje wagę. Zawsze patrzy z okna. Czeką, aż zbiórą się młodszy. Razem z nimi wszedł Wanos, prowadząc za rękę Katię.

Kiedy już wszyscy usiedli przy stole, nadeszła chwila wielkiej niespodzianki.

- Kto chce kakao, a komu herbaty z cytryną?

Gdyby ludzie pękali naprawdę, pękałbym z dumy przy każdej odpowiedzi.

- Jeżeli można, poproszę o herbatę z cytryną...

Co imieniny, to kakao. Wysadzają się wszyscy na kakao z pianką, bo słodkie, pożywne i „dzieci to lubią”. A kakao zatyka. Po dwóch, trzech kubkach z najlepszego „tortowego” robi się w ustach gnieciuch. Ani połknąć, ani wypłuć. Goście rozchodzą się osowiali, a słodycze wędrują do kredensu. Zżera je potem rodzina solenizanta przy zasłoniętych firankach. Nieraz widziałem takie imieniny.

Pito herbatę jak chleby kwas w upalny dzień. Goście niby się wymawiali, lecz zachęceni przez mamę: „a może jednak?”, bez ceregieli podsuwali szklanki. W kuchni już trzeci czajnik parkotał na płycie. Pod wpływem herbaty robiło się coraz weselej. Staś zabawiał rozmową na swój ulubiony temat.

- Wczoraj, podczas dużej pauzy, karawan firmy Sawnor pojechał na Polną. Na Lwowskiej widziałem dwie nowe klepsydry. Pytałem dozorców, przyjadą tam karawany od Łopackiego i Staniszewskiego.

Karawany, pogrzeby i klepsydry interesują Stasia tak, jak innych interesuje wojsko albo straż pożarna. O „umrzykach” może Staś opowiadać cały dzień bez przerwy. A jak się zna! Wie, że za granicą są takie domy, że trumny wciągają się przez okna! Nikt, oczywiście, nie boi się cmentarza, ale jak Staś zaczyna wdawać się w szczegóły i mówi, że trumnę „musieli dać na sztorc, bo nie mieściła się w przedpokoju”, niemiły chłodek wchodzi za kołnierze. Trzeba nastawić czwartego czajnika.

- Pan Smolarski wraca sobie z miasta - powiedział nagle Staś, bo mama weszła do pokoju.

- Ojej, rzeczywiście... - pisnęła Dzik.

Jacek krzyknął przez okno:

- Proszę pana, pijemy herbatę!

Pan Smolarski mieszka po drugiej stronie uliczki w budynku ósmym. Pana Smolarskiego widzimy parę razy dziennie. Do miasta czy z miasta, zawsze ręce założone z tyłu. W splecionych dłoniach laska albo parasol z bambusową rączką. Głowa odchylona, jakby pan Smolarski liczył obłoki lub zobaczył balon. Wiadomo, że pan Smolarski po powrocie z miasta zamyka się w pokoju na klucz i do późnej nocy pisze książki. Nie zwracając na nas uwagi, pan Smolarski minął okna i poszedł do siebie. Staś znów zaczął swoje, lecz urwał w połowie, bo tymczasem „nowi goście stanęli u furtki”, jak mówi Wanda. Oczywiście nie stanęli. Przebiegli ogródek i trzy razy przekręcili dzwonek. Spojrzałem na przyjaciół - same głupie miny. Staś chrząknął.

- Cóż, chce pokazać nowe, żółte buty. Pokaże i pójdzie.

- Prędko, soli do eklera, kwasu bornego do napoleonki! - radziły szeptem baby, Jagusia i Dzikka.

Pocziwy Tadek Tarkowski wyjął z kieszeni buteleczkę gumy arabskiej.

- Posmaruję krzesła i szklanki?...

Katia zerwała się z krzesła, chwyciła nożyk od cytryny i podała bratu. Wanos zaczerwienił się.

- Siedź głupia. Nie pluj w szklanki. Też nie można.

- Gość w dom... - powiedziała Wanda i wszyscy umilkli.

Zośka i Szander już byli w przedpokoju. Krowa nie wytrzymała.

- Szander w krawacie! Szander, coś ty, głupi?

Zośka cmoknęła mamę, zakręciła się i nim się kto spostrzegł, usiadła przy Wandzie na wprost ostatnich napoleonek. Szander tak długo szurał żółtymi butami, że mama musiała powtórzyć trzy razy:

- Jakie ładne buty. Pewnie nowe?

Dopiero wtedy Szander usiadł i od razu wziął dwa ciastka. Uśmiechał się przy tym bezczelnie i robił do mnie miny, jak gdyby nigdy nic. Zupełny andrus. Nawet nie zauważył, że patrzę na niego jak na zepsute powietrze.

Gość w dom... Ale jak się zachować wobec zdrajcy? Co robi się ze zdrajcą w rodzonym domu? Czy w mieszkaniu zdrajca staje się normalnym gościem, a dopiero za progiem znów jest „nie mytą świnia”? Zacząłem w Szandra pompować herbatę. Zdrajca pił, nie licząc się z siłami. Po czwartej szklance pobladł. Zdjął krawat i o dwie dziurki popuścił pasek.

- Mamo, Szander prosi o herbatę. Pij, Szander, myśmy już wypili po sześć i nic.

- Gorąca... - Szander psykał i chuchał w niby poparzone palce.

- Trzymaj przez serwetkę. Herbata musi być gorąca. W Kijowie pijało się prosto z samowara, żebyś wiedział!

Po tej szklance Szander wyraźnie stracił humor. Wypił jeszcze dwie i zrobił się zielony. Potem czerwony jak barszczyk. Twarz mu się wydłużyła w szczurzy pyszczek. Bronił się słabym głosem.

- Ty, daj spokój... Nie dam rady... Ja już naprawdę nie mogę... Bardzo pani dziękuję... Nie nalewaj, bo!...

Wiadomo, co takie „bo” znaczy! Na to właśnie czekałem. Wmusiłem w Szandra jeszcze jedną szklankę i pół następnej. Wtedy wstał.

- Ja muszę...

- Niestety - odpowiedziałem smutnie. - Nic z tego. Popsute.

Nie pomogły wołania, że zaraz zaczną się gry towarzyskie w popsuty telefon i w fanty, że Wanda będzie wróżyć i stawiać kabałę, że jak dobrze pójdzie, to rozwiniemy szlauch do polewania ogródka... Jak Szander usłyszał o polewaniu ogródka, zgiął się wpół i powlókł się do wyjścia. Tam z płaczem błagał, żebyśmy nie marudził i drzwi jak najprędzej otwieraliśmy.

- Do widzenia, bardzo ci dziękuję - powiedziałem na pożegnanie.

Zośka nad podziw trzymała się dzielnie. Bawiła się do końca i ani razu nie wybiegała z pokoju, „żeby zatelefonować”. Innych bab herbata również się nie miała. Nie mogłem zrozumieć dlaczego. Zapytałem Wandy, oczywiście szeptem. Burknęła: „nie bądź za ciekawy”, i na tym się skończyło. Nawet Staś, choć w sprawach karawaniarskich wiedział wszystko na wrywki, tym razem nie był mądrzejszy ode mnie.

- I mnie to wpadło w oko - szeptał - zajmę się tą sprawą któregoś dnia.

Przy pożegnaniu Staś pogratulował udanych imienin.

- Ta herbatka, co? Opowiem wszystkim w szkole. O fajnych imieninach długo się pamięta.

Do przyszłości nie miał Staś szczęśliwej ręki. Co przepowiedział, spełniało się na opak. Sława herbacianego przyjęcia i klęska Szandra (oczywiście nie doszedł do domu...) zaczęła przygasać tego samego dnia wieczorem. W jadalnym, gdzie przed paru godzinami było tak wesoło, nudzili teraz dorośli. Po imieninowej porcji herbaty liczonego się w domu z „nocną katastrofą”. Mimo późnej pory nie pędzono mnie spać. Tłumiąc ziewanie, słuchałem rozmowy przy stole.

Podróżnik Casimiro mówił, że „zamach stanu wisi w powietrzu”. W 7 pułku ułanów zapowiedziano wymarsz na ostre strzelanie w Rembertowie. Pułk lada moment ma wyruszyć z Mińska. Pan Casimiro wie o tym od syna, który w ułanach odsluguje wojsko. Wie również, że pod pozorem ćwiczeń rozdano ostrą amunicję i że ostre ładunki otrzymali tylko wybrani ułani. Marsz do Rembertowa oznacza tyle, co marsz do Sulejówka...

Wiadomość ożywiła rozmowę. Zasypano podróżnika rzeczowymi argumentami. Na dobrą sprawę, co może wiedzieć ułan z ogoloną głową? Tego wprawdzie nikt nie powiedział, ale jestem pewien, że właśnie tak myślała większość gości.

- Kochana Warszawka nie dopuści. Warszawa to nie Południowa Ameryka.

- Są środki do opanowania sytuacji.

- Powaga czynu onieśmieli nawet takiego ryzykanta, jak Piłsudski.

- Zamachy stanu w Polsce zwykle się nie udają.

Casimiro bębnił w stół i gniewnie fukał. Nie wyglądał na przekonanego. Wtedy mąż pani Miry, pan Stasiuńcio z MSZ, wtrącił jakąś uwagę o papieżu, że stanowisko Ojca św. może wyrzucić decydujący wpływ na rozwój wypadków.

- Papież to też lepszy bubek - powiedział zirytowanym tonem Casimiro.

Po króciutkiej ciszy ogarnęło wszystkich nienaturalne ożywienie. Pani Mira podniosła się jednak od stołu i „w pół herbaty” zaczęła się zbierać do wyjścia, choć mieszkała bardzo blisko, bo po drugiej stronie Kolonii. Zerknąłem na ojca i nie czekając na zachętę wyniosłem się z pokoju. Długo jeszcze słyszałem podniecone głosy dorosłych. Spierali się do nocy, co zrobi Piłsudski.

Rano ze świeżą głową pobiegłem pod budynek wojskowy. Długo musiałem wołać, zanim Jacek raczył pokazać się w oknie.

- Gdzie Jędrzek?

- W domu.

- Chodźcie się bawić.

- Nie mamy czasu. Czyścimy z tatusem pistolety.

- Wielka rzecz, ojej...

Odszedłem nadrabiając miną. Ani Jędrzek, ani Jacek nie byli mi potrzebni do szczęścia. Równie dobrze mogłem bawić się sam bez ich, nie powiem jakiego, towarzystwa.

W poniedziałek nowa niespodzianka. Usłyszawszy warkot motorów, pobiegłem na drugą stronę Nowowiejskiej. Wartownik przy bramie Wyższej Szkoły Wojennej jak zwykle puścił bez gadania, ale sierżant z dyżurki wrzasnął, że nie wolno.

- Tylko popatrzę na „Packardy” i już wychodzę.

- Chcesz paskiem?

Spojrzałem jak na wariata. Zawsze było wolno! Nie raz i nie dwa jechałem „Packardem” z garażu do bramy. Nigdy żaden z podoficerów nie groził mi paskiem. Działo się coś, co ustalony porządek wywracało do góry nogami. Wszyscy dorośli wstali lewą nogą. Co to za wojsko, co nie lubi dzieci? Przecież tylko dzieci naprawdę lubią wojsko!

Zza bramy patrzyłem na ukochane „Packardy”. Były to ogromne ciężarówki „na masywach”, czyli żelaznych kołach oblanych bardzo twardą gumą. Zamiast normalnej trąbki z gumową gruszką miały „Packardy” obok siedzenia sfofera ręczną syrenę, podobną z wyglądu do maszynki od mięsa. Po kilku obrotach korby rozlegał się dźwięk tak przeraźliwy, że w całej okolicy dorożki ruszały galopem, a konie chłopskich wozów, przyjeżdżających z wiktuałami do lasku przy Sucheju, łamały dyszle i zrywały uprzęż. Wracające do koszar „Packardy” słyzało się na Kolonii, zanim samochody wjechały na plac Politechniki. Takie samochody pamięta się całe życie.

Nowiny z terenu koszar przyjęto w domu bez wrażenia, ale już następnego dnia... W środę pojechali rodzice na ulicę Brzozową z wizytą do pułkownikostwa. Wrócili prędko. Musieli omijać Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat. Zaczęło się!...

- A co, nie mówiłem? U nas też ostre pogotowie! - krzychałem podbiegając do dorożki. - Cała Wyższa Szkoła obstawiona żołnierzami w hełmach!

Dorożkarz zaciął szkapę i odjechał kłusem. Nawet przejechać się nie mogłem. W kwadrans później zobaczyłem ojca Jędrka i Jacka. Kapitan, w towarzystwie kilku innych oficerów, szedł prędkim krokiem w stronę miasta. Wszyscy mieli szable i pistolety u boku. Minęli bramę Szkoły Wojennej i poszli dalej.

- Idą na tamtą stronę - powiedział mój kuzyn. - Do Piłsudskiego.

Tuż przed kolacją, było jeszcze widno, usłyszeliśmy dalekie postukiwania. Potem zaterkotało, jakby ktoś patykiem przejechał po sztachetach.

- Oho, już i kulomioty... Maximy?

- Któraż to wojna?

Zaczęło się wyliczanie: japońska, światowa, domowa, 1920 roku...

- Sam Kijów szesnaście razy przechodził z rąk do rąk.

- Tak nie można liczyć. Tak do niczego nie dojdziemy.

Doświadczenia kijowskie nie poszły na marne. Napelniono wannę i nabrano wody we wszystkie rondle i czajniki. Kuzyn robił plany na najbliższą przyszłość.

- Zaczniemy od płotów. Potem zetniemy stare topole. Na końcu rozbierzemy drewniak, w którym mieszka pani Mira z rodziną.

- Buba, dlaczego? Przecież oni tam mieszkają? Dokąd pójdą?

- Muszą poszukać mieszkania w murowanym domu. Podczas wojny drzewa i drewniaki - na opał.

Strzelanina zbliżała się razem z nocą. O zmroku grały już wyraźnie maszynki. Na Nowowiejskiej warczały motory samochodów. Wysokie „Fordy” z odrzuconymi budami przelatowały ulicą, łopocząc flagami Czerwonego Krzyża. Z Nowowiejskiej skręcały w Suchą i jechały z rannymi do szpitala Dzieciątka Jezus.

Leżałem zasłuchany w terkot kulomiotów. Nagle zerwałem się z łóżka.

- Gdzie są Polacy?

Zaczęto mnie uspokajać, zagadywać. Przekonywającej odpowiedzi nie otrzymałem ani tej nocy, ani w ciągu następnych dni.

Rano wystartowały z lotniska rządowe samoloty. Siedziałem z babunią w ogródku od kuchni. Wychodzenie poza ogródek groziło „czymś gorszym niż wojna domowa”... Samoloty zataczały łuk nad Kolonią i Odlatywały w stronę filtrów. Od strony Towarowej podobno następowali piłsudzczycy.

Gapiłem się na samolot, gdy nagle gwizdnęło coś nad głową. Włosy babci stanęły dęba, ze ściany posypał się tynk.

- Babuniu, do domu! Samolot strzela!

- A, daj pokój. Nic, tylko figle w głowie. Dziwne dziecko.

Znowu gwizdy. Tym razem sypią się dachówki.

- Babuniu! Rewolucja!

- Co, znowu?

Babunia chwyciła laskę i podreptała do mieszkania. W porze obiadowej złożył nam wizytę pułkownik Felo. Słuchano go uważnie, przyniósł najświeższe wiadomości. Opowiadał z patosem o postawie podchorążych i elewów Oficerskiej Szkoły Piechoty.

- To stara gwardia! To żołnierz z czworoboku jenerała Cambronne'a! Widziałem ich z bliska...

- A pan pułkownik?... - spytałem cicho.

- Uścisnąłem im dłoń, mój chłopcze! - odpowiedział pułkownik, zanim kazano mi wyjść z pokoju.

Dalszy ciąg nastąpił po wyjściu gościa.

- Pułkownik należy do Korpusu Sądowego i dlatego nie może brać udziału w walkach - tłumaczył ojciec bez wielkiego przekonania. - Wystąpienie Szkoły Sanitarnej po stronie Piłsudskiego jest jawnym skandalem. Powinni nieść pomoc rannym, a nie strzelać. Piłsudski prowadzi walkę wbrew zasadom przyjętym przez społeczeństwa cywilizowane.

Pułkownik zapowiadał klęskę Piłsudskiego w ciągu kilku najbliższych godzin. Wierne rządowi pułki już w drodze do Warszawy! Tymczasem w mieście strzelano coraz gęściej. Strzelanina opasywała Kolonię od wschodu i zachodu. Zamachowcy zbliżali się do lotniska.

Wiadomości napływają ciurkiem. Trudno odróżnić plotki od prawdy. Podobno generał Zagórski chciał bombami rozpędzić piłsudczyków, lecz prezydent zabronił. Podobno pułki poznańskie i wielkopolskie wyładowały się już w Ożarowie i lada moment uderzą na Warszawę.

Na lotnisku studenci i „Sokoli” kopią rowy strzeleckie. Od strony placu Politechniki huczy działo. Podobno ostrzeliwuje „rządowców” broniących placu Na Rozdrożu. Druga armata stoi na terenie filtrów. Bije w Wyższą Szkołę. Podobno jest tam więcej armat, lecz inne strzelają gdzieś poza lotnisko, w kierunku Ochoty.

Strzelanina coraz głośniejsza. Karetki pogotowia i taksówki z rannymi jeżdżą już inną drogą. Na Nowowiejskiej pusto. Od czasu do czasu tynk sypie się z murów. Ktoś z kulomiotu pociąga wzdłuż ulicy. Część mieszkańców Kolonii czeka na poznaniaków, część na dywizje legionowe. Pozostali martwią się o świeże kajzerki. Czekają, aż szala zwycięstwa przechyli się wyraźnie. Wtedy wybuchną właściwym entuzjazmem i opowiedzą się po stronie zwycięzców.

Wodociągi działają, pracuje również elektrownia. Kuzyn ma coraz bardziej zdziwioną minę. Coś mu się nie zgadza. O zmroku wychodzi przed dom i szuka łun na niebie. - Dziwna domowa wojna... Nie podpalają, nie rabują...

W piątek sensacje od samego rana. Przez otwarte okno wpadła do gabinetu zbłąkana kula! Minęła o centymetry głowę ojca, strzaskała zielony klosz „amerykańskiej” lampy i wbiła się w kanapę. Początkowo mówiło się w domu o zbłąkanej kuli, potem o jeszcze jednym niecelnym pocisku z samolotu. Okazało się jednak, że w tym czasie żaden samolot nie przelatywał nad Kolonią. Wtedy podejrzenia skierowały się na *pewnego człowieka*, urzędnika MSZ, który zajmował mieszkanie na wprost naszych okien. Czy „ów człowiek” miał karabin w domu? Pewnie, że *mógł* mieć. Wersja o skrytobójczym strzale przez okno przyjęła się wśród znajomych ojca. Inkrustowana zielonym szkłem kula leżała długie lata na widocznym miejscu. Potem ktoś kulę świsnął i z pamiątek majowych został nam tylko odłamek granatu. Zanim pocisk artyleryjski uderzył w narożnik domu przy Nowowiejskiej, przyszedł mąż pani Miry.

Pan Stasiuńcio zamknął się z ojcem w gabinecie. Rozmowa trwała krótko. Pan Stasiuńcio pożyczył od nas rewolwer „Smith-Wesson” i pudełko naboju. Potem pożegnał się uroczyście z całym domem, oświadczając, że „idzie do Belwederu spełnić obowiązki”. Odprowadziłem go aż na koniec naszego ogródka. Przy furtce obydwaj mieliśmy łzy w oczach.

Wkrótce walka przeniosła się w bezpośrednie sąsiedztwo Kolonii. Usiadłem na schodach i przez owalne okienko w korytarzu patrzyłem na budynki wojskowe po drugiej stronie Nowowiejskiej. W otwartych oknach pojawiły się sylwetki obrońców. Załoga Wyższej Szkoły Wojennej strzelała w kierunku Topolowej, odpowiadając z karabinów na ostry ogień kulomiotów. Nagle huknęło przeraźliwie i ciemny pył zasłonił okno. Kiedy kurz opadł, zobaczyłem odłupany narożnik budynku przy Nowowiejskiej. Dom wyglądał jak nadgryziony. Buba wybiegł z mieszkania. Wrócił z kawałkiem gorącego żelaza. Zaczęły się medytacje nad kalibrem pocisku.

- Zwykły kawałek rury! - krzyknąłem z zazdrości. - Wiem, bo tym kawałkiem Wanos przybijają gwóźdź w wychodku!

Buba postukał palcem w czoło. Usiadłem na schodach, ale nie doczekałem się następnego wybuchu. Za to pierwszy zauważyłem upadek Wyższej Szkoły.

Nasza uliczka, nazwana później Trybunalską, biegnie równolegle do Suchej, łącząc Filtrową z Nowowiejską. Wysoki płot z kolczastego drutu zamyka wylot na Nowowiejską, bo wzdłuż tej ulicy przebiega północna granica Kolonii. W płocie jest brama, którą wjeżdżają wozy z węglem i wozy meblowe, oraz furtka dla pieszych. Jeszcze rano obydwie przejścia były otwarte. Kiedy piłsudczycy zajęli filtry i obsadzili Koszykową, z „budynku wojskowego” (mieszkają w nim Jacek, Jędrzek i rodzina starego Wanosa) wyszedł kulawy dozorca. Widziałem, jak pokuśtykał do płotu i na obu skoblach powiesił ogromne kłódki. Prócz mnie widziało to jeszcze parę osób.

Strzelanina już na Suchej. Spoza ogrodzenia otaczającego filtry piłsudczycy strzelają w okna Szkoły Wojennej. Raptem otwiera się furtka w murze. Z terenu Szkoły Wojennej wybiega skulony żołnierz w hełmie, za nim drugi, trzeci! Przebiegli Nowowiejską, już są przy naszym płocie, szarpią bramę, lecz brama nie puszcza! Zamknęte na kłódkę!

- Kulas świnia! Nie myta świnia! - krzyczę na cały dom.

Żołnierze padli na ziemię. Próbuje precyzyjnie się pod płótnem.

Piłsudczycy strzelają jak zwariowani. Ale oto już nadbiega oficer z dobytą szablą. Pewnie saper, bo czapkę ma z czarnym otokiem. Oficer rąbie druty. Przez wyrąbane przejście wycofuje się załoga Szkoły Wojennej. Widzę obsługę ciężkiego karabinu maszynowego, kilku marynarzy, żołnierzy w hełmach i paru oficerów w wyjściowych rogatywkach. Minęli nasze okna. Zniknęli w kierunku lotniska.

- To znaczy, że poznaniacy daleko...

Wpatruję się w pustą uliczkę. Już nikt nie biegnie. Szkoła Wojenna milczy. Ucichła strzelanina z filtrów. Wyraźnie słychać dalekie dudnienie. Od Rakowca bije bez przerwy artyleria. Wytrzeszczam oczy, żeby nie przegapić piłsudczyków. Szalenie jestem ciekaw, jak wyglądają wojska Piłsudskiego. Muszą się czymś różnić!

Z wojskowego budynku wyszedł stary Wanos. Stał na rogu i zza węgła wyjrzał w stronę filtrów. Potem spojrzął ku Topolowej. Chwilę poprawiał szablę i coś majstrował przy futerale pistoletu. Minuty mijają, a pułkownik wciąż sterczy przy posiekanych drutach. Co zrobi Gruzin z czarną brodą? Już wiem.

Stary Wanos wyjął pistolet z pochwy i szybkim krokiem poszedł na lotnisko.

Jeszcze pusto, ale we wszystkich oknach już widać twarze prześwitujące przez firanki. Cisza w mieszkaniu, żywego ducha między budynkami. Wiem, że zanim doliczę do dziesięciu, żołnierze Piłsudskiego wyrosną jak spod ziemi.

- Zaraz wkroczą - mówi kuzyn Buba. - Przed każdym wkroczeniem taka dziwna cisza. Pusto, cicho i choć nikt nie ogłaszał, wiadomo, że po wszystkim...

Już są. Pięciu cywilów maszeruje całą szerokością uliczki. Na rękawach czerwone opaski, w dłoniach długie karabiny.

- Czyżby „berdanki”?...

- To są, tatusiu, francuskie „lebele”...

Cywilom towarzyszy kulawy dozorca. Pokazuje drogę. U sąsiadów z trzaskiem otwiera się okno.

- Wiedział Pan Bóg, komu kulasa przetrącić! - wrzeszczy pani Helka.

Za cywilami idą żołnierze w pełnym rynsztunku: hełmy, tornistry z menażkami, manierki, chlebaki, saperki, ładownice, po trzy z każdej strony. Na karabinach długie francuskie szpikulce. Żołnierze posuwają się ostrożnie, tuż przy płocie. Zerkają na dachy i na okna. Usłyszawszy krzyk Helki, stanęli, a potem rzucili się do ogródka.

Matka pobladła i cofnęła się w głąb pokoju. Ojciec chrząknął raz i drugi. Kuzyn chwycił mnie za rękę i ciągnie z pokoju do kuchni.

- Uspokój się - mówię - oni piją wodę. Helka wyniosła im całe wiadro.

Żołnierze poprawili hełmy, obtarli usta rękawami i poszli dalej.

- A nie mogliście siedzieć w tym swoim Kutnie? - woła za piłsudczykami Helka.

Żołnierze udają, że nie słyszą.

- Trzydziesty siódmy pułk piechoty z Kutna - stwierdza rzeczowo Buba. Jest wysoki i widzi cyfry pułku na naramiennikach.

Gruby kapitan prowadzi resztę kompanii. Piłsudczycy z Kutna mało się różnią od „rządowców” z Łowicza. (O łowickim 10 pp opowiadał nam pułkownik Felo). Szczerze mówiąc, nie widzę żadnej różnicy.

Ledwie przeszła kompania 37 pułku, wybuchła gwałtowna strzelanina. Słychać zwykłe karabiny i słychać kulomioty. W pewnym momencie ogień przygasa. Przez uchylone okno dolatuje stłumione „ura”...

- Poszli na bagnety.

Znowu szaleją maszynki i bardzo się śpieszą zwykłe karabiny. Lotnisko jeszcze się broni.

A potem nagle zapada cisza. Taka sama jak po zdobyciu Wyższej Szkoły. Pozostaje do wyjaśnienia tylko jedna sprawa: gdzie są pułki poznańskie? Mimo protestów matki idę razem z ojcem.

- To są wypadki wielkiej wagi. Powinien je pamiętać.

Idziemy do „wysokiego domu” przy Filtrowej, który zasłania widok na południe. Z balkonu sędziego Bujalskiego widać lotnisko, plac Wyścigów Konnych i pola aż po szosę Krakowską. Dom Filtrowa 30 panuje nad całą okolicą.

U sędziego sporo osób. Sytuacja śmieszna, bo goście wypatrują poznaniaków, a gospodarz sprzyja Piłsudskiemu. Panowie co chwila przykładają lornetki do oczu. Daleko, hen, pod Rakowcem widzą jakieś wojsko. Nic nie widzę i nic już nie rozumiem. W ogóle nie mogę się dopchać na balkon. Wreszcie ktoś się zlitował.

- Chcesz popatrzeć przez lornetkę?

- Bardzo, proszę pana.

- Tylko nic nie kręć, bo już nastawione.

Oczy zachodzą łzami, a w lornetce wciąż szaro i szaro. Skąd mogłem wiedzieć, że przez lornetkę trzeba umieć patrzeć?

- Widzisz? I cóż ty tam widzisz?

- Żołnierzy z karabinami i oficera na koniu.

Obcy pan wyrwał mi lornetkę, oparł łokcie o balustradę i krzyknął:

- Tak, tak, teraz i ja widzę! Piechota rozwija się w tyraliery, jazda idzie dobrym kłusem.

- A więc forpoczty Żymierskiego?

- Zapewne. Kierunek się zgadza.
- Uderzą z flanki i wyjaśnią sytuację w rejonie placu Unii.
- Cóż tam się dzieje? Piechota wali na Rakowiec, jazda zawraca na Szczęśliwice!
- Być może jakiś manewr.
- Jaki?
- Czyj?

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Sędzia Bujalski taktownie milczał. Wreszcie jeden z panów zdobył się na odwagę i powiedział głośno:

- Zatem są to wojska Piłsudskiego.
- ... które zagroziły drogę brygadzie Żymierskiego.

Dorośli schowali lornetki do futerałów i zaczęli krążyć po pokoju, od balkonu do drzwi, od drzwi do balkonu. Ktoś zauważył, że artyleria „ciągle strzela”. Ktoś inny dorzucił kilka nowych komplementów pod adresem dzielnych poznaniaków. Potem wszyscy zerwali się do wyjścia.

Kiedy wróciliśmy do siebie, powiedziałem Bubie:

- Piłsudski wygrał, bo...
- Bo co? - spytał kuzyn.

Tego właśnie nie mogłem zrozumieć. Piłsudski wygrał, choć prowadził wojnę „wbrew powszechnie przyjętym zasadom”. Prezydent przegrał mimo poparcia „olbrzymiej większości patriotycznie usposobionego społeczeństwa”, mimo „najtęższych głów generalskich”, mimo przysięgi, która powinna była obowiązywać oddziały wojskowe, mimo naszego Smith-Wessona, z którym pan Stasiuńcio udał się do Belwederu. Rząd potknął się na kolejarzach. Kolejarze pozrywali szyny i przewrócili kilka parowozów, zatarasowali tory łączące Poznań z Warszawą.

W sobotę mogłem już biegać po całej Kolonii. Najpierw do żołnierzy. Między „drewniakami” stoją karabiny w kozłach i dymi polowa kuchnia. Biwakuje tu piechota z Kutna i 21 pp z Cytadeli. Żołnierze mają piasek w oczach. Ożywają się na widok papierosów i wiadra z wodą. Żołnierzom zawsze chce się pić. Mieszkańcy „drewniaków” częstują piechurów wodą i „paleniem”, ale w rozmowy się nie wdają. Wojsko sobie, cywile sobie. Nie słychać głośnych rozmów. Nawet sierżanci mówią jak normalni ludzie.

Od wojska, co sił w nogach, do lasu „Na pałatkach”. Już wiem, że leżą tam zabici podczas ataku na lotnisko. Pod drzewami przechadza się wartownik z karabinem. Pilnuje zielonej „celty”, spod której wystają nogi w zakurzonych butach. Wokół plandeki tłum gapiów. Cywile proszą:

- Panie wojskowy, pan odstłoni. Może kto którego pozna?
- Poznawać się będzie w innym miejscu.

- To czemu leżą? Czemu ich nie zabierają?

- Nieżywy może czekać. Sanitarki mają z rannymi dość roboty. Cofnijcie się, ludzie. Nie wolno tak blisko.

- Panie wojskowy, bądź pan człowiekiem, aby twarze... Panie wojskowy, pan palący?

- Jak ma, to pewnie pali!... Wiadomo, jak przy wojsku... Poczęstowano żołnierza papierosem. Wartownik zapalił i pochylił się nad plandeką.

- Wszyscy tak samo zabici - tłumaczył ściągając brezent - serią maszynki przez pierś. Nie umieli się kryć, a szli na wojnę...

Razem z dorosłymi podsunąłem się bliżej plandeki. Zabitych było pięciu. To ich prowadził Kulas przez Kolonię. Leżeli bez „Lebeli” i bez czerwonych opasek. Żołnierz spojrzął po gapiach.

- Dosyć?

- Za jednego papierosa starczy!

Rozległy się śmiechy. Zrobiłem się czerwony ze wstydu. Potem ci sami ludzie zaczęli głośno żałować zabitych cywili. Tego szkoda, mówili, bo taki młody. Tamtego też szkoda, bo szpakowaty i pewno miał dzieci...

W lasku „Na pałatkach” spotkałem wszystkich chłopców z Kolonii. Była tam cała imieninowa kompania. Patrzyliśmy razem, staliśmy blisko siebie, ale kiedy przyszło wracać, każdy tak kręcił, żeby nie iść kupą. Każdy unikał towarzystwa. Później, gdy majowa wojna wywietrzała z głowy, wróciły wspólne zabawy i gonitwy. Ale na żadnych już imieninach nie zebrała się nasza paczka w komplecie. Dla jednych kulawy dozorca był bohaterem. Dla innych zdrajcą i podejrzaną figurą. Na Dziesięciolecie udekorowano dozorcę medalem na niebieskiej wstążce.

Pod wieczór zjawił się pan Stasiuńcio. Był aż w Wilanowie. Opowiedział o abdykacji prezydenta i o swoim powrocie przez pola do Warszawy. Najciekawszą wiadomość zachował na koniec: wrócił bez naszego rewolweru! „Na wszelki wypadek” cisnął Smith-Wessona w zboże! Obiecywał odszukać rewolwer, „jak życie się unormuje”.

- Wetknąłem bestii w lufę kawał tłustej kiełbasy. Metalowe części grubo posmarowałem masłem. Zawinąłem Smitha w dwie chustki i rzuciłem na lewo od miedzy. Ze znalezieniem nie będzie trudności. Chustki z monogramem!

Ojciec uśmiechnął się kwaśno i ręką machnął. Ukochany Smith-Wesson przepadł na amen. Szukanie „po żniwach” tyleż dawało nadziei, co przetrząsanie stogu siana. Zresztą nikt nie szukał.

Prawdziwe straty publikowano w gazetach. Naliczyliśmy ponad dwustu zabitych i blisko tysiąc rannych. Po stronie Piłsudskiego wykrwawił się najbardziej pułk szwoleżerów (warszawscy szwoleżerowie nosili okrągłe „angielskie” czapki z czerwonym otokiem). Drugie miejsce na liście strat zajmował 10 pp, który przyjechał z Łowicza, aby bronić prezydenta i legalnej władzy. Maj Piłsudskiego, mówili dorośli zaokrąglając rachunek, kosztował Polskę półtora tysiąca ofiar.

Ojciec musiał już wracać do konsulatu w Berlinie. Choć strzelanina ucichła i spokój panował w Warszawie od kilku dni, pociągi na Poznań jeszcze nie chodziły. Dopiero naprawiano popsute zwrotnice, łątano zerwane tory, stawiano na koła przewrócone lokomotywy. Kolej ucierpiała porządnie. Wobec tego ojciec zdecydował się na podróż statkiem. Między Toruniem i Poznaniem pociągi kursowały normalnie. Odprowadziłem ojca na przystań i wróciłem do moich spraw na Kolonii.

Sprawy dorosłych to wiatr wiejący wysoko, poruszający wierzchołki drzew. Sprawy chłopców rozgrywają się znacznie niżej. Pod topolami wokół lotniska zbieraliśmy gilzy, odłamki artyleryjskich pocisków, „łyżki” od granatów, „łódki” do naboju i karabinowe kule. Były o to ciągle awantury w domu: czy nie przynoszę „ekrazytówek”?

Dorośli mieli swoje sensacje. Opowiadali, że generała Zagórskiego, obrońcę lotniska, piłsudzycy zamordowali w Belwederze. Wymieniano nazwiska Becka, Wieniawy i jeszcze jakiegoś pułkownika. Po pewnym czasie ukazała się w gazecie tajemnicza wiadomość: rybacy wyłowili z Wisły kadłub mężczyzny bez głowy, rąk i nóg... W wiele lat później pewna pani czyniła Wieniawie gorzkie wyrzuty z powodu Zagórskiego. Wieniawa miał wtedy zawołać: „Ja go nie mordowałem! Więcej nie powiem”.

Mówili z oburzeniem, że za Piłsudskim, gdy z Belwederu wychodzi na spacer, idzie krok w krok „tajniak” z odbezpieczonym brauningiem w kieszeni. A przecież prezydent jeździł jak człowiek otwartym powozem w białe konie i „nie latały za nim żadne szpicle”. Prezydent, straciwszy posadę (słowa pani Helki), zamieszkał za Filtrową w willi przy uliczce Prezydenckiej. Wejście było od Langiewicza 15. Spotkawszy pana Wojciechowskiego, należało ukłonić się grzecznie i powiedzieć „Dzień dobry, Panie Prezydencie”. Dawnego prezydenta znali wszyscy chłopcy, bo w tym czasie prawie wszyscy zbierali pocztowe marki. Po zamachu „niestemplowany Wojciechowski” bardzo poszedł w cenę. Był to znaczek wartości „1 złoty” z profilem prezydenta na czerwonym tle.

Dorośli mieli swoje sensacje, my swoje. Ledwo wróciłem z przystani, przybiegł Tadzik Tarkowski.

- Wiesz, Bułka znalazł artyleryjską gilzę! Leżała pod płótem filtrów. Bułka wyczyścił gilzę piaskiem. Świeci się jak złota. Mówię ci, jaka wielka, jaka fajna! W środku śmierdzi prawdziwym prochem.

Bułka był od nas starszy i bardzo lubił kłamać. Tadzik we wszystko wierzył.

- Widziałeś gilzę?

- Pewnie że tak, Bułka pokazywał gilzę przez okno.

Poszliśmy razem pod mieszkanie Bułki.

- Bułka, pokaż gilzę, ja jeszcze nie widziałem...

- Zaraz.

Czekamy w ogródku. Tadzik szepcze:

- Zobaczysz sam, prawdziwa gilza.

Nagle słyszymy głos Bułki w mieszkaniu:

- Tatusiu, czy mogę wziąć pamiątkową gilzę z biurka? Chłopcy chcą popatrzeć.

- Słyszałeś? - pytam Tadzika.

- Ale mnie nabrał...

Za chwilę Bułka zjawiał się w oknie.

- Patrzcie, tylko prędko.

- Jaka śliczna!

- Gdzie znalazłeś?

- Mówiłem już. Musiałem przeleźć przez płot.

- Pokaż z drugiej strony.

- Nie chcę.

- Pokaż, Bułka, tam coś napisane...

- Nie wasza rzecz!

- Postaw pamiątkową gilzę na biurku, bo dostaniesz lanie! - krzyknęliśmy razem. Bułka zatrzaskała okno.

Prawdziwej artyleryjskiej gilzy nikt nie znalazł. Łuski po wystrzelonych w maju pociskach artylerzyści pozbiierali do jaszczków i zawieźli z powrotem do koszar.

Od Bułki poszliśmy na lotnisko zbierać gilzy i karabinowe kule. Karabinowy pocisk okręcało się drutem i kładło się w żar pod płytą. Po wytopieniu ołowiu kule służyły jako groty do strzał. Z ołowiu zaś klepało się młotkiem „nasze” pieniądze. Niestety, właścicielka budki z kwasem naszej waluty nie honorowała. Śmiała się, że jak będzie musiała „wydawać” z grosza reszty”, to wtedy dopiero zawoła o ołowiane pieniądze.

Groty z kul były bardzo fajne. Strzała z takim grotem przeszywała na wylot starą słomiankę i głęboko wbijała się w płot. Strzała z kulą mogła nawet przebić blaszaną miednicę! Mogła, ale nie przebijała. Za przedziurawienie miednicy groziło okropne lanie.

Powrót na Ukrainę

Jadą, jadą dzieci drogą,
Siostrzyczka i brat,
I nadzieić się nie mogą,
jaki piękny świat.
.
A w konopiach strach!

Stało się... Wyszliśmy z domu, ale jeszcze nie wszystko było stracone. Do ostatniej chwili wierzyłem w życzliwą interwencję Siły Wyższej. Wstrzymywałem oddech i powtarzałem z rozpaczliwym uporem: bardzo proszę, niech zaraz pęknie ziemia, jeżeli ziemia nie może zaraz pęknąć, bardzo proszę, żeby ulicę Polną przenieść za miasto, najlepiej gdzieś pod Wołomin. „Pod Wołomin, pod Wołomin...” - powtarzałem zaciskając zęby i mrużąc oczy. „Siła Wyższa” jakby ogłuchła tego dnia. Mimo napinania się i wstrzymywania oddechu nie działało się nic. Nie pękła ziemia i nie wydłużała się ulica Nowowiejska. Reklamowana przez dorosłych silna wola okazała się zwykłą bujdą na resorach. Zawiodły również żarliwe modły.

Gra na zwłokę mijała się z celem. W domu ścierały się dwa światopoglądy. Ojciec uważał, że nie należy tracić czasu na czekanie. Matka wołała czekać niż tracić nerwy z obawy przed spóźnieniem. Ponieważ szedłem z mamą, czasu mieliśmy tyle, że starczyłoby na trzy spacerunki tam i z powrotem.

Na placu Politechniki, kiedy już było widać szary, ogromny gmach, zagroziłem „Sile Wyższej” nagłą utratą wiary. Ale i to pozostało bez echa. Policzyłem do dziesięciu - nic. Policzyłem jeszcze raz i znowu nic. Wtedy poczułem mróz na plecach. „Siła Wyższa” w ogóle nie chciała ze mną gadać! Szedłem obok matki przerażony zbliżającą się nieuchronnie kompromitacją. Przed wejściem na Wyścigi kobiety modliły się pod figurą.

- Ja tylko żartowałem! - krzyknąłem w stronę kapliczki. - Żartowałem, słowo honoru!

Kobiety ani drgnęły, ale mama, zaniepokojona okrzykiem, mocniej ścisnęła mnie za rękę.

- Zachowuj się tam przyzwoicie.

Za chwilę weszliśmy do środka. Przekroczyłem próg prawą nogą i to mi trochę poprawiło humor. W mrocznym hallu zastałem kilkunastu rówieśników, których - żeby się nie spóźnić - przyprowadzono jeszcze wcześniej. Wszyscy mieli głupie miny i tępą rozpacz w oczach. Nikt się z nikogo nie śmiał, nikt nie pchał się na środek. Chyba wszyscy marzyli o dobrym człowieku, który nie proszony wskaże drogę do ubikacji.

Cholerny kuzyn opowiadał potem, że prowadzono mnie na Polną za ucho i że musiał mi szorować kolana szczotką ryżową. Wiadomo, że kolana brudzą się z niczego. Nawet bardzo czysti chłopcy mają z kolanami prawdziwe urwanie głowy. Mama poszła załatwiać do kancelarii, a ja, pośliniwszy białą chusteczkę, zabrałem się do odświeżenia kolan. Natychmiast wszyscy wyciągnęli białe chusteczki.

- Czy uszy też sprawdzają?

Chłopiec nie doczekał się odpowiedzi, wsadził więc ręce w kieszeń i wykręcił się do nas tyłem. Słyszałem, jak skarżył się ścianie, że trafił między lizusów, którzy, choć wiedzą, nic powiedzieć nie chcą. Któż mógł wiedzieć, co będą sprawdzać i czego wymagać? Czułem się coraz gorzej. W głowie panowała idealna pustka.

- Pluń mi na lewe kolano. Zupętnie mi zaschło w gardle - odezwał się ktoś obok proszącym szeptem.

- Dobra, dawaj kolano... - powiedziałem po koleżeńsku i w tej chwili zrobiło mi się gorąco ze złości. Między chłopców zaplątała się baba!

Białe skarpetki do kolan, marynarskie ubranie, obrzydliwe, puszyste włosy! Wykapana baba, tylko kokardy brakowało do kompletu. I mina taka babska. Baba, baba!

- Babie nie będę pluł. Ani mi się śni.

Chciałem, żeby babę pognębić do reszty, spytać głośno, od kiedy baby zdają razem z chłopcami, ale nie zdążyłem. Baba pochyliła pudlowaty łeb i strzeliła takiego „byka”, że mi zwiędły nogi.

- Chcesz jeszcze?

Pomyliłem się fatalnie, bo to nie była żadna baba, lecz kolega Jajczarz. Po wyjaśnieniu nieporozumienia otworzyły się drzwi do sali gimnastycznej. Na widok tablicy i stolików, ustawionych daleko jeden od drugiego, przebaczyłem Jajczarzowi piekielnego „byka” i ze zwieszoną głową poszedłem na egzamin.

Kuzyn twierdził, że zdałem tylko dlatego, że nie było w tym czasie osobnych klas dla głupków. Śmiałem mu się w nos. Wtedy wymyślił inną historyjkę. Opowiadał, że na listę przyjętych wpisano mnie przez omyłkę, że wszystko się wyda, więc lepiej, żebym w ogóle do szkoły nie chodził, bo mnie pedel za kołnierz wyprosi z klasy. Niby żarty, ale głupim żartem też można zepsuć humor. Na myśl o jeszcze jednym egzaminie czułem rycynę na języku. „Ciociu, on będzie rzygał...” - syczał uszczęśliwiony kuzynek i na palcach wynosił się z pokoju. A ja musiałem pokazywać język i dawać uroczyste słowo, że mimo wielkiego wysiłku umysłowego nic mi się nie przekręciło w głowie.

Tego samego dnia, w kilka godzin po egzaminie, paradowałem już w granatowym „baniaku”, czyli „rondlu”. Gimnazjalna czapka wynagradzała egzaminowe strachy i emocje. Srebrny orzełek z literami G.P. błyszczał wspaniale. Spacerowałem po całej Kolonii. Dotknięcie lepkiego, ceratowego daszka sprawiało przyjemność, o jakiej jeszcze wczoraj nie miałem zielonego pojęcia. Zabiegałem drogę znajomym i obcym. Kłaniałem się bez przerwy. Naczapkowałem się za całe życie. W ogólnym rachunku wyszło to na dobre.

Nowy „rondlek” od razu wpadł w oko szczeniakom z kompletów i z powszechniaka. Trzymałem się jednak dobrze i na okrzyki: „Głupi, może cię kto kupi” nie zwracałem uwagi. Tylko raz dałem się nabrać. Czekałem przed naszą furtką, żeby ukłonić się panu Stasiuńciowi. Raptem, nie wiadomo skąd, napatoczył się mały Kuna.

- Czy to porządny „baniak”, czy taki tani?

Szczeniakowi język się poplątał z zazdrości.

- Bardzo porządny. Porządniejszych nie ma w Warszawie.

Mały Kuna przestępował z nogi na nogę. Wreszcie wystękał:

- Zdejmij na chwilę. Chciałbym zobaczyć, jak wygląda w środku.

- Oglądaj prędko. Zaraz będę się kłaniał panu Stasiuńcowi.

- Pokaż. No już...

Zdjąłem czapkę, musnąłem rękawem daszek, podsunąłem małemu Kunie pod nos. Niech patrzy, niech zobaczy podszewkę, znak firmy i skórzaną wkładkę. Szczęście ogłupilo mnie do reszty. Zamiast dać małemu Kunie w ucho, myślałem o niebieskich migdałach. Kuna pochylił się i wypluł do czapki całą zawartość swojej wrednej gęby: garść łupin słonecznikowych, obierzyny, jakieś zielone świństwo, drobno pogryzione.

- Dziurawa głowa! Wszystko wyleciało! - wrzasnął z bezpiecznej odległości.

Małego Kunę powinni byli utopić, jak był jeszcze ślepy. Akurat otworzyły się drzwi i pan Stasiuńcio okrzykiem: „Moje gratulacje!” - osadził mnie na miejscu. Z obrzydzeniem znosiłem upokarzające głaskanie po głowie. Słuchałem opowiadania o kijowskich egzaminach ze wzrokiem wbitym w zapaskudzoną czapkę. Wreszcie stało się to, czego się bałem od samego początku. Pan Stasiuńcio zajrzał do czapki i zrobił ogromnie zdziwioną minę.

- To taki fason. Na szczęście - wystękałem czerwony ze wstydu.

Piękny dzień zmienił się w coś ohydneho. Mały Kuna stał o parę kroków. Wszystko słyszał. Ze szczęścia aż skowyczał. Mogłem mu tylko nadmuchać!. Mały bydlak wiedział o tym doskonale. Mieszkał w tym samym domu co pan Stasiuńcio, więc odwrot miał zapewniony.

Pan Stasiuńcio poszperał w kieszeniach, znalazł stary bilet tramwajowy i z wielką powagą położył na kupie, którą mały Kuna nawalił w „rondelku”.

Bebechy przewracały mi się na trzecią stronę, ale podziękowałem grzecznie, choć miałem ochotę powiedzieć coś takiego, żeby panu Stasiuńcowi melonik podskoczył pięć razy na głowie. Nic tak nie żenuje chłopców, jak wygłupy dorosłych.

Mały Kuna przyczepił się do pana Stasiuńcia i na krok nie odchodził od sztuczkowych spodni.

- Doskonała czapka! - krzyknął pan Stasiuńcio.

- Tak jest, proszę pana.

Nareszcie poszli sobie. Pewnie że doskonała czapka. Po świństwie małego Kuny prawie nie zostało śladu.

Porządną czapkę można było kupić u Mieszkowskiego na Marszałkowskiej 109 lub na Nowym Świecie pod 53 albo u Cieszkowskiego, który też miał dwa sklepy, jeden na Marszałkowskiej 81, drugi na Nowym Świecie po stronie parzystej obok kina „Casino”. Na upartego gimnazjalny „rondel” można było kupić wszędzie, bo roilo się wtedy od różnych „Czapkopolów” i „Uczniopolów”. Ale *nasza* szkoła kupowała czapki w drugim krańcu miasta w firmie „Antoni Tuczyn” na Podwalu pod numerem 2. Pracownia „Tuczyna” (właściciel nazywał się Karol Fichtner) bodaj pierwsza zaczęła produkować

„rondelki” półmiękkie, usztywnione tekturą tylko do połowy wysokości. Nowe czapki cieszyły się wielkim powodzeniem w starszych klasach i przetrwały aż do reformy szkolnej, która wprowadziła czapki skrojone na wzór maciejówki. Wtedy też pojawiły się pierwsze tarcze z numerem szkoły. Reforma zastała mnie w klasie siódmej. Nowe roczniki tłoczyły się w niższych klasach. Ci nowi byli ciemni jak tabaka. Mówiono o nich, że budę nazywają „sztubą”, a profesorów „belframi”. Trudno było wymyślić coś bardziej ohydneho. „Tak zapaskudzą budę, że dziesięć pokoleń tego nie zeszkrobie”. Z prawdziwą troską wsłuchiwałem się w piekielny ryk dolatujący z dolnego korytarza podczas każdej pauzy. Słynny czterowiersz:

Małpa od Górskiego
Nosi czapkę wojska francuskiego,
A tą małpą się zachwyca
Ruda małpa od Staszica!¹

poszedł w zapomnienie. Nowi w ogóle nie rozumieli, o co chodzi. O przeszłości wiedzieli tylko tyle, że była. Myśleli, że gmach na Polnej wybudowano specjalnie dla nich. Zanosila się, że nowi „ciamkając i siorbiąc, zeżrą Ducha Starej Budy”. Dla ratowania tradycji przedłużyłem mój pobyt w szkole o cały rok. Niestety, ówczesne warunki nie wszystkim pozwalały na swobodne gospodarowanie czasem.

Czterowiersz miał tyle lat, co buda. Zanim powstało gimnazjum państwowe, istniała Szkoła Realna, której uczniowie nosili granatowe „kepi” z niebieskimi wypustkami. Czapki kroju francuskiego obowiązywały również uczniów szkoły Górskiego. Tradycja Szkoły Realnej trwała długie lata. Absolwenci gimnazjum typu humanistycznego pchali się na politechnikę i doskonale zdawali egzaminy konkursowe.

Nakładając nowiutki „baniak” wiedziałem doskonale, że buda nie wypadła sroce spod ogona. Do francuskiego „kepi” jednak nie tęskniłem. Nie po to przyjechałem z Kijowa, żeby w Warszawie wzdychać do cara i do jego czasów.

Kiedy pierwszy raz poszedłem do budy, klasa dawno już zapomniała o egzaminie. Zanim rozpakowałem tornister, powiedział mi jeden chłopiec, że „rondel” trzeba koniecznie przefasonować, bo wyglądam jak kominiarz na miejskiej plaży, a właściwie nie jak kominiarz, tylko jak głupek, którego przywieźli w worku i wypuścili między fajną ferajnę. Bo klasa jest fajna i ja też mogę być fajny, jeśli złapię dryg i wymienię potwarz na twarz. Dowiedziałem się, że wszystko „fiume”, że nasza klasa jest najbardziej klawa, że jak klasa tupie, to w sąsiedniej kamienicy talerze skaczą jak pchły. Chłopiec miał „gadane”. Niestety, wejście profesora przerwało mowę w najciekawszym miejscu.

¹ Po ukazaniu się książki otrzymałem list od Kol. Jerzego Z. (matura 1927) z Łodzi. W liście m.in.: „(...) Wiersz o czapkach miał układ następujący:
Czapką kroju francuskiego

*Nosi małpa od Górskiego,
Taką czapkę się zachwyca
Druga małpa od Staszica.*

Nosiłem tę kiepkę przez cztery lata i wiersz o niej wbił mi się w głowę jak abecadło (...) Oczywiście - przekazali go koledze w zmienionej formie. Mogę podać dziesiątki poważnych świadków”.

Po sprawdzeniu obecności pan Gruchała podszedł do tablicy i pochylonymi literami napisał wyraz *Ukraina*.

- To bardzo trudne, panie profesorze! - zawołał blondynek siedzący przy kaloryferze.

Kilku chłopców parsknęło śmiechem, ale ci, co jeszcze nie skończyli odwalać matematyki, zaczęli gniewnie psykać i uciszać beztroskie chichoty.

Siedziałem o dwa kroki od zielonkawej tablicy z białą *Ukrainą*. Miało być mi tam dobrze, w tej ławce koło drzwi.

- Tu siadaj. Będzie ci tu dobrze - powiedział wychowawca wskazując miejsce.

Nie mogłem trafić gorzej. Z katedry widać pyłek na moim pulpicie. Wpadam w oko każdemu, kto przechodzi korytarzem. Marzę o miejscu w głębi klasy. Koledzy robią porozumiewawcze miny. Dają do zrozumienia, że wszystko frajer i wielkie nabijanie w butelkę. Odpowiadam wymuszonym uśmiechem. Czuję się osamotniony. Sąsiad ma odrę i nie wiadomo, kiedy puszcza go z domu do szkoły.

Gruchała położył kredę, wytarł palce w ścierkę, przyjrzał się literom na tablicy i obrócił się do nas.

- Wcale nie takie trudne, jak się Szymonowiczowi zdaje. Uwaga, zaczynamy. Raz... Dwa...

Piszę starannie, pilnuję, żeby litery nie spadały z linii. Cała klasa powtarza głośno:

- Raz... Dwa... Trzy... Cztery... Pięć...

Nic z tego nie rozumiem, ale otwieram usta i staram się w porę powiedzieć „sześć”. Ukrainę mam w kajecie, atrament już na niej schnie, a dookoła mnie męczą się i liczą, jakby w ogóle nie umieli pisać. Kiedy wreszcie przestali skrzypieć, pan Gruchała podyktował następane słowo:

- *Amazonka*.

I znów to samo!

- Raz... Dwa... Trzy... Cztery...

Po *Amazonce* pisaliśmy wiersz:

Leci, leci tuman biały aż na chaty próg,
Na tej chaty próg lipowy, co ochrania nasze głowy...

W wierszu też byłem pierwszy. Uspokojony sukcesem, odłożyłem obsadkę i rozejrzałem się po klasie. Kto drugi? Wyprzedziłem nawet Wacka Fiszera, prymusa, od którego pół klasy odwalała matematykę!

Gruchała wszedł między ławki i oglądał zeszyty. Fiszera pochwalił za wzorowe pismo. Spłoszeni matematycy wszczęli zamieszanie.

- Tam jest nowy!

- Panie profesorze, on tak ładnie pisze!

- Nowy, wstań!

- No, ty, nie bądź taki Kuropatkin! Wstawaj!

- Niedoczekanie twoje... - mruknąłem zaciskając zęby. - Ja ci Kuropatkina nie daruję, carska twoja mać...

Napędzili jednak pana Gruchałę w moją stronę. Musiałem wstać. Nauczyciel patrzył na mnie trochę dziwnie. Gdyby nagle odezwał się: „Chłopcze, podaj łapę”, nie zdziwiłbym się ani trochę. Tak, pan Gruchała widział we mnie poczciwego kundla.

Pochyliwszy głowę, stałem nad otwartym kajetem. Przerażliwie piekły uszy. Krew rozsadzała szyję i policzki. Jak przez mgłę widziałem moją „Ukrainę”, „Amazonkę” i „biały tuman”. Były zupełnie inne. Głośne liczenie wywierało tajemniczy wpływ na litery. *Ukraina* Wacka Fiszera składała się z eleganckich pałeczek i zgrabniutkich brzusków. Moja *Amazonka*, w którą włożyłem tyle wysiłku i serca, wyglądała przy niej jak szyld wyciągnięty spod tramwaju. Gruchała wykrzywił się i sapał. Gdyby żaba wylazła z mojego kałamarza, byłby mniej zdegustowany. Wlepił oczy w obsadkę i wzdychał. Tylko złość ratowała mnie od płaczu.

- Czym ty, moje dziecko, piszesz?

- Rondówką...

- On pisze rondówką!

- O Boże, za rondówkę wyrzucają ze szkoły!

- Nowy, pakuj książki!

- Kuropatkin, zwijaj trąbę! - pisał jakiś bydlak za moimi plecami.

Pan Gruchała, obejrzawszy stalówkę, znów westchnął kilka razy.

- Rzeczywiście, złota rondówką, a my posługujemy się zwykłą stalówką „86”.

Kompromitację zawdzięczałem ojcu. Pisał tylko rondem. Angielskie złote rondówki cenił najwyżej. Innych piór w ogóle nie było w domu. Pismo ojca przypominało las pochylony podmuchem zachodniego wiatru. Tylko matka orientowała się jako tako w gęstwinie krótkich i długich patyczków. Pewnego dnia zjawił się u nas przyjaciel ojca i powiedział: „Mój drogi, otrzymałem twój list. Domyślając się, że to sprawa ważna i pilna, od razu wsiadłem w pociąg. Idę prosto z dworca. Przeczytaj, o co tutaj idzie”. Ojciec chrząknął, obejrzał list przez lupę, znów chrząknął, wreszcie poprosił mamę, żeby przeczytała wszystko od początku do końca. Od tego dnia całą korespondencję ojciec wystukiwał na małym „Remingtonie”. Złotym rondówkom pozostaliśmy jednak wierni. Wieczne pióro wyparło wkrótce obsadkę z biurka. Była to gruba kolubryna, zakończona stalówką w kształcie „uczciwej rondówki”. Rondówkami posługiwał się również kuzynek. Za pomocą złotej stalówki usuwał co gorsze zęby. Miał nawet buteleczkę z „narkotykiem” i sam sobie zatruwał nerw. Podobno nawijał nerw na rondówkę i wrywał bez mrugnięcia okiem. Nikt z rodziny tego nie widział i nikt oglądać nie chciał, bo od samego opowiadania robiło się wszystkim słabo. Dopiero po wojnie, kiedy na całym

świecie wyczerpały się zapasy oryginalnych rondówek, kuzyn poszedł pierwszy raz w życiu do dentysty. Doktor w ogóle nie podał mu ręki!

Obiecałem Gruchale, że zmienię stalówkę. Mimo tradycji rodzinnej musiałem się liczyć z jego zdaniem. „Pan od kaligrafii” uczył także przyrody.

Głupia rondówką ośmieszyła mnie na całe życie. Byłem tego pewien aż do dzwonka. Gruchała wzdychał jak nad skończonym tępakiem. A ja wcale nie byłem tępakiem, byłem po prostu bardzo nieśmiały. Pan Gruchała udawał, że tego nie dostrzega. Nawet nie robił mi wymówek. Zamiast tłumaczyć, jaki wpływ wywiera głośnie liczenie na charakter pisma, poklepał mnie po ramieniu z bezgranicznym smutkiem. Na szczęście odezwał się dzwonek. Profesor wziął dziennik i wyszedł z klasy. Wybiegliśmy tuż za nim.

Razem z całą gromadą pchałem się do drzwi w końcu korytarza. Spieszyło się wszystkim klasom, ale draby z czwartej łątwo utorowali sobie drogę. Na „dolnym” piętrze byli najstarsi i najsilniejsi. Wspaniale umieli kłuć szpilkami. Nic więc dziwnego, że pierwsi wpadli do środka. Podparli drzwi nogą, naśmiewali się i kpili. - Nie po to ojciec płaci, żebyś smrodził nam pod nosem! Przez szparę pokazywali język. Kto się podsunął zbyt blisko, dostawał taką „blachę” w czoło, że odskakiwała głowa. O dobrej „blasze” mówiło się „szwedzka”. Robili też „syfona”. Silne ręce wysuwały się niespodziewanie, jedna chwytała za kark lub za włosy, druga dawała wycisk. Po dobrym „syfonie” nos bolał trzy dni, a kartoflowaty kształt ustępował dopiero po tygodniu.

- Otwierać wychodek! - wrzeszczeliśmy przebijając nogami.

Na krzyki przybiegł woźny, pan Napoleon. Jednym pchnięciem otworzył drzwi.

- No, kawaleria, codziennie to samo?

Wkroczyliśmy jak zwycięzcy. W umywalni snuł się niebieskawy dymek. Dalej śmierdziało papierosami jeszcze bardziej. Draby i tam nie dawały nam spokoju. Popychali na ścianę w najbardziej nieodpowiednim momencie. Napoleona zagadywali poufale.

- Panie Poniatowski, patrz pan, co się dzieje. Klozet sobie robią. Niedługo w całej budzie nie będzie spokojnego kąta. Przez tych smrodków może wybuchnąć u nas epidemia.

Zanim Napoleon zaprowadził jaki taki ład, do ubikacji wbiegł nauczyciel w okularach. Woźny wycofał się dyskretnie. Zaczęła się heca na dwadzieścia cztery fajerki.

- Czuję tu dym! Kto palił?

- Nikt, panie profesorze. Nikogo obcego tu nie było.

Papierosiarze myli ręce i znacząco poprawiali spodnie. Bujali okularnika z kamiennym spokojem. Za sam wyraz twarzy należała się im główna rola w filmie.

- Dorosły człowiek odpowiada tylko za siebie! Wszak uważacie się za dorosłych!

- To ze dworu, panie profesorze - powiedział jakiś drab odznaczający się wspaniałym pryszczem na czole.

- A, to ty! Znamy się, mój panie. Nazywasz się? Twoje nazwisko?

- Ależ panie profesorze, proszę tylko spojrzeć. Pan profesor będzie uprzejmy zbliżyć się do okna.

Okularnik był ciekawy jak prosię. Pobiegł do okna.

- Znowu ktoś zapalił klisze - tłumaczył uczeń. - Dlatego tak tu paskudnie śmierdzi.

Nauczyciel wychylił się z okna, a na podwórzu podniósł się taki wrzask, jakby wszystkim chłopcom ktoś zrobił straszliwego „syfona”. Skandowano niezrozumiałe dla mnie słowo. W tej chwili chłopak z mojej klasy dał mi kuksa w bok.

- Gazu! Chodu! Będzie draka!

Całym pędem pobiegliśmy na dół. Kilkudziesięciu uczniów stało półkolem nad dymiącym zwitkiem. Dobrze skręcony film mógł zasmrodzić trzy podwórka.

- O, tu leży! Oj, co to-to?

- Dym się ścieli po zagonie, pędzą, pędzą siwe konie!

Chłopcy wrzeszczeli. Domyśliłem się, że na kogoś czekają.

Takim wrzaskiem można odwrócić uwagę od Sądu Ostatecznego.

- Na śmietnik - komenderował kolega. - Prędeż, bo nam zajmą najlepsze miejsca!

Śmietnik to nie kaligrafia. Wdrapałem się na śmierdzące dziegiem pudło i powiedziałem do kolegi:

- Zaraz ich okularnik nakryje. Już leci! O rany, jaki niezadowolony.

Nauczyciel przeciskał się właśnie przez tłum.

- Uwaga, pan profesor idzie! Z drogi, z drogi - wołali chłopcy, robiąc sztuczny tłok.

Wysoki chłopiec przydeptał kopcido i cisnął za mur na sąsiednią posesję. Okularnik uparcie pchał się pod otwarte okno ubikacji. Kiedy dopchał się wreszcie na środek półkola, ucichły raptownie hałasy i krzyki. Tylko za murem dozorca, pewnie pijany od samego rana, wymyślał komuś od łobuzów, gangreny i zarazy boskiej. Nie po to chodzi się do szkoły, żeby wsłuchiwać się w monotonne maciowanie zachłapanego ciecia. Dobry uczeń, jak dobry żołnierz, powinien słuchać swego profesora. Tak sobie myślałem stojąc na śmietniku. Okularnik wyjął notes, otworzył usta. Zrobiło się jeszcze ciszej. Na sąsiednim podwórku stróż dalej odprawiał swoje nabożeństwo.

- A, same znajome twarze, żadnych niespodzianek. Porozmawiamy pod koniec roku. Nie chowaj się, widzę cię doskonale! Nazwisko? Tak, ty! Nie odwracaj głowy. Ciebie się pytam, panie..? Nazywasz się?...

Okularnik wdał się w gadkę jak pijany z białymi końmi na karuzeli w Lunaparku. Ktoś gwizdnął na palcach, ledwie pomyślałem, że to umówiony znak, ogromna papierowa torba, napełniona wodą, wyfrunęła z okna ubikacji. Druga piguła leciała już z wyższego piętra! Trzask, trzask, jaki cudny dźwięk!

- Dwa pudła - powiedziałem z żalem.

- Opryskało go fest - kolega zatarł ręce. - Ma ciemne ubranie, dlatego tak mało znać.

- Poczekajmy trochę...

- Szkoda marzyć.

Okularnik zawył i pognął w kierunku schodów. W gmachu terkotały już dzwonki, wzywając do klas. Trzeba było złączyć ze śmietnika.

- Nie spodziewałem się, że w budzie tak fajnie. Morowa szkoła.

- Za krótkie pauzy. Ledwie człowiek wyjdzie na korytarz, zaraz dzwonią i leć, chłopie, z powrotem. Ciągłe tylko lekcje i lekcje. W starszych klasach mają czasami po sześć godzin dziennie! I tak w kółko przez okrągły rok, nie licząc wakacji i świąt. Gdyby nie stopnie, można byłoby żyć, ale te stopnie to straszna rzecz. Mój ojciec ma wstręt do dwójek.

- Jak ci na imię?

- Janek. W budzie mówią „Żop”, ale tylko silniejsi. Nie lubię francuszczyzny.

- Pewnie, kto by coś takiego lubił.

Szliśmy na górę, unikając włożenia pod nogi chłopcom ze starszych klas. Mogli kopniakiem podsadzić o parę stopni.

- Tradycja schodzi na psy - mówił dryblas z piątej, a może nawet z szóstej klasy. - Pętaki o szmacianych nerwach i koślawym oku rzucają piguły jak kwiatki na procesji. Lanie wodą zupełnie nas ośmiesza. Któregoś dnia Staszic wstanie z grobu na Bielanych i powie nam: „Już przeszli po tej ziemi pasterze i łowcy; nigdzie nie pozostają po żadnym z nich ślady”. Oby nie powiedział gorzej!

- Człek najęty przyjedzie po pięciu lekcjach.

- Dlaczego on mówi „człek najęty”? - spytałem szeptem Janka.

- Cicho, to ciekawe.

- Bardzo. Zawsze lubiłem słuchać rozmów starszych.

- Przyjedzie, przyjedzie... A jak znów nie przyjedzie?

- Mur, beton. Mówię, że załatwione, to załatwione.

Starsi poszli na drugie piętro, a my skręciliśmy w swój korytarz. Przed wejściem do klasy Janek zatrzymał się raptownie, szurnął nogą i uklonił się w stronę wychodka. Na wszelki wypadek zrobiłem to samo. Przed ubikacją stał pan ubrany w pumpy i włóczkowy sweter. Zamiast odpowiedzieć na ukłon zmarszczył brwi. Przyglądał się nam znad bardzo dziwnych okularów. Szklka miały tylko dolne połówki, podkreślały więc worki pod oczami i nadawały twarzy niesympatyczny wygląd.

- Kto to?

- Monter.

- Będzie reperował? Coś się zepsuło?

- To nowy dyrektor, idioto.

- Dyrektor w pumpach?!

- Ładniejszych spodni nie było w całej Częstochowie. On stamtąd przyjechał. Kiedy pierwszy raz obchodził klasy, zapytał w ósmej, dlaczego u nich tak ciemno. Czwarta i ósma mają okna od podwórza. W pochmurny dzień muszą palić światło. Na stronach świata znajdują się nawet w Grójcu, a ten pyta, dlaczego ciemno! Dyżurny wyjaśnił, że dzień chmurny, a światła nie ma. „Przepalony kontakt?” - zainteresował się nowy dyrektor. Klasa zbaraniała. Dyrektor podszedł do kontaktu i zaczął w nim dłubać. Oczywiście nic nie wydtubał. Burknął: „Trzeba zmienić korki” - i poszedł sobie. Co tam się wyrabiało po jego wyjściu! Od ręki nazwali go „Monterem”. Nic mu już nie pomoże, będzie tym Monterem do końca budy. Podobno ma uczyć fizyki w wyższych klasach, ale nikt mu nie wierzy. Mówią, że mało zdolny, że nie wykuje się fizyki tak prędko. Źle trafił. Starsze klasy uczą się z podręcznika dawnego dyrektora. Wiesz, taki fajny podręcznik na całą Polskę, nie tylko na jedną budę. Pamiętasz dyrka z egzaminu wstępnego?

- No, jasne.

- Nazwałbyś dyrka Monterem?

- Coś ty, głupi?

- Nikt by go tak nie nazwał.

Słuchałem Janka z frajdą i zachwytem. Imponował mi flegmą i znajomością budy. Rozmawialiśmy w drzwiach, zerkając co chwila na korytarz. Monter sterczał pod klozetem, jakby tylko za to brał pieniądze.

- Nie umie pisać podręczników, więc musi pilnować wychodka. Pewnie myśli, że w ubikacji zacznie się zaraz nowa draka. W naszej budzie ciągle coś się dzieje, ale nigdy w tym samym miejscu dwa razy z rzędu.

Nim zadzwoniono ponownie, na drugim piętrze piąta rozpętała piekło. Piąta, najmłodsza wśród starszych, mieszkała nad nami. Ferajna z piątej waliła obcasami w podłogę, trzaskała pulpitemi i darła się na całe gardło:

- Mig-non, Mig-non, Mig-non!

Szyby drżały, kotysały się lampy, falował sufit. Całe starsze piętro skandowało pełnym głosem.

- Mig-non, Mignon Apud, Mignon Apud!

Uczestniczyłem w wydarzeniach wspaniałych. Przeprawa z Gruchałą zupełnie wyleciała z głowy. Szkoła podobała mi się coraz bardziej. Buda huczała jak oszalały rój. Słysząc nas było chyba w Belwederze.

- Dzień Mignona - powiedział Janek. - Jak się zacznie, to już trwa. Przychodzi nagle, nie wiadomo skąd, jak amok. Miesiąc temu ziemianin z sąsiedniej kamienicy wyskoczył w gaciach na parapet i zgniłymi bakłażanami powybił szyby w pokoju nauczycielskim. Tak mu się nasze krzyki podobały, że całą szkołę zaprosił na melbę i szampana. Pierwszych gości przepędził dozorca mokrą miotłą. I dobrze się stało, bo ziemianinowi obluzowały się klepki. Zamiast melby przygotował naboje z grubym śrutem. Otworzył drzwi i z nabitą dubeltówką czekał na pierwszego gościa. Ty wiesz, taki wariat mógł pozabijać na śmierć! Młodszych uratował stróż. Starszych ocaliła służąca. Kuchennymi schodami zaprowadziła na górę i tam, podczas dużej pauzy, wyznała prawdę jak na spowiedzi.

- Nie wolno strzelać do chłopców. Zamknęliby dziada razem z jego dubeltówką! Chłopcy mieliby pogrzeb z orkiestrą i z wieńcami, prawda?

- Dawniej byłoby wszystko. A teraz?

Zrozumiałem, że w *nowych* warunkach pogrzeb się nie opłaca. To wcale nie obojętne, kto przemawia nad grobem.

Monter chmurniał i kręcił się niespokojnie. Obowiązek wzywał na górę. Bał się jednak zostawić ubikację bez opieki. Wreszcie odkleił się od podłogi i poszedł.

Z pokoju nauczycielskiego gnał już okularnik.

- Skandaliczne wybryki! Smarkaczowskie zachowanie się! Wiem, czyja to sprawka! Są to historie absolutnie żenujące! - krzyknął do Montera i pogalopował do piątej na górę.

Dyrektor poszedł za nim obciążając włóczkowy sweter. Z sufitu tynk już leciał kawałami.

- Oho, czwarta też bierze się do roboty. Fajno jest, fajno!

- A my? Dlaczego nie krzyczymy? Krzyknijmy na raz, dwa, trzy!

- Głupi? U nas ma lekcję Malaj. No, ty Malaja jeszcze nie znasz. Jak go poznasz, to sobie krzykniesz. Ty go nie znasz, a on ciebie zna. Taki jest Malaj, ja ci mówię.

Czwarta miała gardła jak grudziądscy ułani. Buda huczała, dudniła. Łoskot pulpity przewalał się grzmiotem przez całą dzielnicę. Na placu Politechniki zderzyły się dwie dorożki, bo spłoszone konie gnały na oślep przed siebie. Na Śniadeckich stanęły tramwaje, ktoś puścił plotkę, że Piłsudski znowu idzie na Warszawę i stąd te straszliwe huki.

- Mignon! Mignon! Mignon!

- Masz szczęście, dawno nie było takiego amoku - powiedział Janek.

- Ładnie ze strony budy, że mnie tak przyjęła.

Monter zawrócił z półpiętra. Nie śpiesząc się szedł uspokajać czwartą. Ktoś tam wrzasnął:

- Monter, zapal gaz! Monter, księżyc zgasł!

W czwartej zabalgotało i ucichło. Monter ostrym tonem przemawiał do rozumu. Pogrożki o obniżeniu stopni ze sprawowania słycać było doskonale.

- Okularnik to „Mignon”?

Janek popatrzył na mnie ze współczuciem.

- Cała Warszawa o tym wie.

- Nie było mnie w Polsce.

- Chyba że tak.

- Dlaczego „Mignon”?

Janek zrobił wielkie oczy.

- Dlaczego? Zawsze tak było.

Przestali skandować nad nami, czwarta siedziała cicho. Trzecia pohałasowała trochę w gimnastycznej szatni i świetna zabawa skończyła się, zgasła.

Drugi dzwonek zapędził nas do ławek. Jeszcze dzwonił, gdy Malaj przekraczał próg. Wstaliśmy gwałtownie. Malaj skinął głową i nie patrząc na klasę, kroczył w kierunku katedry. Położył wypchaną tekę i znów lekko skinął. Usiedliśmy cichutko.

Oszołomiony ciszą, gapilem się na obsadkę z nieszczęsną rondówką. Potem patrzyłem na kosz od śmieci stojący w kącie. Starałem się w sposób naturalny uniknąć spotkania ze wzrokiem Malaja. Za mną rozlegały się przyduszone westchnienia i posapywania. Myślałem z przerażeniem, co to będzie dalej. Jako „nowy” mogłem przez parę dni grać i zasłaniać się wygodnym „nie wiedziałem”. A później? Czułem, że któregoś dnia rozsypię się na kawałki. Wstanie dyżurny, zmiecie kawałki na śmietniczkę i wsypie do kosza z dykty. A Malaj zanotuje w swoim brulionie, że dnia takiego a takiego uczeń taki a taki rozleciał się na tyle a tyle kawałków o godzinie takiej a takiej.

Dokuczliwa cisza zapowiadała trudną przyszłość. Pogodziłem się z przewagą Malaja. Matematykę uznałem za teren całkowicie niedostępny. W obecności Malaja w ogóle nie mogłem myśleć. Stało się to przyczyną licznych nieporozumień, które trwały aż do końca szkoły. Wywołując mnie do tablicy, Malaj uzbierał się w podwójną cierpliwość. On walczył z pokusą przebicia mnie wielkim, drewnianym cyrkiem, a ja zwalczałem chęć ucieczki. Prosto spod zielonkawej tablicy pobiegłbym gdzieś w pole i żyłbym szczęśliwie bez straszliwych wzorów, symbolów i równań nafaszerowanych iksami. Niestety, tradycja rodzinna domagała się matury. Zostałem skazany bez zawieszenia.

„Na Malaju mucha nie siada” - mówiono w budzie. Malaj był łysy, krępy. Kiedy go poznałem, nosił garnitur barwy spłowiałego wrzosu. Podobny kolor widuje się w zimie, gdy mroźne niebo blednie przed nadejściem świtu.

Słońce przeglądało się w łysinie. Głowa, jak miedziany rondel, świeciła znad katedry. Malaj przypominał też litą skałę bez chwytów i stopni. O jego kamienny spokój musiały rozbić się wszystkie draki i hece. Cisza stawała się nie do wytrzymania. Czas dłużył się przeraźliwie. Przypomniałem sobie powiedzenie kuzyna: Malaj ma czaszkę w kształcie trumny. Zrobiło mi się jeszcze bardziej strasznie. Kuzyn nie rzucał słów na wiatr. Znał Malaja, bo w naszej budzie zdawał maturę jako ekstern. Podobno Malaj podał mu rękę. Ja przy tym nie byłem.

Pochyliwszy głowę, notował coś w brulionie w czarnej, błyszczącej okładce. Pisał maczkiem, trzymając pióro prawie prostopadle. Co pisał? Nikt brulionu Malaja nie oglądał z bliska! Minęła minuta, dwie. Malaj odłożył pióro, przesunął brulion na lewą stronę katedry. Podniósł głowę i spojrzął na klasę.

- Zieliński, siedzisz niewłaściwie. Twoje miejsce jest za uczniem Fyszerem.

Do końca szkoły Wacek Fiszera był *Fyszerem* na lekcjach matematyki. Bodzia Koziorowskiego nazywał Malaj *Kaziorowskim*. A to dlatego, że tak te nazwiska zapisał w brulionie na pierwszej lekcji w pierwszej klasie. Brulion nie przyjmował poprawek, tak jak niedziela nie przyjmowała pogrzebów.

Złapałem tornister i przeniosłem się za Fiszera, na miejsce, o którym marzyłem podczas lekcji kaligrafii. Stałem czerwony, czekając, co będzie dalej, bo Malaj miał mi coś jeszcze do powiedzenia.

- W przyszłym tygodniu mamy pracę piśmienną. Oto twój kajet do zadań klasowych. Opłatę uiścisz na lekcji następnej.

Po takim ciosie wynoszą zawodnika z ringu. Klasa jęknęła z podziwu. Malaj otworzył wypchaną tekę i wyjął zeszyt w zielonej okładce. Potykając się podszedłem do katedry. Ukłoniłem się bardzo niezgrabnie i wróciłem na miejsce spocony jak mysz. Malaj poczęstował mnie kwiatem lipowym w najlepszym gatunku. Umiał dawać na poty!

Dla Malaja nie byłem nowym. W zeszytcie do zadań klasowych znalazłem wszystkie poprzednie klasówki, wpisane ręką Malaja. Pod każdym zadaniem figurowała adnotacja: „Nieobecność usprawiedliwiona”. Zeszyty do „prac piśmiennych” kupował Malaj osobiście. Własnoręcznie je podpisywał i liniował rubryki na pierwszej stronie: „Data”, „Zadanie klasowe liczba...”, „Ocena”. Kładł też podpis na bibule. Natomiast wykonanie marginesów pozostawiał uczniom. Na lewej kartce określał pas szerokości piętnastu kratek. Był to teren „działań pomocniczych”. Osiełstwa z lewego marginesu uchodziły bezkarnie. Malaj nie ścigał ich z urzędu. Kiedyś doprowadzony do rozpaczy algebraiczną łamigłówką, napisałem wielkimi cyframi: $2 \times 2 = 5$. W tydzień później, oglądając poprawioną klasówkę, zauważyłem obok piątki malusieńką, czerwoną kropkę. Malajowi drgała ręka, lecz pohamował się w porę i nie podkreślił. Kropka nie rozwinęła się ani w wykrzyknik, ani w znak zapytania. Malaj pozostał wierny zasadzie: lewa strona dla ucznia.

Malaj gospodarował na prawym marginesie, liczącym siedem kratek. Tam czerwonym atramentem pisał zwięzłe uwagi, decydujące o stopniu. Trójkę w nawiasie należało rozumieć jako „błąd liczba trzy”. Czasami po zamknięciu nawiasu Malaj stawiał małą cyferkę. Oznaczała, że uczeń w zadaniu klasowym popełnił błąd powtarzający się parokrotnie. Zdarzały się też znaki zapytania i wykrzykniki. Zapowiadały dramatyczne sceny przy tablicy podczas najbliższej odpowiedzi ustnej. Wskazując na „pewne luki w rozumowaniu”, Malaj podawał w wątpliwość nagłe olśnienie, które doprowadziło ucznia do poprawnego wyniku. Za moich czasów, w niższych sferach matematycznych, dwójka z plusem uchodziła za stopień całkiem przyzwoity. Poparta dostateczną odpowiedzią ustną, dawała murowaną trójkę na okres. „Trzy mniej” z klasówki było marzeniem moim i wielu moich kolegów. Czwórki i piątki widywałem tylko w cudzych zeszytach. Myślę o tym bez żalu, choć z pewną goryczą. Poszedłem, jak mówią, na grzybobranie i wróciłem bez jednego borowika. Kiedyś, było to w Suwałkach, przedstawicielka miejscowego Koła Przyjaciół zwróciła mi uwagę na doniosłą rolę, jaką w naszym życiu odgrywa przypadek: „Gdybyś nie pomylił adresów, minęlibyśmy się tak, jak na oceanie mijają się okręty”. Po prostu nie trafiłem w szkole na odpowiednie zadanie. W lesie pełnym

grzybów przegapiłem wszystkie prawdziwki. Pech? Coś w tym rodzaju. Można całe życie grać na loterii i nie wygrać grosza.

Praca piśmienna nadciągała jak burza sygnalizowana przez stacje meteorologiczne. Malaj uprzedzał zawczasu, nie bawił się w naiwne zaskoczenia. Zapowiedź stanowiła groźne ostrzeżenie. Kogo zawiodły nerwy i pod pozorem choroby nie opuszczał domu, tłumaczył się później przy tablicy. Malaj lodowatym tonem wywoływał nazwisko, „Przyjdiesz do tablicy...” No, a potem następowały wymyślne tortury. Nie pomagały wzory na mankiecie koszuli ani informacje pisane chemicznym ołówkiem na tablicy i doskonale widoczne pod światło. Malaj, zorientowany w słabych punktach przeciwnika, nie dawał chwili wytchnienia. Nierówną walkę przerywał obezwładniającym słowem: „Wystarczy!” Tyle to było warte, co „odpowiedź niedostateczna”. Dwójka przynosiła krótkotrwałą ulgę. Do końca lekcji miało się święty spokój. Pokonanego Malaj nie zaczepiał. Później, kiedy minęło oszołomienie i kiedy Fiszer wyjaśnił, o co Malajowi chodziło przy tablicy, drapałem się w głowę i kombinowałem, jak się z matematycznej biedy wygrzebać na okres. Kombinacje dawały mizerne rezultaty. Trzeba było się uczyć. Z ciekawostek wymieniłem należy tak zwaną „dwutorówkę”, z którą zderzyłem się w momencie wiosennego zaćmienia umysłu. Dwójka z dwoma minusami należała jednak do rzadkości. Pałek Malaj nie stawiał nigdy. Nawet mnie.

Czekanie na klasówkę wywoływało w klasie nastrój poczekalni dentystycznej. Podniecenie, domysły, błagalne zaklęcia: „Żeby nie dziś, żeby po niedzieli, żeby coś się stało”... Nikłe wiadomości wróblim stadem wyfruwały z mózgowicy. Szedłem na klasówkę zastanawiając się na schodach: „Równie dobrze mógłbym pójść w Aleje albo do łaźni. Jestem jołopem i nic na to nie poradzę. O ściągaczce szkoda marzyć. Najzyczliwszy człowiek nie poda ściągę, bo wzrok Malaja paraliżuje wolę i ręce”.

Kiedy nadchodził upatrzony dzień, Malaj zjawiał się w klasie razem z pierwszym dzwonkiem. Odświeżony, świąteczny, bez swej wypchanej teki, stawał w progu i zacierając ręce, wypowiadał sakramentalne słowa:

- Idziemy na górę. Zabezpieczyć pióra.

Klasówkowa elegancja Malaja trąciła elegancją kata, który do egzekucji nakłada frak i białe rękawiczki. Zabezpieczywszy pióro, poddawałem się rytuałowi.

Malaj przewidywał wszystko, brał więc i to pod uwagę, że zdenerwowany uczeń może pośliznąć się na schodach. Wypadek mógłby przewrócić do góry nogami ustalony przez Malaję porządek. Aby uniknąć wypadku, należało pióro zabezpieczyć, czyli wyjąć stalówkę z obsadki. Pióra wieczne, drogie i mało rozpowszechnione w szkole, nie cieszyły się względami naszego matematyka. Malaj tolerował je, lecz dawał do zrozumienia, że w porządnej klasie uczniowie powinni pisać w jednakowych zeszytach i jednakowe stalówki zanurzać w jednakowych kałamarzach z jednakowym atramentem.

Parami, rząd za rzędem, według kolejności ławek w klasie, maszerowaliśmy za Malajem do sali rysunkowej na trzecim piętrze. Przychodziliśmy na gotowe. Jednomiejscowe stoliki rysunkowe czekały rozsunięte tak szeroko, że upadały ostatnie nadzieje. Odległość wykluczała komunikację wzrokową, a kredowe obwódki dookoła stolików uniemożliwiały wszelkie ruchy „na zbliżenie”. Rozpaczliwe spojrzenia utykały na zniecierpliwionych grymasach lepszych matematyków. Tymczasem Malaj rozdawał zeszyty. Punktualnie z drugim dzwonkiem zaczynał dyktować.

- Piszemy, zadanie klasowe liczba...

Potem następowały straszliwe łańcuchówki, zręcznie zamaskowane opowiadaniem o pociągach, rowerzystach lub o przeciekających basenach. Szereg śmiertelnych pchnięć perfumowaną szpadą. Równie bezradnie przyjmowałem piekielne rebusy, w których ikony przepychały się z tajemniczymi igrekami. Próbowalem ująć Malaja porządkiem i wyszukany układem graficznym. Walczyłem o honorowe warunki kapitulacji, o maleńki plus do wielkiej dwójki.

Pod okiem Malaja pisaliśmy od marginesu do marginesu przez całą szerokość otwartego zeszytu. Malaj siedział na katedrze, nogę zakładał na nogę, ręce spletał na kolanie i trwał w tej pozycji aż do dzwonka zapowiadającego koniec godziny.

- Kończymy - mówił wtedy.

W chwilę później wydawał komendę:

- Zamknąć kajety!

W wojsku, kiedy na ujeżdżalni usłyszałem pierwszy raz: „Do zsiadania, z koni!” przypomniał mi się od razu Malaj, stara nasza buda i klasówki w sali rysunkowej. Rozczulony wspomnieniem, uśmiechnąłem się jak człowiek. Instruktor zrozumiał mnie fałszywie: „Z takimi śmiechami możecie złączyć z narzeczonej, a nie z rządowego konia”. Na złość Malajowi uparłem się, żeby wojsko odsłużyć w artylerii. Podczas urlopu odwiedziłem budę. Malaj prowadził na górę jakąś obcą klasę. Przyznaję, że mój mundur wzbudził mierne zainteresowanie. „Artyleria?” - Malaj najpierw uniósł brwi, potem jakby ze smutkiem pokiwał głową.

Opuszczając salę rysunkową, zostawialiśmy zeszyty na stolikach. Malaj sam zbierał kajety, pakował do teki i zanosił do pokoju nauczycielskiego. Tam zamykał na klucz. W tym samym czasie pokonani starali się ustalić rozmiary porażki.

Pewnego roku, w szczupłym gronie najbardziej zainteresowanych, postanowiliśmy sposobem ratować padające na nas stopnie.

- Trzeba Malaja ruszyć z katedry. Wtedy ściągą rozejdą się po sali i zacznie się malinowe życie.

Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Śmiały plan napotkał poważne trudności, lecz po żmudnych zabiegach udało się wymienić szklankę z herbatą, przeznaczoną dla Malaja. Do herbaty wysypaliśmy końską porcję pewnego specyfiku. Od rana trzymałem zaciśnięte kciuki, żeby się Malaj nie rozmyślił, żeby nie przełożył klasówki na następny dzień...

Informacje Napoleona nastrajały optymistycznie:

- Pan profesor zjadł bułkę z szynką i wypił szklankę herbaty.

Po przerwie śniadaniowej miała być u nas klasówka.

- Dobrze jest - mówiliśmy idąc na górę - za dziesięć minut herbata go ruszy. Panowie, sukces.

- Byleby nie wcześniej. Jeżeli t o stanie się na schodach, Malaj odwoła klasówkę i fatyga na nic - martwili się pesymiści.

Zaprzyjaźniony farmaceuta gwarantował „natychmiastowy skutek” oraz „sensacje nie do opanowania”. Dwaj chłopcy przeprowadzili próbę w rodzinnym gronie. Relacje brzmiały zachęcająco. Pod wpływem umiarkowanej dawki specyfiku dwie osoby skompromitowały się przy wsiadaniu do tramwaju. Trzecia zatelefonowała z miasta, że o własnych siłach nie może wrócić do domu, ale jak wróci, to zrobi ze mną coś tak strasznego, że spalenie Joanny D'Arc zostanie uznane za niewinny dowcip towarzyski. Sądząc po wynikach, dostaliśmy w ręce towar w najwyższym gatunku. Zafundowaliśmy Malajowi porcję, nie licząc się z kosztami. W takich wypadkach nawet sknera wypuszcza węża z kieszeni na trawę.

Malaj podyktował zadanie i zajął stanowisko na katedrze. Minęło pięć minut, dziesięć. Minął bity kwadrans.

- Oszust, kłamca - usłyszałem rozpaczliwy szept. - Nie podam ręki łajdakowi.

Farmaceuta nie kłamał. W szesnastej minucie Malaj poruszył się nieznacznie. Minę miał taką, jakby usłyszał przez telefon bardzo ważną wiadomość.

- Teraz, teraz, już! - szeptałem przymknąwszy oczy. - Raz, dwa, buch!

W ogromnym napięciu upłynęło znów kilka minut. Malaj chrząknął bardzo ostrożnie. Raptownie zbladł, poczerwieniał i zacisnął dłonie, aż zbieleły palce. Przestraszyłem się, że nie zdąży do drzwi.

- Nie da rady. Zaraz spuści z tonu. O, znów go ruszyło trochę...

Wtajemniczeni przeżywali piekło. Czas uciekał. Malaj zmagał się ze specyfikiem jak Garkowienko z Zawszupinem - Czarną Maską. W pewnej chwili, spojrzawszy przed siebie, napotkałem wzrok Malaja. Rozwiały się ostatnie nadzieje, jak powiedziała znakomita bohaterka, wydając na świat bliźnięta. Zrozumiałem, że Malaja żadna siła nie ściągnie z katedry. Będzie tam tkwił aż do całkowitego pognębienia słabych. No, i tak się stało. Malaja ruszało, ruszało, ale nie poruszyło. Siedział, ani myślał złączyć. Wisiał nad nami i jak latarnia morska tytał okiem po wszystkich stolikach.

- Jeszcze chwilka, jeszcze chwilka... Za pół chwili nadejdzie ratunek. Znów jakby zachwiał się i kiwnął...

- Mimo utraty wiary, zaklinałem Malaja na różne sposoby.

Dzwonek przypieczętował klęskę.

- Kończymy, zamykać kajety!

Dopiero po naszym wyjściu Malaj zszedł z katedry. Na korytarzu zdałem sobie sprawę, że zostawiłem zeszyt z nie tkniętym zadaniem. Wielka szansa przeszła koło nosa. Zadania były łatwe, dałbym im radę bez ściągki i sąsiedzkiej pomocy.

Nie wiem, co działo się podczas pauzy. Malaj miał następną lekcję w klasie obok nas. Pod jakimś pozorem wyszedłem na korytarz i przez szybkę zajrzałem do sąsiadów. Widziałem na własne oczy, jak Malaj (używając ścierki zamiast cyrkla) zakreślał na tablicy idealne koło. Poruszał się i wykladał z zastanawiającą swobodą.

- To jest facet, to jest facet... - szepnąłem z podziwem i na palcach wróciłem do siebie, bo Malaj nie znosił podglądania.

Wkrótce po epizodzie herbacianym rozeszła się plotka o rychłej żeniączce Malaja. Fakt, że jak buda buda, nikt go nie widział w tak dobrym humorze. Szukano więc prymitywnego usprawiedliwienia dla uśmiechu i figlarnych błysków pojawiających się w kamiennych oczach Malaja. A może przedawkowany specyfik postawił chłopa na nogi? Przypadek? Właśnie! - Opowiadano mi o dziewczynie, która długi czas marnowała talent, ukryty w znakomicie umięśnionym brzuchu. Aż tu nagle piłka tenisowa wpadła do solarium, trafiła w brzuch i odbiła się jak od kortu Wimbledonu. W miesiąc później dziewczyna zrobiła furorę, podbijając brzuchem biało-czerwoną piłkę na wysokość drugiego piętra. Po kilkunastu występach razem z kolorową piłką popłynęła do Ameryki. Obecnie ma w Sydney fabrykę walizek.

Przypadek, zbieg okoliczności?... Zniechęceni generalną klapą, machnęliśmy ręką na sposoby wątpliwej wartości. Potem, kiedy kwartalne niepokoje zaczęły znowu straszyć po nocach, postanowiliśmy tak pokierować okolicznościami, żeby się zbiegły w momencie dla nas odpowiednim.

Należymy do świata ludzi zależnych. Nad nami Malaj, nad Malajem Monter, nad Monterem jeszcze wyższa władza. A więc? Wniosek prosty: nawet Malaj nie może wypiąć się na człowieka zajmującego szczebel znacznie wyższy. Znaleźliśmy takiego człowieka. Sprawdziliśmy, że istotnie coś znaczy.

I znów siedzimy w sali rysunkowej. I znów, jak kiedyś, Malaj typie z góry. Frajerzy pocą się i liczą. Mózgowcy dyskretnie zerkają na zegarek... Oto słychać już kroki. Cicho otwierają się drzwi. Woźny Józio na palcach podchodzi do Malaja i melduje półgłosem, że pan wizytator w bardzo ważnej sprawie prosi pana profesora do telefonu.

Malaj nie spuszcza wzroku z sali. Milczy. Woźny, odczekawszy chwilę, powtarza: :- Panie profesorze, pan wizytator... - - Dziękuję.

Malaj kiwa głową, woźny wychodzi z nie domkniętą gębą. Po prostu wierzyć się nie chce!

- Zwariował czy co? Chce posadę stracić?

Pod wpływem szeptów Malaj marszczy brwi. Wraca cisza i znów na paluszkach przemyka się Józio między stolikami. I - Panie profesorze... Pan wizytator... Pan dyrektor... Sprawa Inie cierpiąca zwłoki... PAN WIZYTATOR, PANIE PROFESORZE!

- Dziękuję.

Gdyby Malaj przyprowadził mu skrzydła, Józef nie zniknąłby prędzej. Monter w takiej sytuacji wybiegłby z sali i po poręczy zjechałby na parter.

W kancelarii słuchawka skacze na biurku jak Rotszyld w polonezie i o palpitacje przyprowadza dyrektora. Ściskając nos palcami, mój brat cioteczny krzyczy w mikrofon okręcony chustką:

- Co za porządki? Natychmiast prosić! Wprost niesłychane, ja to zapamiętam! Rozpędzę, powyrywam nogi!

Kuzyn rzucił słuchawkę. Rozterkotały się dzwonki. W sali rysunkowej Malaj powiedział: „Kończymy”. Gdyby za naiwność dawali medale, dzwoniłbym pod koniec szkoły jak feldmarszałek choinkowej armii. Uparłem się, żeby chwyt z telefonem powtórzyć w kilka lat później na maturze. Kuzyn trochę się stawiał. Zjednałem go awansem. Z wizytatora postąpił na wysokiego urzędnika Ministerstwa

WRiOP. Z równym powodzeniem mógł gadać do popsutej lampy lub wzywać króla Jana, żeby z Agrykoli pogalopował na Polną. Wydłużył się różaniec moich niepowodzeń szkolnych. Malaj odparł atak ministerialny i nie byłoby o czym teraz gadać, gdyby nie wpływ telefonów na plany życiowe kuzyna. „Moje uszanowanie panu radcy, moje uszanowanie panu dyrektorowi...” Woda sływa po gęsi, ale tytuł klei się do człowieka jak przedwojenny znaczek pocztowy do listu. Kuzyn zasmakował w urzędniczych tytułach. Po wojnie złakomił się na kolorową limuzynę. Sprzedał kolekcję robaków, rozdał pasożyty i poszedł na urzędnika. Od czasu do czasu przysyła mi samochodem parę cytryn albo kilka rolek pięknego papieru.

Na maturze pod patronatem ministerialnym osiągnąłem szczyty matematyczne. Rozwiązałem zadania i zadziwiłem Malaja. Poszło mi gładko, bo przyjąłem jako pewnik, że cosinus jest odwrotnością sinusa. Z punktu widzenia obowiązujących wówczas zasad pogląd mój był jakoby nie do przyjęcia. W każdym razie Malajem wstrząsnął. Napisał na marginesie: „Co takiego?!!!” i postawił ocenę podtrzymującą tradycję stopni zbieranych w sali rysunkowej. Opowiadano mi później, że w czarnym brulionie pod właściwą datą zjawiała się lakoniczna notatka „Abiturient Zieliński zwariował”.

Osiem lat zbierałem dwóje w zeszytach z zieloną okładką. Każda klasa miała swój kolor. Choć trudno w to uwierzyć, nie było żadnych kłopotów z kupieniem kilkudziesięciu jednakowych zeszytów. Skład materiałów piśmiennych „A. Zdzienicka i Ska” na rogu Lwowskiej i Śniadeckich zaopatrywał okoliczne szkoły i Politechnikę w najbardziej wyszukane papiery, przybory kreślarskie, atramenty, tusze, farby, mapy konturowe, pergaminy, kalkomanie, bibułki karbowane i „zwykłe”, w papiery „z glansem” i matowe. Mały sklep ze szczupłym zapleczem „po schodkach” ustępował tylko wspaniałościom firmy „Jan Siudecki” na Przeskok pod drugim.

Po nieudanej maturze mogłem nie chodzić do budy, ale znając: Malaja stawiałem się na lekcje zaraz po Bożym Narodzeniu. Malaj wręczył mi zeszyt w ciemnoniebieskiej okładce i spytał, gdzie chcę siedzieć. W stosunku do zasłużonych obowiązywały pewne formy towarzyskie. Wybrałem wolną ławkę daleko od tablicy i tam, w gronie starych kumpli, spędziłem ostatnie pół roku budy. Połączenie zielonego z niebieskim uznałem za najbardziej efektowne zestawienie kolorów. W tych barwach wyrwałem się na wolność! Jesienią, żeby od życia nie odwyknąć, pożegnałem Marysię i oddałem się w ręce pedagogów wojskowych. Marysia należy do innego rozdziału, choć zjawiała się w okresie ciemnoniebieskich kajetów. W jakiś szczególny sposób przeskakiwała dwa schodki łączące sklep z zapleczem. Mówiła z dobrym akcentem Górnego Mokotowa. Gdyby nie obecność pani Zdzienickiej, powiedziałbym coś głupiego zamiast poprosić o atrament. Dynamit ubity na twardo, tak sobie wtedy pomyślałem, bo dynamit uchodził za cholernie wybuchowy materiał. Dynamit też coś pomyślał i tak bez słowa spotkaliśmy się zaraz po zamknięciu sklepu.

Matematyk trząś budą przez długie lata. Dzięki Malajowi matematyka stała się najważniejszym przedmiotem w szkole typu humanistycznego. Weszło w zwyczaj, że maturę zdawało się i matematyki, choć każdy miał prawo wyboru: albo fizyka, albo matematyka. W praktyce można było wybierać to lub to samo. Malaj tak postawił sprawę, że na fizykę decydowało się dwóch, trzech. Reszta poddawała się żelaznej woli Malaja i niepisanim prawom budy. „Jestem za słaby z matematyki, żeby pozwolić sobie na zdawanie fizyki”. Tyle w tym było sensu, co w powiedzeniu: pójde piechotą, bo mnie bardzo bolą nogi. Zdawanie matematyki i pisanie słowa „Mignon” należało do tradycji. Potem i jedno, i drugie wyszło z mody. Mignon przeniósł się do gimnazjum żeńskiego.

Młode roczniki zbuntowały się przeciw istniejącemu stanowi rzeczy i wypowiedziały Malajowi wojnę. Nowy fizyk przyćmił gwiazdę Malaja.

To wszystko leżało hen, za siódmą wodą. Odległość dzieląca klasę pierwszą od ostatniej wydawała mi się drogą ponad moje siły. Nie przeczuwałem ani szkolnych przyjaźni, ani powojennego spotkania z Mignonem. Sprawdziło się tylko jedno: lata szkolne dłużyły się okropnie, a potem czas” zerwał się do galopu, jakby ktoś szkapę chlasnął batem. Mieli rację ci, którzy mówili: nie śpiesz się, bo nie ma do czego.

Trzeba więc wracać na miejsce „za uczniem Fyszerem” i słuchać uważnie, bo Malaj jeszcze ma coś do powiedzenia.

- Zapoznasz się z treścią poprzednich prac piśmiennych. Kajet przyniesiesz mi jutro.

- Nasze kajety staną się w przyszłości ozdobą Muzeum Matematycznego. Malaj będzie miał osobną salę. Muzeum zbudują na Polu Mokotowskim obok kościoła Opatrzności...

- Przeszkadzasz mi... - mówi Malaj nie odwracając głowy od tablicy.

Szept cichnie. Nareszcie dzwonek! Malaj pakuje teczkę, przypomina o pracy piśmiennej. Z lekko pochyloną głową udaje się w kierunku drzwi. W tym momencie ustaje terkot drugiego dzwonka. Pauza, pauza!

Inne lekcje mijają szybko. Pan Kacperski zamyka program pierwszego dnia. Bardzo śmieszna lekcja. Profesor wali pięścią w blat katedry, a my beczymy: „Do-re-mi-fa...” i machamy ręką jak policjant na rogu Alej i Marszałkowskiej.

- Ciung, ciung półnuta z kropką!

Ciągniemy, ale każdy w inną stronę. Pan Kacperski nie wytrzymuje nerwowo i kilku najbardziej rozśpiewanych przepędza z klasy na korytarz.

Po śpiewie chwytam tornister i razem z Jankiem pędzę na dół. Przy drzwiach wrzask, krzyki: „No, ty, nie bądź za mądry!” i bolesne kopanie w kostkę. Nad tłumem przetacza się groźny bas.

- A który mi tam tak klamkę szarpie?

Wąsaty pan Piotr, Wielki Woźny Budy, z łatwością zaprowadza porządek i ład. Wychodzę na ulicę olśniony odkryciem: do jutra ani jednej lekcji! Cały czas pauza! .

- Ale draka - woła Janek. - Coś ty, ślepy? Patrz!

Na wprost drzwi, tuż przy chodniku, stoi wózek zaprzęgnięty w osiołka. Obok jakiś typ w cyklistówce pali papierosa i strzyka śliną na dobre pięć metrów. Znudzony osiołek sennie kiwa głową. Na dwukołowce dwa wielkie afisze, oparte o siebie jak karty ustawione w domek.

- Kinoteatr Mignon... - czytam i oczom nie wierzę. - Teraz rozumiem, to jest człek najęty. O rany.

Nikommu się teraz nie śpieszy do domu. Czekamy. Wiśniewski z naszej klasy podchodzi do typa w cyklistówce i pyta, czy można osła poczęstować kawałkiem kajzerki. Typ kiwa głową, że można. Osioł zjada bułkę. Wołamy:

- Byczy osioł, fajny osioł, klawy osioł! Niech żyje, hip, hip, hura!

Perl (w domu Perla ukrywał się Piłsudski) wdaje się z typem w rozmowę na temat kosztów utrzymania osła. Pod szkołą coraz głośniej. Z okna kancelarii wychyliła się sekretarka i grozi nam palcem.

- Proszę zaraz iść do domu. Pan dyrektor będzie zły. Proszę już iść!

- Bluzka się pani rozpięła - powiedział jakiś dryblas z grzecznym ukłonem.

Sekretarka zaczerwieniła się i choć mowa była o bluzce, zatrzęsnęła okno. Ludzi przybywa. Przechodnie zatrzymują się, pytają, co się tutaj stało, bo nie ma dnia bez wypadku.

- Jeszcze nic, ale zaraz jeden pan w okularach będzie się ścigał z tym osłem.

- Boże, Boże, co za dzieci... - lamentuje pani, ale nie odchodzi.

- Czy to aby płatne? - niepokoje się pan w meloniku i w binoklach.

- Co łaska na Czerwony Krzyż albo na co Innego...

- Na każdym kroku żebranina i kwesty!

Melonik nabzdyczył się, przeszedł na drugą stronę ulicy i tam zajął stanowisko obserwacyjne.

- Co z Mignonem? Zasnął? - starsi denerwują się, bo osioł też żyje z zegarkiem w ręku i nie może pod budą sterczeć do wieczora. - Ej, szczeniaki, krzyknijcie parę razy, ale tak z sercem, żeby echo zahuczało w portkach.

Po dwóch okrzykach Mignon wyskoczył jak z procy. My za czapki.

- Dzień dobry, panie profesorze!

Mignon od razu zobaczył wózek. Rzucił się do woźnicy, roztrącając gapiów.

- Wynoście się natychmiast! Zupełnie wyjątkowa bezczelność! Zostaniecie surowo ukarani! Ruszaj, jazda!

Woźnica wyjął bacik z czerwonym pomponem i zwrócił uwagę Mignona na ceny biletów, program oraz na dodatkowe przedstawienie w niedzielę o dwunastej. Mignon dostał kręćka. Skakał od osła do woźnicy. Typowi w cyklistówce groził policją i odpowiedzialnością karną („Tak, tak, mój panie, czy pan słyszy? Karną!”), osła szarpał za uprzęż.

- Panie profesorze, to głuchoniemy. Od godziny nie możemy się z nim dogadać.

„Buldog” skromnie spuścił oczy i dodał:

- Co odejdzie, to zaraz wraca.

- Ach, tak? Wobec tego poradzimy sobie inaczej! Nic prostszego!

Mignon wyrwał kartkę z notesu i napisał drukowanymi literami: „NATYCHMIAST ODJECHAĆ! NIE ROBIĆ ZBIEGOWISKA”.

Woźnica obejrzał papierek ze wszystkich stron, rozłożył ręce. Potem podsunął kartkę osłu pod nos. Osiołek pogryzł papier i wypluł.

- Co za nieszczęście, panie profesorze! Głuchoniemy analfabeta!

Typ w cyklistówce kiwnął głową, że wszystko się zgadza. Osioł nie zainteresował się Mignonem ani przez chwilę. Z budy wyszedł pan Piotr.

- Pan dyrektor prosi pana profesora.

- My się jeszcze policzymy, bezczelny człowieku!

Mignon wykręcił się na pięcie i pobiegł do szkoły. Pan Piotr popatrzył na typa, na osła i zatroskanym wzrokiem przejechał po rozanielonych gębach.

- Jedź pan, panie Dobijak. Jedź pan, bo się wściec można.

- Chłopaki, dosyć? - spytał pan Dobijak.

- Dosyć! - odpowiedzieliśmy chórem. - Przyjedź pan jutro! Pan Dobijak dał słowo honoru, że zjawi się o tej samej porze.

Reklama ruszyła w drogę po ulicach. Pan Piotr wrócił do szkoły. Starsi chłopcy rozeszli się już dawno.

- Odprowadzę cię kawałek - powiedziałem do Janka. Mieszkał dosłownie o dwa kroki, po drugiej stronie placu, w bardzo wysokim domu.

- Mamy fajny balkon. Bracie, z żadnej łoży nie obejrzysz tak wyścigów jak z naszego balkonu. A jak konie mają wolne, też warto przyjść. W sąsiedniej kamienicy jest dom akademicki. Mówię ci... Co będę gadał? Sam zobaczysz. Mam też siostrę... - Janek zaczerwienił się, czekał, co powiem.

- Nie przejmuj się, u nas na Kolonii jeden chłopiec jest bardzo fajny, choć ma dwie rodzone siostry. Czy to twoja wina?

- No, niby nie, ale wiesz... Tylko w budzie nie gadaj.

- Wiadomo. Starsza?

- Aha.

- Cholera! Ale masz życie, rany Julek.

Przy drzwiach Janek zdecydował, że „wróci się kawałek”. Potem zrewanżowałem się odprowadzeniem Janka „do połowy drogi”. Skończyło się na tym, że Janek na chwilę wstąpił do nas.

- Mamo, to Janek.

Opowiadanie o szkole wzbudziło umiarkowany entuzjazm. Matka wzdychała, jakbym wrócił z cmentarza. Janek połapał się w nastroju. Powiedział na pocieszenie:

- Są takie szkoły, gdzie każą uczniom wkładać filcowe bambosze, jak wycieczkom w muzeum!

- Mama słyszy? Ohyda!

Zaczęła się przyjaźń z Jankiem, zaczęło się regularne chodzenie do budy na Polną.

Niedawno pan Martin z Zakopanego przekazał mi wiadomość następującą: „rondelki”, o których była mowa, wypuściła na rynek firma „A. Dziewczepolski”, mieszcząca się niegdyś na Krakowskim Przedmieściu w pobliżu placu Zamkowego. Napisałem w tej sprawie szereg listów. Czekam na odpowiedzi z Ameryki, Francji i Australii. Zobaczymy. Na razie palmę pierwszeństwa zostawiam Tuczynowi.

Między Wisłą a Ługiem

Nieś przed siebie w dal,
W zapłakany świat,
Przemoczone pod plecakiem
Osiemnaście lat...

Z pięknego rondla wyrwałem tekturę i podszewkę. Czapka nabrała takiego fasonu, że od razu poczułem się akademikiem. Nic mądrzejszego nie mogłem wymyślić aż do ósmej klasy. Ostatnia, maturalna klasa przerabiała czapki na korporanckie dekle. Haftowano denka wedle umiejętności i fantazji. Staś Hochedlinger, który przed wojną jak człowiek mieszkał w Warszawie na Focha pod ósmym, a potem przeniósł się między kangury, nosił na czapce wielobarwną Betty Boopp z filmu braci Fleischer. Opowiadano w budzie, że nad fikuśną Betty co najmniej trzy *kobiety* ślęczały przez bity tydzień. Nie gniewam się ani o Melbourne, ani też o to, że Staś pisze się teraz wygodniej: Stanley R. Linger. Kiedy spotkaliśmy się w obozie, „Chocho” zaprosił mnie do siebie i poczęstował kromką fasowanego chleba, przypieczoną na rurze piecyka. Nie byłem do tej pory na wspanialszym przyjęciu.

Po przefasonowaniu czapki zrobiłem się bardzo ważny. Gdyby nie kiepska kondycja, pozabijałbym wszystkich wołających na mnie „gnoju” lub „gnojku”. W Kijowie akademików nazywano studentami. Ojciec na widok sponiewieranego rondla chrząknął groźnie i popatrzył na mnie, jakbym zmienił się nagle w niedorozwiniętego idiotę. Studenci kijowscy mieli mundurów do licha i trochę. Inny na co dzień, inny na niedzielę i na carskie chrzciny jeszcze inny. Mundury, choć niby dla wszystkich jednakowe, pozwalały odróżnić z daleka, kto „pan”, a kto „prawosławny”. Polacy nosili jasne kołnierze i czapki wzorowane na maciejówkach. Rosjanie paradowali w sztywnych „kartuzach”. Nic więc dziwnego, że ojciec do czapki dużą przywiązywał wagę. Chrząkanie wróżyło zasadniczą rozmowę, wystękałem więc parę słów o tradycji naszej budy i wyniosłem się do ogródka. Na świeżym powietrzu czułem się swobodniej.

Mundurów nie zazdrościłem. Śmieszyły mnie staromodne, wąskie spodnie bez mankietów i długie, prawie po kolana surduty. Studentów kijowskich znałem z fotografii. Upozowani na kartonach opatrzonych złotym zawijaszem „Atelier - Kiev” patrzyli w obiektyw nie istniejącego aparatu. Znakomite kijowskie zdjęcia! Przez lupę można było dostrzec nawet carskie orły na guzikach.

W głębi „amerykańskiego” biurka (ojciec innych nie uznawał) leżała odznaka Cesarskiego Uniwersytetu św. Włodzimierza. Biało-niebieski „znak”, gdyby go zawiesić na wstążce, mógłby śmiało konkurować z efektownym orderem, sprzedawanym przez generała Bułak-Bałachowicza. Na „znaku” też siedział dwugłowy cudak.

- Żeby dziś dwa tby zobaczyć, trzeba się w pestkę zalać albo wykupić bilet do panopticum.

Tak się mówiło o tych sprawach między kolegami. Na tradycję upstrzoną „ptakiem-okrakiem” nikt się nie oglądał. Tylko stryj, z całej rodziny najbardziej obyty wojskowo, szukał sprawiedliwej miary dla

tego, co kiedyś, „czort wie kiedy”, było. „Co by się nie powiedziało, studenci byli w cenie. Pamiętam jak dziś, w środę, a może w czwartek? Pewnie w jakiś dzień powszedni, bo zbierało się na deszcz, przyjechał niespodziewanie generał. Chodzi, patrzy, no i widzi znak kijowskiego uniwersytetu. Zatrzymał się generał, waży coś w myślach, a żołnierz matkę rodzoną zaczyna kląć w duchu, bo przecież generał nie po to patrzy, żeby kolor oczu zapamiętać albo pryszczę liczyć na żołnierskiej mordzie. Czekamy, a tu siurpryza! Generał rękę wyciąga, wita się, uśmiecha i mówi: wot tak! Tak, student, to był ktoś. W porządnym garnizonie wyjeżdżały na studentów co najmniej dwie sotnie, a jedna stała w ostrym pogotowiu, cugle w ręku, popręgi podciągnięte, tylko jechać i rozpędzać. Co zaś do tego podania ręki, rzecz się wyjaśniła później. Stary niedowidział. Pomyliła mu się odznaka kijowska z odznaką Akademii Wojskowej. No, ale z pomyłki żadna bieda nie wynikła. Powspominać miło, po cóż zaraz źle?”

Gdybym stryja źle wspominał, dragońska szabla spadłaby mi na łeb z bezchmurnego nieba. Bo i po stryju ślad zaginął, i szabla zapadła się jak pod ziemię. Kiedy stryj był, wspomnienia nikomu nie przychodziły do głowy. Po prostu rozmawiało się ze stryjem i już. Raz tylko zebrało mi się na wspominki rodzinne. Rozgadałem się o stryju właśnie z powodu tej szabli, bo Elka nie mogła pojąć, po diabła nad tapczanem wisi naga szabla. Elkę poznałem po wojsku, a do wojska jechałem razem ze Stasiem Polaczkiem... Trzeba więc ściągnąć wodze i wrócić szmat drogi do tej środy lub do tego piątku, kiedy Staś Polaczek zawołał do mnie po lekcjach:

- Słuchaj no, ty...

Staś lekceważył majdaniarski fason. Nie wrywał tektury i nie wygryzał podszewki. W sztywnym, wyleniałym rondlu przechodziłby zapewne całą budę, gdyby nie gwałtowne tycie głowy. Pewnego dnia rozległ się straszny huk i zrudziałe sukno rozleciało się w strzępy. Staś zawsze unosił się z umiarem, powiedział więc: „A, do licha...” i poszedł do Tuczyzna, żeby kupić czapkę o pięć numerów większą. Ale to też stało się później.

Rok szkolny dopiero się zaczął. Zaledwie parę dni minęło od marszu całą budą na uroczystą mszę w kościele na Koszykach, Buda rozkręcała się wolno, bez dwój, klasówek i innych szykan. Najbardziej gorliwi gadali jeszcze o wakacjach.

- Malaj i Mignon spotkali się w Zakopanem. Widziano ich koło pensjonatu „Radowid”. Szli z plecakami w stronę poczty.

- No, to co? Spotkali się i szli. Ja też, jak się z kimś spotkam, to idę kawałek razem.

Łatwiej na -krowie brać przeszkody niż Stasia wyprowadzić z równowagi. Oczywiście, ani mrugnął.

- Malaj z nikim nie spotyka się bez celu. Czego Mignon chciał od Malaja? Po co się oni spotkali tuż przed nowym rokiem szkolnym?

Nic mi nie przychodziło do głowy. Starłem się zapomnieć o Malaju i klasówkach. Staś, odczekawszy chwilę, dorzucił obojętnym tonem:

- Mówię, żebyś wiedział. Mignon jest waszym wychowawcą, a nie moim. Serwus.

Staś nie organizował drak i nie przewodził hecom. Częstkę odpowiedzialności zbiorowej przyjmował jednak bez sprzeciwów. W ogóle był to cholernie solidny facet. Trzaskać drzwiami zaczął dopiero po czterdziestce.

Zgodnie z przeświadczeniem, że świat opiera się na rzetelnej informacji, Staś powiedział swoje i poszedł do sklepu po zielony tusz, który: „niewykluczone, że będzie mi potrzebny w ciągu najbliższych dwóch tygodni”. Od tej piekielnej solidności wszystkim chłopcom na Kolonii robiły się pomarańczowe oczy. „Wstawaj! Polaczek już Idzie do szkoły!” słyszałem w domu przez okrągły rok. Po przejściu Polaczka nie domyśli chłopcy pędzili Nowowiejską, żeby zdążyć do budy przed drugim dzwonkiem. Świętego takimi biegami można wyprowadzić z równowagi. Postanowiono wrzucić Stasia do glinianki. Ponieważ był krępy i umiał zapierać się nogami, uradziliśmy działać „na maniane”.

- Te, Stasiu! szpic pana Gęby wleciał do glinianki! Sami nie damy rady!

- Do której glinianki? - zapytał Staś z okna. - Do tej dużej czy do tamtej małej?

- Do dużej!

- Dobrze, zaraz schodzę.

Rzeczywiście, nie czekaliśmy długo.

- Jasny gwint, już go nie słyhać... - wystękał Tadek.

Staś pochylił się nad dołem i w tej samej chwili potknął się o nogę Krowy. Odeszliśmy spokojnie, żeby ochłonąć na kupie cegieł.

- Ściany strome, po deszczu. Zajęcie do wieczora - szepnął Krowa. - Fajną mam nogę, co?

- Co on tak siedzi cicho? - Tadek miał dobre serce i przeraźliwie bał się nieboszczyków.

- Szpic też siedział cicho!

- Po wylądowaniu wysnęło mu się kilka słów - wtrąciłem dla uspokojenia przyjaciół, bo Wanos chciał już rzucać do glinianki cegły.

Chwilę nie działo się nic. Potem z dołu smyrgnęła mała kotwica, przywiązana do sznura od bielizny.

- No, nie! Coś podobnego.-. - Krowa złapał się za głowę.

- Fajna kotwa, od kajaka - szepnął Tadek.

Zatkało nas. Siedzieliśmy na ceglach jak związani. Nikt palcem nie ruszył, choć sznur się naprężył i kotwica wczepiła się w grunt. Po upływie dwóch minut spocona twarz Stasia wynurzyła się z glinianki.

- A gdzie szpic? - zdążył zapytać jeszcze Wanos.

Zaraz potem rozeszliśmy się prędko do domów. Staś, oczywiście, nikogo nie dogonił, więc pogroził kotwicą i też zawrócił do siebie.

Trzeba się liczyć ze słowami faceta, który, idąc po szpica, zabiera ze sobą linę i kotwicę.

Wiadomość o spotkaniu Malaja z Mignonem w mig obleciała całą budę. Kiedy z wywieszonym językiem wpadłem do klasy, chłopcy odpowiedzieli pogardliwym wrzaskiem.

- Królowa Bona umarła!

Nawet Janek dał mi do zrozumienia, żeby się nie wygłupiał przy wszystkich.

- Nie rób z siebie wała.

- Ja? Wała? Z samego siebie? - zaciętrzewiłem się jak głupi, ale zaraz mi to przeszło. Babcia Karolina twierdziła, że można przejść przez życie suchą nogą. Powoływała się przy tym na przykład historyczny: nawet Żydzi przeszli przez Morze Czerwone. Ale jak przejść nie wdepnąwszy w jakieś piramidalne głupstwo? Mimo woli spojrzałem na buty. Zobaczyłem porysowane noski. Obraz nie chciał gadać z dziadem, więc i buty zbyły mnie milczeniem.

A pod kaloryferem huczało jak w tramwaju po nalocie doliniarzy.

- Kto jak kto, ale Mignon nie powinien naśladować metody malajowskiej! - krzyczał Sylwek, prezes samorządu.

- Nie powinien! - ryczała paczka prezesa: Wacio, Goldman, Warchlak i Buldog.

Ej, czy Buldog był jeszcze z nami? Wyszedł z budy z dwuletnim spóźnieniem. Co stało się później, nikt, zdaje się, nie wie. Buldog nie pokazał się na zjeździe wychowanków budy i nikt go też nie wpisał na listę poległych. W każdym razie przyjaźnił się z prezesem, więc jeśli był, to krzyczał z całą paczką. Wysoki głos Sylwka rozkołysał klasę:

- Wolno Mignonowi chodzić z Malajem w Tatry, ale nie wolno mu urządzać klasówek w sali rysunkowej! Mignon nie jest Malajem!

- Nie jest! - wrzeszczałem olśniony odkryciem. Głos też miałem kiepski, więc słyszał mnie tylko Perl siedzący w sąsiedniej ławce.

- Mignon był w Legionach...

Podobno u Perlów ukrywał się marszałek Piłsudski. Perl uczył się dobrze, opinie formułował w sposób ostrożny. Piłsudskim nie chwalił się na grandę. Wiadomość o ukrywaniu „Ziuka” wylęła się nie wiadomo gdzie i o własnych siłach rozniosła się po klasie. Ksiądz prefekt miał na Perlą wielką chętkę. Zachęcał, żeby nie wychodził z klasy, żeby posłuchał, bo „będzie mowa o ciekawych rzeczach”. Perl wychodził lub zostawał na religii, zależnie od pogody. Jeżeli wymknął się przed dzwonkiem, pocziwy „Pasztet” pytał zatroskanym głosem: „A gdzie... nasz Perl?” Mimo doskonałej komitywy nie dobili targu. Perl pozostał wśród „naszych”. Pasztetowi zmarło się wkrótce. Jego następcą, zwany po prostu „Katabasem” lub „Bokserem”, nie zdradzał powołania misyjnego. Nowy prefekt miał na głowie i budę, i więzienie Mokotowskie, gdzie był kapelanem. *Zmiana* ominęła Perlą. A gdyby nawet do *tego* doszło? Straszne czasy, tak straszne, że ich nikt nie przeczuł, zbliżyły się już na odległość ośmiu lat międzywojennych. Na razie hałasowaliśmy beztrąsko.

- Mignon nie jest Malajem i Malajem nie będzie!

- Nie będzie!

- Mignon powinien o tym wiedzieć!

Zanim zdążyliśmy ryknąć: „Powinien wiedzieć!”, Perl, wykorzystując chwilę ciszy, zapytał spokojnie:

- Dlaczego?

Tego samego dnia wiadomość oficjalna potwierdziła wakacyjną pogłoskę. Mignon zapowiedział „Niemcom”, że najbliższa klasówka odbędzie się na górze, w sali rysunkowej.

- Sam chciał! - prezes zatartł ręce.

Sylwek, choć „Francuz”, nie uchylał się od obowiązków społecznych. Przygotowania rozpoczęły się natychmiast i nabrały takiego rozmachu, że kilku kolegów zapadło od razu na dyplomatyczną świnkę. Choroby nikt im nie brał za złe. Okazało się jednak, że niedomagania rozwiązały pocziwcom języki. Zapobiegliwe mamusie rozpostarty nad synkami opiekuńcze skrzydła, podbite dubelтовą troskliwością. Nic o tym nie wiedząc, chodziliśmy strasznie dumni. Zadzieraliśmy nosa jak ten młodzieniec, któremu zafundowano kamizelkę z ojcowych portek. Na kilka dni przed klasówką klasa przycichła i wpadła w podejrzaną układność. Ustało skandowanie „Mignon, Mignon”, przestaliśmy trzaskać blatami pulpity. Wielka draka wisiała w powietrzu. Wyczuwali ją wszyscy prócz Mignona. Czasami ktoś przez zapomnienie wrzasnął: „Mignon Apud!” lub podpalił papiery w koszu na śmieci. Wtedy wstawał prezes, podnosił palec do góry i ostrzegał:

- Koledzy, prosząc o spokój. Nie rozmieniajmy się na drobne.

Prezesa słuchano. Nie po to wybraliśmy Sylwka w tajnym głosowaniu, czyli przez aklamację, żeby mu potem za plecami skrobać marchewkę na nosie. Jak prezes, to prezes, a nie wołowa szynka wynaleziona przez niejakiego Wołowa. Zdarzyło się pewnego roku, że na urodzinowej akademii wynikło małe zamieszanie i wybiła się jedna szyba. Gdy orkiestra huknęła „Brygadę”, ktoś puścił na widownię kupę „smrodo-skoków”. Ledwie z sali gimnastycznej wróciliśmy do klasy, przybiegł profesor Kuc okropnie zemocjonowany. Nagadał nam impertynencji i zakończył tak: „Jeżeli to się jeszcze raz powtórzy, wykryję sprawcę i *przez najgorszego* usunę ze szkoły!” Po tej groźbie zaległa w klasie krępująca cisza. Pochyliwszy głowy, patrzyliśmy w pulpity pokrojone kozikami. „Idźże już, człowieku, nie kompromituj samego siebie i nam daj święty spokój”. To właśnie Kuc powiedział kiedyś podczas lekcji: „Ludwik Szesnasty, słusznie zwany Katorz”... Kuc nie wychodził, czekał nie wiadomo na co. No i doczekał się prezesa. Sylwek wstał, podszedł do tablicy i z wysokości podium wygłosił do nas rzeczowe przemówienie: „Słyszeliście? Jeszcze raz i pan profesor osobiście przegna ze szkoły!” Tak, tak, Sylwek piszczał jak zapiaszczona oś, trzy razy przymierzał nogę, zanim trafił w piłkę, ale charakter miał skrojony z materiału w najlepszym gatunku. Dowiódł tego w budzie i nawet znacznie później. Trzeba przyznać, że „smrodo-skoki” były ostatnim krzykiem legalnej techniki pirotechnicznej. Po zapaleniu krótkiego lontu drobiazg wielkości pudełka zapalek podskakiwał na wysokość metra. Przy każdym skoku pękał jeden smród (smrodów było trzy: pierwszy, drugi, trzeci) i przydymiony siarkowódor rozchodził się szeroko. Seria „smrodo-skoków”, puszczone umiejętnie, wywoływała mniej więcej taki efekt, jak bomba wrzucona do szamba. Uroczę drobiazgi pochodziły ze słynnego sklepu na Chmielnej. U „Magika” zaopatrywali się kawalarze z całej Warszawy. Sprzedawano tam „pomoce naukowe”, jakie tylko można było sobie wyobrazić, a więc „żabki”, „apsiki”, „plamy atramentowe”, kieliszki z wiecznym winem, gwizdzące napoleonki, dziurawe łyżki, „robaki do zupy”, „bomby śmiechu dla młodożeńców”, „wyjące prześcieradła”, wywracacze kieliszków na odległość,

„wulkany w torcie”, „skaczące bułki”, straszliwe „kleje-zemsty” i „wody skunksowe”, „marmurowe jajka” i „sidła mechaniczne dla nieproszonych amantów”, „duchy naturalnej wielkości” i tysiąc innych przedmiotów „przydatnych w święta i na okazje towarzyskie”. Dwa były takie sklepy. Jeden na Chmielnej pod nr 90, drugi również po stronie parzystej. Licząc od Szpitalnej, pierwszy sklep „po schodkach” w kierunku Nowego Świata. Właśnie u tego „Magika” zaopatrywaliśmy się w wykwintne „smrodo-skoki” i zwykłe smrody, zamknięte w fiolkach.

Tym razem żarty techniczne nie wchodziły w rachubę. Ze względu na okoliczności wyjątkowe postanowiono zastosować wobec Mignona metodę psychologiczną.

Mignon wyznaczył termin klasówki, zanotował w dzienniku lekcyjnym. Przez tydzień przypominał, a po tygodniu zapomniał na amen. Czas dłużył się okropnie. Dnie szkolne mają znacznie więcej godzin niż dnie dorosłych. W końcu doczekaliśmy się terminu.

Mignon oprzytomniał dosłownie w ostatniej chwili. Po drugim dzwonku wpadł zadyszany do klasy i powiedział po niemiecku:

- Moi panowie, udacie się teraz w porządku i ciszy, powtarzam, i w zupełnej ciszy, do sali rysunkowej.

Odwrócił się i pierwszy pobiegł na górę.

- Panowla, ustawiać się parami. Prędziej, szkoda czasu! - wołali dyżurni, choć nikogo nie trzeba było popędzać. Na tym tle doszło do krótkich utarczek słownych, bo wszyscy byli bardzo podenerwowani. Prezes pisał coś histerycznie i przywrócił spokój.

Ustawialiśmy się, aż Mignon znikł na półpiętrze. Wtedy cicho i grzecznie, tłumiąc chichoty i skowyt rozkoszy, pomaszerowaliśmy w ordynku na dół. Minęliśmy parter, przeszliśmy obok hallu, w którym królował pan Piotr, i zstąpiliśmy do szatni gimnastycznej, mieszczącej się w suterenie. Odczekawszy chwilę (pan Piotr widział, czy będzie interweniował od razu?), przenieśliśmy się na podwórko. Akurat wożono koks do piwnic, więc brama wjazdowa była otwarta na roścież. Opuściliśmy budę i bez pośpiechu, żeby nas wreszcie ktoś zauważył, ruszyliśmy przez plac Politechniki.

W połowie placu usłyszeliśmy straszliwe krzyki w obcym języku. Krzyczał Mignon.

- Czego on chce? Nic nie rozumiem - prezes wyciągnął szyję i przyłożył dłoń do ucha.

- Macha ręką, żeby wracać.

- Macha? A, to wracajmy w takim razie.

Mignon, nie krępując się obecnością przechodniów, wygrażał nam pięścią. Zza Mignona wysunął się pan Piotr.

- Wracać, ale to już! - huknął grenadierskim basem.

- Szkoda, myślałem, że Mignon dopędzi nas dopiero na Nowowiejskiej przy szpitalu wojskowym.

Spokojnym, równym krokiem maszerowaliśmy do bramy. Mignon doskoczył momentalnie. Ze zdenerwowania krzyczał wciąż po niemiecku. Opuściwszy głowy czekaliśmy, aż minie atak.

- Pytam, co to ma znaczyć? - Mignon zdjął okulary, przetarł szkła. Nałożył okulary i znowu zdjął. Metoda psychologiczna nie zawiodła. Mignona zatkało. Wielka draka rozwijała się zgodnie z ustalonym programem. - Horrendalne osielstwo!

Mignon nałożył okulary i jeszcze raz przypatrzył się twarzom. No, tak, to była jego klasa, ale to nie byli „Niemcy”.

- Marsz na górę! Gdzie reszta?

- Dziś miała być klasówka z języka niemieckiego - powiedział Sylwek załamującym się głosem. - Sam pan profesor, panie profesorze... My naprawdę nie umiemy po niemiecku.

- Niespotykana bezczelność! Na górę!

W bramie, kiedy mijaliśmy wóz węglarza, ktoś z chłopców wystrzelił trzy razy ze straszaka. Piekielny huk spłoszył konia. Obudzony perszeron zerwał się do galopu. Węglarze z nie dopitymi „kruczkami” spirytusu wybiegli z piwnicy. Wóz galopował wokół podwórka, węglarze popisywali się znajomością słowa, a my, skacząc po trzy stopnie, pędziliśmy na górę. Na górę, lecz o dwa piętra wyżej, niż przypuszczał Mignon.

Lekcje niemieckiego odbywały się w klasie. „Francuzi”, tak się utarło w budzie, uczyli się w „małej sali fizycznej” sąsiadującej z salą rysunkową. Tam też siedzieli nasi „Niemcy” czekając spokojnie na panią od francuskiego. „Cyklamena” reprezentowała - w naszym pojęciu - alpejski typ urody. Bujne kształty, solidna budowa i nos wykreślony śmiałym łukiem. Francuzica ubóstwiała Napoleona i darzyła sympatią chłopców podobnych jako tako do prawdziwego mężczyzny. Zobaczywszy obce twarze, speszzyła się i zaczęła kartkować notesik.

- Musiałam się pomylić... Ależ nie! Co to znaczy?

Wacio, jeden z przystojniejszych „Niemców”, podbiegł do Cyklameny. Nim się opamiętała, cmoknął Francuzicę w rękę i pięć fiołków alpejskich położył na stoliku.

- Bardzo to ładnie z waszej strony, ale ja w dalszym ciągu nic nie rozumiem.

Wtedy wszyscy wstali i zaczęli prosić Cyklamene, żeby korzystając z „wyjątkowej okazji”, zechciała zadeklamować Testament Napoleona.

- Gdyby nie te ciężkie czasy, wszyscy chodzilibyśmy na francuski, bo nie ma piękniejszego języka na świecie. Prosimy, bardzo prosimy o Wielki Testament.

- Ależ to śmieszne... Przecież nie znacie języka?

- Muzyka wzrusza także tych, którzy nie znają się na nutach - Wacio błysnął pięknym zdankiem.

- A pan profesor? - Cyklamena dla świętego spokoju spytała o Mignona. Gotowa była deklamować Testament dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wacio zrobił zażenowaną minę.

- Pan profesor czuje się dziś niezbyt dobrze - wyjaśnił chłopiec z głębi klasy.

- Zachorował?

- Nie, proszę pani. Na schodach jeszcze nie chorował.

Cyklamena zbladła.

- Cóż to za głupstwa? Pan profesor w ogóle nie pije! Powiedziała i zawstydziała się aż po czubek nosa.

- Ale węglarze strasznie piją - wtrącił Wacio nie podnosząc wzroku.

- Jacy węglarze?!

- No ci, co przywieźli koks. Piją spirytus i częstują. Cyklamena otworzyła usta, chciała o coś jeszcze zapytać, ale rozmyśliła się wpół słowa.

- O niczym nie chcę wiedzieć. - Potem stuknęła ołówkiem w blat, poprawiła bluzkę i wzrokiem przypięła się do lampy.

- *Je désire, que mes cendres reposent aux bords de la Seine, au milieu de ce peuple français, que j'ai tant aimé...*

Huknęło, jakby trzy grzmoty wleciały do studni. Cyklamena podskoczyła na krześle. Patetyczny nastrój rozleciał się w kawałki. „Niemcy” z krzykiem pchali się do drzwi.

- Dlaczego nikt m u nie odebrał rewolweru?

- Na pewno stało się nieszczęście!

- To policja strzela!

- Co za przykrość, w trakcie Testamentu! Wacio wyszedł ostatni. W progu zatrzymał się.

- Jesteśmy pani niewymownie wdzięczni.

Cyklamena czuła się kiepsko. Powitała nas taką miną, jakby przed chwilą wysiadła z karuzeli puszczonej zbyt prędko. Oklapnięta patrzyła wzrokiem śniętej brzany.

- Pani pozwoli, że w imieniu kolegów... - prezes szurnął obcasami i położył na stoliku pięć fiołków.

Zły duch zawładnął kobietą. Zamiast uśmiechem pokwitować fiołki, Cyklamena wrzasnęła z pasją i ze łzami:

- Jak śmiecie tak zachowywać się wobec kobiety! Co robiliście do tej pory?

- Szliśmy, proszę pani, na lotnisko, ale pan Piotr zawrócił nas z drogi.

Cyklamena uspokoiła się od razu.

- Na lotnisko? A po co?

- Zdaje się, że dziś przylatuje czteromotorowy samolot z Berlina...

- Moje dziecko, co ty pleciesz?

- Proszę pani, my naprawdę nie znamy niemieckiego.

- Człowiek kulturalny powinien biegle władać francuskim. Naturalnie, niemiecki też może się przydać od czasu do czasu. Ale co ma jedno do drugiego? Lotnisko, samolot? Moje dziecko, mów po ludzku!

- Myśmy tak zrozumieli, proszę pani. Pan profesor powiedział dwa zdania po niemiecku i zaraz wybiegł z klasy. Nie było czasu na pytania.

Mignon usiłował unowocześnić swoje lekcje. Ciągał „Niemców” na lotnisko, na dworzec i do parku. Gdyby pewnego dnia zorganizował lekcję na dzwonnicy pobernardyńskiej, też nikt nie mrugnąłby okiem. Na placu przed kościołem Św. Anny książęta pruscy i kurlandzcy składali hołd królom polskim. Wymarzone miejsce dla konwersacji niemieckiej!

Cyklamena próbowała nasze relacje połączyć w trzymającą się kupy całość. Zapytała o te „straszne hukie na podwórzu”.

- Jakaś awantura z węglarzami... Zapewne alkohol...

Prezes miał ochotę opowiedzieć dokładnie, lecz Cyklamena przerwała ostrym tonem:

- Siadaj.

Tymczasem o dwa piętra niżej Mignon ciągnął Montera do drzwi naszej klasy. Podobno powiedział co najmniej dziesięć zdań, zanim się zorientował, że klasa pusta.

W kilka minut później do „małej sali fizycznej” wszedł dyrektor. Zerwaliśmy się z ławek. Patrzyłem w kołnierz stojącego przede mną Janka. Wielka draka kończyła piękny lot.

- No tak - dyrektor coś mruknął pod nosem i wyszedł.

„Niemców” odnalazł bez trudności. Zrobili szmaciankę ze ścierki do tablicy i grali w „gałę” między stolikami sali rysunkowej. Pochłonięci grą, nie od razu dostrzegli Montera.

- Zejdziecie do klasy i zapakujecie książki.

Po francuskim czekała nas matematyka. Wszyscy byli bardzo ciekawi, co na to powie Malaj. Wszedł bez teczki. Z kamiennym spokojem poinformował o decyzji dyrektora: cała klasa uda się natychmiast do domu. Jutro zbierze się Rada Pedagogiczna. Pojutrze „opieka domowa przyjdzie do szkoły dowiedzieć się o decyzji Rady Pedagogicznej”. W ciszy, spokojnie i godnie opuściliśmy budę.

Żarcik francusko-niemiecki stał się wkrótce głośny. „Ci gówniarze - mówiono w budzie - nie pozbawieni są jednak odrobiny fantazji”. Wolne dni minęły prędko. W niektórych domach „opieka domowa” interweniowała ostro, nie licząc się ani z fantazją, ani z poczuciem humoru. Były to sprawy osobiste. Każdy nadrabiał miną i poobijanej fantazji nie wystawiał na widok publiczny.

Rada Pedagogiczna zaskoczyła nas zdrowym rozsądkiem. Uradzono w pokoju nauczycielskim, podobno na wniosek Malaja, że konsekwencje żarciku spadną na całą klasę. Obniżono stopień ze sprawowania i „Francuzom”, i „Niemcom”, i Poczciwym Nieobecny. Uchwała Rady zawierała również kwieciste pogrożki i ostrzeżenia na przyszłość: „Jeżeli jeszcze raz, to wtedy z całą surowością” itd. Taktowne pominięcie strzałów ze straszaka wywołało życzliwe komentarze. „No, proszę, z takimi

facetami warto żartować. Znają się na żartach". Nikt nie pytał o organizatorów wielkiej draki ani o sprawcę piekielnych huków. Podobne pytania w ogóle nikomu nie przychodziły do głowy. Ciąganie za język uchodziło za wstydliwą czynność.

Strzelał Janek. Wiedziała o tym buda, wiedzieli profesorowie, ale wiedzieli nieoficjalnie. Wielka draka wypaliła się i zgasła. Rok szkolny dotoczył się pod pierwszy kwartał. I wtedy nadleciało echo draki. Stopnie ze sprawowania obniżono tylko uczestnikom. Grzeczni Nieobecni wyszli cało, z nietkniętą cnotą, jak te stare panny, co się spóźniły na Trakt Oszmiański i nie zostały zgwałcone przez grenadierów Starej Gwardii. Zachodziliśmy w głowę, kto podgryzł uchwałę malajowską? Za jaką cenę mamusi Nieobecnych uratowały „bardzo dobre” sprawowanie? Wokół straszaka panowała podejrzana cisza. I to nas zmyliło.

Na każdą tajemnicę przychodzi właściwa pora. Święte sekrety, nawet takie, co na słowo honoru i siedem pieczęci, też wypływają w swoim czasie albo nieco później. Straszak, choć jak kamień od razu poszedł na dno, wypłynął, zanim rozdano nam świadectwa do następnej klasy.

Monter wezwał rodziców Janka. Powiedział otwarcie: albo promocja i zmiana szkoły, albo repetowanie roku. Mimo wrodzonej inteligencji i bystrego oka Żop lepszym był strzelcem niż uczniem. Miał słabe punkty. Nie pomagały „robinsonady” i „parady”. Dwójce jedna za drugą lądowały w siatce. „Wiesz, znowu mi zadał takie dziwne pytanie, że w ogóle nie wiedziałem, co odpowiedzieć...” Im bliżej wakacji, tym częściej na sympatycznej gębie Janka pojawiał się wyraz niebotycznego zdumienia. Rozumiałem go doskonale. W szkole pytają nieraz o takie rzeczy, że człowiek ma ochotę obrazić się i na zawsze wyjść z klasy.

Monter tak długo gadał o kiepskich „postępach”, o naciąganych stopniach, aż się wygadał.

- Strzela się na Bielanach, a nie w szkole.

Na strzelnicę w pobliżu Cmentarza Włoskiego (tramwajem „17” do CIWF) jeździł nasz hufiec PW. Tam też cywile zdobywali Odznakę Strzelecką lub dziurawili niebo, żeby mieć z głowy „Dziesięć strzałów ku chwale Ojczyzny”. Hasło „Ćwicz oko i dłoń w Ojczyzny obronie” stawało się coraz bardziej modne. Tak więc nie było do czego się przyczepić. Na Bielanach strzelali młodzi i dorośli. Mimo cierpkiego tonu ojciec Janka ocenił sytuację jako możliwą do odproszenia. I wtedy Monter, patrząc w okno, wspomniął o skargach rodziców. W niektórych domach uważano Janka za chłopca wywierającego zły wpływ na kolegów. Kiedy Monter nazwał Janka - niby powtarzając cudze słowa - „zakałą klasy”, stary Janek poczerwieniał i ogromnym wysiłkiem woli powstrzymał atak apopleksji. Odechciało mu się proszenia i odpraszenia.

- Przeniosę syna do innej szkoły. Jeżeli rodzice kolegów nazywają Janka „zakałą”, to...

Monter uspokajająco zagadał do szyby. Dał słowo, że się nie wygada, ale wygadał się, trudno. Jeden ma lepką rękę, drugiemu poca się nogi, trzeciemu język się majta jak gatki na wietrze. Nie ma ludzi idealnych. Przeciąg stuknęła drzwiami. Monter odwrócił się i odetchnął. Lepiej wyglupiać się przed oknem niż przed „opieką domową” kłopotliwego ucznia.

Łopot opiekuńczych skrzydeł wypłoszył Żopa z budy. Janek dostał świadectwo, powiedział Mignonowi: „Bardzo *panu* dziękuję” i zanim Mignon oprzytomniał, pobiegł do kancelarii po metrykę.

Na podwórzu oddał salwę pożegnalną, sześć wspaniałych huków ze znakomitego straszaka, podobnego jak dwie krople wody do belgijskiej „piątki”.

- Lubi strzelać, będzie strzelać - powiedział ojciec Jasia tego samego dnia.

Po wakacjach zesłano Janka do KK3, czyli Korpusu Kadetów w Rawiczu. Pierwszy korpus mieścił się we Lwowie, drugi w Chełmnie. Jechał Żop po „wojskową maturę” nad samą granicę, do miasta sto razy mniejszego od Warszawy, głośnego z wyśmienitych wędlin i ciężkiego więzienia. Mój ojciec przekazał Jankowi następujące informacje: miasto słynęło niegdyś z sukiennictwa. Sukna rawickie wędrowały w głąb Rosji i nawet do Chin. Więzienie dostało się nam w spadku po zaborcach, bo to Prusacy przepędzili reformatorem i klasztor przebudowali na kryminiał. Te wiadomości oraz adres znajomych, którzy „zapewne nadal mieszkają obok hotelu «Centralnego»”, miały ułatwić orientację w obcym mieście. Na początek dobre i to.

Rozstanie gruntownie obeztałam w domu. Na dworcu usiłowałem gadać basem. Jankowi dokuczał katar. Powieki miał jak królik.

- Buławę wyślę pocztą. Gdyby cisnęli za ostro, mów, że jesteś baptysta. Baptistom nie wolno brać karabinu do ręki!

- Sie wie - Janek miał minę coraz bardziej przegraną.

- Generałom wal prawdę między oczy, kapralom stawiaj piwo, ale nie za często, żeby się nie spoufalili.

- Sie wie, wiadomo.

Na peronie wszyscy baranieją. Wydaje się, że pociąg czeka na Sąd Ostateczny i że głupie rozmowy nigdy się nie skończą. Pociąg ruszył, pobiegłem za wagonem.

- Tam uczą grać w serso! Nie daj się! Uważaj!

Peron się skończył, nie mogłem biec dalej. Pożegnałem rodziców Janka, siostrze burknąłem „do widzenia” (z tej siostry nikt nie miał pociechy) i powlokłem się z powrotem. Nigdy Boże Narodzenie nie było tak dalekie.

W Rawiczu klasy nazywały się kompaniami. Kiedy u nas zaczęły się ferie, Janek przyjechał na pierwszy swój urlop. Zostawił walizkę w domu i przyleciał do mnie. No, gdyby zaczął obnosić mundur po ciotkach i stryjkach, naszą przyjaźń trafiłby szlag na miejscu.

- Serwus, ubieraj się, Idziemy po czapkę.

- Przyjechałeś z gołą głową?

- To nie czapka, to fasowany kubeł.

- Rzeczywiście, pod światło nie zauważyłem. Mamo, mamó, przyjechał Janek w kubie, ale już wychodzimy.

Trochę zazdrościłem. W ciągu paru miesięcy zaszły ogromne zmiany. Janek, ledwie nałożył mundur, awansował z „kawalera” na „pana kadeta”, a ja zostałem po staremu uczniem niższej klasy.

Śnieg skrzypiał, dzwoniły sanki, świątecznie brzęczały tramwaje. Ciekaw byłem nowej czapki, ale milczałem, żeby uniknąć kompromitacji.

- Gdzie mieszkasz?

- Wiesz, gdzie są Żydowskie Góry?

- Nie wiem.

- Za Górami stoją bloki korpusu. Wiesz, że w Rawiczu naprawdę jest hotel „Centralny”? Tuż obok drugi hotel, „Polonia”. Twój stary miał jednak rację. Z restauracjami też nie ma nawalanki. Dwie na Rynku, Fabisia i Seifertowej, a trzecia Janiaka, przy ulicy 17 Stycznia. Stary zna świat, co?

- Bracie, w Ameryce był, w Japonii był, toby Rawicza nie znał? Coś ty, głupi?

- No, ale zawsze. Wiesz, jak jest.

- To nie u nas! Słuchaj, a byłeś u tych znajomych? Ojciec będzie pytał...

- A, ci państwo obok „Centralnego”? Zgubiłem adres... Kapujesz? Nazwisko wyleciało z głowy.

No, pewnie. Wizyty składa się pod terrorem, kiedy rodzina przyprze do muru i grozi odebraniem „kieszonkowej” forsy. W kilka lat później, przed wyjazdem do Włodzimierza Wołyńskiego, ojciec zaopatrzył mnie w adres jakiegoś „bardzo zacnego księdza”. Św. Haubicjusz, patron artylerii, pękłby chyba ze śmiechu, gdybym ograniczony czas przepustki spędzał na plebanii. Przypuszczałem, że ojciec byłby również zaskoczony, a zacnemu księdzu na mój widok zdumienie odjęłoby mowę.

- Nic się nie przejmuj. Ja to załatwię - powiedziałem Jasiowi.

Szliśmy w kierunku Marszałkowskiej do sklepu z modnymi czapkami. Wojsko kocha przebieranek. Im dalej od wojny, tym bardziej staje się grymaśne. Gdyby wojskowym dać dużo forsy, przebieraliby się co godzina. Za cywilem w szafirowym meloniku oglądają się ludzie i mówią: wyskoczył, pacan, ze starego żurnalu. A na wojskowego w kolorowych spodniach patrzą pożądlivym wzrokiem: koszary nie salon, ale „zasery” piękne, Tajemnicza siła tkwi w wojskowym stroju. Nawet dzieciom kupuje się ułanki i blaszane szable, a nie cylindry i parasole.

Kadeci nosili mundury granatowe z żółtą wypustką i srebrnym galonem na stojącym „włoskim” kołnierzu. Płaszcz mieli „stalowe”, rogatywki granatowe, z orzełkiem na tle tradycyjnego słońca, i tym słońcem przedłużali pamięć Szkoły Rycerskiej, o przedłużaniu pamięci powiedział mi Janek, zanim doszliśmy do Śniadeckich. Chłopcy z korpusu znali się na fasonie, wiedzieli, co to fason, i uważali się za wielkich „pistoletów”. Byli wysoko notowani wśród panien sklepowych, szczególnie uczulonych na wojskowe wdzięki. Tylko kolejarze psioczyli, bo wagony kadeckie nie różniły się niczym od wagonów zwykłych urlopników. Stryj, opierając się na swym przebogatym doświadczeniu wojskowym, powtarzał często: „Dobry żołnierz, jak się napije (a jak wojskowy nie uchla się, to nie wie, że dzień minął), siada na konia, a nie pcha się do pociągu. Na koniu albo wytrzeźwieje, albo zaśnie i zleci z siodła. Jeżeli wytrzeźwieje, nie ma o czym gadać; jeżeli spadnie, to prześpi się na świeżym powietrzu i wnet odzyska władzę nad mową i członkami. Kolej - mówił stryj - za prędko dowozi na miejsce, ani się wyspać, ani wytrzeźwieć. I duchota okropna w pociągu. A jak nie duchota, to takie przeciągi, że szyja skręca się w powrót”.

Szedłem obok Janka, niby nic się nie zmieniło, czułem się jednak jak bardzo biedny żebrak pod murami wspaniałego pałacu. Bo i mundur, i Znakomicy Poprzednicy. Niedużo brakowało, żeby Janek nazwał Kościuszkę, Kniaziewiczą lub Niemcewicza kolegą ze starszej kompanii. Ogłuszyli Żopa Szkołą Rycerską.

Doszliśmy wreszcie na Marszałkowską 52, do małego sklepu obok ulicy ks. Skorupki. Wchodziło się z bramy, pod szyldem „Z. Karp, magazyn ozdób i wytwórnia czapek wojskowych”. Blask bił w oczy, tyle w środku było świecidełek, błyskotek, kolorowych wstążek i barwnych otoków. Zza lady podniósł się ku nam szlachcic zaściankowy z nosem jak kozacka „szaszka”. Po wstępnych grzecznościach subiekt cmoknął soczyście i spytał:

- Pilotkie?

- Z włoskim daszkiem - powiedział Żop imponującym basem.

„Pilotka”, czyli rogatywka skrojona według lotniczej mody (lotnicy nosili jeszcze rogatywki z żółtym otokiem), różniła się od „fasowanego kubła” tak, jak modelka różni się od przekupki z Żelaznej Bramy. Boczne rogi krótkie, ledwo widoczne. Róg tylny wyciągnięty i długi. Daszek mały, stromo opadający na nos, zgrabniutki. Boże, jaka śliczna czapka!

- Poproszę jeszcze o szalik. Jedwabny, w pomarańczowym odcieniu.

- Oczywiście, oczywiście... - kupiec znów zacmokał i położył na ladzie kawałek jedwabiu barwy mandarynki.

Rozglądałem się na wszystkie strony, ale w pięknym sklepie nie było nic dla mnie. Opłaciła się Jasiowi strzelanina ze straszaka.

Żop wyciągnął portmonetkę i zapytał, ile się należy. Sprzedawca lekko się skrzywił, jakby go coś zabolalo. Sięgnął do pudła po jakieś chromowane blaszki.

- Pan kadet chce po Warszawie chodzić bez strzemiączek?

Jasio poczerwieniał jak otok łapiduchów.

- Bardzo panu dziękuję. Niech pan da strzemiączka.

Żop zasalutował, pstryknąłem palcami w daszek cyklistówki, subiekt się polecił.

- I po co to wszystko? Pomarańczowy szalik, białe rękawiczki, strzemiączka... Byłe żandarm zapędzi cię do bramy!

- Żandarmi biorą pieniądze za łapanie. Oni są od przepisów, a my od fasonu. Co ty tam wiesz...

- Okropne życie - łgałem udając szczere współczucie. - Kościuszkę moczył nogi w zimnej wodzie, żeby nie zasnąć nad książką, a tobie ręka odpadnie na głównej ulicy. Uważaj, znów ktoś idzie! Przepraszam, to tylko listonosz.

Na Marszałkowskiej aż zielono było od mundurów. Janek z powagą trząsał w daszek. Byłby jeszcze szczęśliwszy, gdyby zobaczył kilku weteranów sześćdziesiątego trzeciego roku. Weteranom oddawali honory kadeci, oficerowie i harcerze. Przed weteranem każdy uczeń, choćby to głąb był i zakata klasy,

zrywał czapkę z głowy. Dobre maniery były wtedy w cenie. Gesty znaczyły często więcej niż pieniądze. Kto z Polską chciał się dogadać, celował w narodowe serce.

Pogwizdując wesoło, szedłem obok przyjaciela. Cyklistówkę nacisnąłem z fasonem na prawe oko, ręce wbiłem w kieszenie, lecz bardzo krótko cieszyłem się cywilną wolnością. Dobrze znana postać wylazła zza rogu. Zdążyłem zdjąć cyklistówkę i ukryć pod pachą.

- Przed kim czapkujesz? Co to znów za łajza?

- Przecież to Monter! Janek, nasz dyrektor!

- Twarz pospolita, trudna do zapamiętania. Nie zakładaj czapki, idzie znów jakiś dziad po prośbie. Dlaczego zabraniają wam nosić cyklistówki? Cała łobuzeria nosi i nikt się nie czepia. Dziwne.

Milczałem ugodzony do żywego. Ojciec nazywał cyklistówkę „kępką”. Później, kiedy Wołomin z Grójcem zjechał do Warszawy, „kaszkiety” wyparł cyklistówkę. Wypchane gazetami kaszkiety zaczęły straszyć po ulicach, a w warszawskiej mowie pojawiło się nie słyszane przedtem „miensko”. Cyklistówka otwierała drogę na filmy „dozwolone od lat szesnastu”. Chłopiec o subtelniejszych zainteresowaniach artystycznych musiał mieć odpowiednio przekonywającą czapkę. Kasjerki śmiały się przebierańcom w nos. Bileterzy kasowali bilety, patrząc w sufit. Kina żyły wtedy z biletów. Planowany deficyt dopiero wybierał się w drogę. Każdy klient był dobry, nawet taki jak ja, z huzarskim marsem na dziecinnej gębie. Nasi profesorowie zachowywali się taktownie. Pewnego wieczoru, wychodząc z „Capitolu” (chyba po „Poganinie” z Ramonem Novarro), natknąłem się na Alojzego. Ponieważ ukochany łacinnik był z kobietą, całe serce włożyłem w elegancki ukłon. Następnego dnia Alojzy zatrzymał mnie na korytarzu: „Nie ośmieszaj się, w takiej czapce każdy wygląda jak skończony idiota”. Niestety, jeszcze parę lat musiałem korzystać z usług kraciastej cyklistówki. Kochany Alojzy (Alojzego uwielbiała cała buda) nie miał jednak racji. Gdybym przyprawił sobie czarną brodę, wyglądałbym jeszcze bardziej głupio. Anna Csillag zachwalała środek na włosy do pięt, doktor Kemeny z Cieszyna obiecywał „przepiękny biust i jędrne łydki” za jedne trzy złote (cały pakiet pięć złotych). Specyfiku na „dorosłą twarz” nie reklamował nikt. Razem z wieloma rówieśnikami skazany byłem na cierpliwość. Co pewien czas ogarniało mnie przerażenie. Stawałem przed lustrem i zamartwiałem się pytaniem: czy nie jestem opóźniony w rozwoju? Tak się śpieszyłem do życia, że najchętniej ominąłbym wszystkie klasy. Cyklistówka wisiaby spokojnie na wieszaku, a ja, z maturą w ręku, chodziłbym na wszystkie niedozwolone filmy.

Wracając z Jankiem, postanowiłem twardo: odstążyć wojsko na ochotnika, zaraz po maturze. Kupię u Karpia czapkę i jedwabny szalik. W jakim kolorze? Nie byłem jeszcze zdecydowany. Na granatowy nie miałem ochoty. Granatowe otoki nosiła piechota, „królowa broni”, o której mówiono: „niech Bóg broni” i że „hołota, bo na konia siada z płota”. Do saperów też mało kto się pchał na ochotnika. Otoki czarne i życie jak noc, saper ciągle sapie. Kawaleria biła wszystkie bronie bogactwem kolorów i bukietem pułkowych proporczyków. Dla 13 pułku Ułanów Wileńskich sprowadzono różowe sukno aż z Czechosłowacji, bo żadna krajowa fabryka nie mogła utrafić we właściwy odcień. Stryj był za kawalerią: „Co ty po opłotkach uganiać się będziesz z jaszczykami? Szabla w dłoni, koń pod siodłem, ot, co się w życiu liczy”. Tradycja budy popychała mnie w stronę Włodzimierza Wołyńskiego. Pewną rolę w wyborze broni odegrała Marysia. Dzięki niej zielony kolor uznałem za najpiękniejszą barwę świata. W pewnym momencie Marysia podała mi pomocną dłoń i uwolniwszy od dokuczliwych niepokojów, doprowadziła do rogatywki z zielonym, artyleryjskim otokiem.

Janek na dobre zakotwiczył się w korpusie. Przepychał się z kompanii do kompanii zmierzając do wciąż odległej „matury wojskowej”. W tym czasie zmieniliśmy parokrotnie mieszkanie. Najpierw z Kolonii na ulicę Mochnackiego za Domem Akademickim. Potem na Raszyńską. Z Raszyńskiej na róg Żurawiej i Kruczej, nad hałaśliwą knajpę „Narcyz”. Z lat gimnazjalnych datuje się sentyment do południowych dzielnic miasta. W każdym lesie są miejsca (las bez grzybów - żaden las) grzybowe i jałowizny, na których muchomory nudzą się jak mopsy. Podobnie w mieście. Tu coś znajdziesz, tam - obcasy zedrzesz i nic nie wychodzisz.

Marysia wbiła mi zielony kolor w głowę, ale mieszkanie na Raszyńskiej nie przyniosło uczniowskiego szczęścia. Obląłem maturę. Wypatroszona do gołego sukna, piękna, przefasonowana czapka musiała służyć o cały rok dłużej. Solidny haft, skopiowany ze znaczka skautów belgijskich, obrzydł mi do szczytu. Dochodziłem budę w kapeluszu i szerokich, prawie marynarskich spodniach. Taka wtedy panowała moda, że czubek buta ledwo wysuwał nos spod zaprasowanego na żyłkę kantu. Brudne, rozkudłane głowy, brody utyłane w zupie i nie domyte szyje były wówczas na młodzieżowym indeksie. Według moich obliczeń na przedwojenną nogę przypadało dwa razy więcej wody i mydła niż obecnie. Tak więc śmieszna moda miała swoje dobre strony. Panny myły się starannie i na dystans trzymały zapyziałych brudasów.

Mówiło się potem, że do artylerii poszedłem na złość Malajowi. Akurat, kiszka z grochem! Wstydzilem się owijaczy i kusych płaszczy, w których „zające” zjeżdżały na urlop. „No, tii - mówiła Marysia miękko, jak na mokotowiankę przystało - jedź już do tej artylerii, tylko nie zabij się z armaty. I nie chłaj z dziewczuchami, bo wiesz, jak jest...” Wyjeżdżałem zaopatrzonej w „zielone błyski” na cały okres rekrucki. „Może ci wystarczy”. Przysięgałem, że wystarczy na pewno. Przyjazdu Marysi nie brałem w ogóle pod uwagę. Koleje były drogie, tryb życia bardziej osiadły, dzisiejsze „blisko” to przecież wczorajsze „bardzo daleko”. Nikt nie czekał na tramwaj, żeby przejechać dwa przystanki, i nikt lekkomyślnie nie ruszał w obce strony.

Pociąg odchodził wieczorem. Kto był na dworcu? Janek ubijał ziemię na kursie unitarnym, poprzedzającym podchorążówkę lotnictwa. Reszta to postacie z innych rozdziałów. „Figa” należy do wiślanych rejsów kajakiem „Aviosyn”, „Myszka” do zwariowanej bieżaniny po warszawskich kinach. Roman, jedyny człowiek, z którym chciałbym pogadać od czasu do czasu, wojował na manewrach ze swoim pułkiem strzelców konnych. Zresztą Roman to też osobny rozdział, najtrudniejszy do napisania. Rozmów z Romanem brak mi coraz częściej.

Marysia przysłała tuż przed odjazdem. Uniknęliśmy tradycyjnej sceny dworcowej i głupawych min. Bez ceregieli rozbiła towarzyskie kółko i odciągnęła mnie na bok. „Pisz, tam w wojsku listy są cholernie ważne”. Co to jest? Ścisnąłem drobiazg palcami, coś zaszeleściło w papierze. Włosy... „No ty, siadaj, pojedą bez ciebie.”

W sąsiednim przedziale zastałem Stasia. On już po studiach, ja ledwo zdążyłem się zapisać na prawo. Jechaliśmy na Lublin, Chełm, Kowel. Staś był dobrej myśli. Artyleria, mówił, broń solidna. Wszystko ułoży się pomyślnie. Na każdej stacji sprawdzał, czy jedziemy zgodnie z rozkładem. Kolej funkcjonowała bez pudła. Staś kiwał głową, snuł cywilne plany na wojskowe jutro.

- Przyjedziemy wcześniej rano. Ponieważ w koszarach mamy się stawić o ósmej, pójdziemy do hotelu. Kąpiel, golenie i porządne śniadanie. Za pięć ósma zastukamy do bramy SPRA. Na wszelki wypadek

ściąłem włosy i bardzo się dziwię, że ty wiesz do Włodzimierza cywilną fryzurę. Któż wie, co to za jedni ci włodziemscy fryzjerzy wojskowi.

Przyjechaliśmy punktualnie. Ranek był ciepły, pogodny. Stacja prezentowała się skromnie, ale sympatycznie.

- Jak w banku. Tak być powinno, od tego jest kolej - powiedział Staś sprawdzwszy czas z notatką w notesiku. - Zobacz no, jak tam z dorożkami, ja funduję. W hotelu zwrócisz mi połowę. Na spaceru szkoda czasu.

Pociąg sapnął parę razy, zgrzytnął hamulcami i zatrzymał się na stacji.

- Dorożki są...

- A, to świetnie, wysiadajmy... - Staś sięgnął po walizkę i odruchowo pogładził ogoloną na zero głowę.

Mimo wczesnej pory peron nie był pusty. Podoficerowie przy szablach i z opuszczonymi pod brodę podpinkami zbliżyli się do wagonów. Patrol żandarmerii ustawił się malowniczą grupą - ceglaste otoki i jaskrawożółte akselbanty - na tle wyjścia z peronu do miasta. Tubalne nawoływania zmusiły nas do rewizji powziętych planów. Sytuacja wyjaśniła się w dość prędkim tempie.

- Proszę panów do czwórek! Prosimy bliżej, prosimy! Tu jest jeszcze miejsce wolne. Panie kolego, do kogo mówię, do słupa? Pan widzi mój palec? Tu stanąć, tu.

- A, do licha, mój plan w proszku - wystękał Staś. - Gospodarze zatroszczyli się o wszystko. Trzymajmy się razem. Hej, gdzie jesteście?

Nic więcej nie zostało do zrobienia. Po kwadransie maszerowaliśmy w kierunku koszar. Z wyboistej drogi podnosił się lepki pył. Szliśmy i szliśmy. Koszary leżały za miastem, gdzieś na krańcu świata. Kolumna człapała bez pośpiechu, swobodnie. Rozmawiano głośno, palono papierosy. Gospodarze uśmiechali się dobrodusznie. Co jakiś czas zagadywali pogodnie:

- Lepiej nie palić w szeregu, serce się od tego psuje... Wyście są mańkut? Wszyscy lewą, a pan prawą. Człowiek potknąłby się już piętnaście razy.

- Dowcipny z pana facet, panie sierżancie!... - roześmiał się dryblas w jaskrawym krawacie.

- W artylerii nie ma sierżantów, są og Niemistrze - podoficer odpowiedział takim tonem, że pół kolumny odwróciło głowę. Niektórzy cisnęli nie dopalone papierosy. Do koszar było już bliżej niż dalej.

Wkrótce zobaczyliśmy koszary. Po prawej stronie mieszkał pułk piechoty, po lewej - szkoła. Całe miasto. Budynki z brudnoczerwonej cegły, nakryte blaszanymi dachami. Ogólne wrażenie raczej ujemne. Staś się zdziwił.

- Co to, stajnie?

- Akurat. Widziałeś piętrowe stajnie?

Wartownicy otworzyli bramę. Po przejściu kolumny zamknęły wrota na cztery spusty.

- Żegnajcie, kobiety!... - krzyknął ktoś piskliwym głosem.

- Już nas mają... - dodał ktoś inny rzeczowo.

- Co tam było napisane nad bramą? - spytał Staś dyskretnym szeptem.

- Nie zauważyłem. Zagapiłem się na nowe mieszkanie.

Żandarmi postali chwilę przed bramą, potem zawrócili i wolnym krokiem odeszli do miasta. Podoficerowie przestali się uśmiechać. Zdecydowani, okrzykami kierowali przybyłych do budynku komendy szkoły. Tam dzielono nowy rocznik na dyony i baterie.

- Trzymajmy się razem - powiedziałem. - Trzymajmy się, Stasiu, bo się pogubimy na amen.

Sytuacja wyjaśniała się coraz prędzej. Postawny major, z kolekcją baretok nad kieszenią, zachwalał III Dyon. Wydawał kartki z cyframi 7, 8, 9.

- Wygląda solidnie. Pchajmy się do niego. Chudzielec może obrzydzić życie. Tęgiemu obrzydzanie się znudzi...

- Co tak nagle, z pieca na łeb? Zastanówmy się chwileczkę. Trzeba... - Staś nie dokończył, bo jeden z gospodarzy popchnął nas do stolika majora.

- Panie majorze, w której baterii jest szefem starszy ogniomistrz Szypuliński? - dopytywał się dryblas w jaskrawym krawacie.

- W siódmej, kolego - major uśmiechnął się i podał dryblasowi kartkę.

Dryblas spojrział i jęknął.

- Siódma... Rany boskie!

W chwilę później jęknął jeszcze głośniejsze, bo w „dowcipnym facecie” rozpoznał groźnego Szypulińskiego, postrach włódimierskiej szkoły.

Dostałem ósemkę. Staś chytrze przepuścił dwie kolejki i otrzymał przydział do tej samej baterii. Wskazali nam gospodarze budynek przypominający wielką stajnię. Poszliśmy tam kupą. Ci z siódmej wlekli się na końcu. Klęli pecha i zazdrościli nam, z ósmej.

- Ósma to pensjonat. W siódmej Szypuliński uczy chodzić na uszach i skakać na rzęsach. Wstawia globusy, przepuszcza przez maszynkę, wkręca propellery.

O dziewiątej mówiono ni tak, ni siak. Miała to być bateria, jakich wiele, ani dobra, ani zła. Okazało się jednak, że tej jesieni „pensjonat” ulokował się nie w ósmej, lecz na parterze, w dziewiątej.

Dla uspokojenia samego siebie tłumaczyłem Stasiowi, że trafiliśmy świetnie i że na wojskowej loterii wyciągnęliśmy właściwy los.

- W artylerii konnej sami ustosunkowani i typki z poparciem. Nie dla nas to kompania, choć dywizjony konne zadają szyku i uważają się za gwardię. A cóż miłego mogłoby spotkać ciebie lub mnie w bateriach ciężkich? Ani elegancji, ani przyjemności. Pac, pac, pac i nic więcej. W pacu można życie

przekląć i własne urodziny. Obsługa za działem człapie na piechotę jak smutni karawaniarze. Cywile na widok ciężkiej baterii zdejmują kapelusze, myślą, że pogrzeb wojskowy przeciąga ulicą.

Tak, Stasiu, lekka artyleria najlepsza. Lekkie armaty wygrały Wielką Wojnę. Ciężka armata to jak zapasiona baba, której o własnych siłach nie przekręcisz na drugi bok. Chciałbyś z taką żyć?

- Nie wysilaj się na dowcipy. Nie przyjechałem się żenić. Halo, proszę pana, którędy do baterii ósmej? Na prawo? Dziękuję. Co proszę? Ależ tak, oczywiście, możemy iść prędzej.

Z jednej strony dywizyjnego bloku była jadalnia. Nad jadalnią mieszkała siódma. Z drugiej strony na parterze dziewiąta, na piętrze ósma.

Szef baterii, starszy ogniomistrz Bona, czekał u szczytu schodów. Za szefem stali sławni pedagodzy: ogniomistrz Całus, plutonowy Andrzejak i kapral Bombała. Nie wzbudziliśmy entuzjazmu. Całus mówił do szefa, nie krępując się naszą obecnością:

- Gorsze, dużo gorsze... Zeszłego roku były lepsze. Jeszcze jeden rudy! Skąd się te rude biorą? Konie nam będą płoszyć, panie starszy ogniomistrzu. Co tak te nosy na dół? Schody czyste! Nosy do góry!

- Nie pomieszczą się w skarbowych sortach. Nogi mają jak złodzieje, za przeproszeniem, z Podola. Buty nie na nich szyte - martwił się plutonowy Andrzejak.

Szef nic nie mówił. Bystro zaglądał w twarze i kręcił nosem, jakby nowy rocznik śmierdział zdechłym szczurem.

Kapral Bombała zacierał ręce. Uśmiechał się do nas i sapał. Patrzył tak, jakby na górę szły dorodne panny, ubrane tylko w słomkowe kapelusze. Tych, co z papierosem wchodzili na salę-, Bombała pytał o nazwisko.

- Przypominacie mi kogoś...

Pamięć miał znakomitą. Bez zająknięcia recytował całe stronicy regulaminów i instrukcji. Wyliczał jednym tchem najdrobniejsze części armaty 75, kbk, haubicy 100 i lkm „Maxim 08/15”. Dziwiło Bombałę, że kanonier z cenzusem potyka się na tak oczywistym określeniu jak „zawlecza przewleccki zatyczki osi węża wyrzutnika”. Świetną miał pamięć i nam chciał zafundować podobną. Troszczył się również o głos, bo „żołnierz bez głosu, to baba z asparagusem w majtkach”. Odśaniając w uśmiechu duże, białe zęby powtarzał zbyt często: „Nie słyszę was, żołnierzu z polską maturą”. Trzeba przyznać, że z głębi blaszanego pieca głos dochodził kiepsko. „Zróbcie dziesięć przysiadów, żeby krew się przepompowała z tyłka do głowy.” Kilku mniej pojętnych przeniosło się do piechoty po okresie rekruckim. „Nie polubiły ich konie” - tłumaczył baterii Bombała. Dziwnym zbiegiem okoliczności rozstali się z artylerią przede wszystkim ci, których Bombała pierwszego dnia pytał o nazwisko.

Powiedziałem szefowi „dzień dobry” i tuż za Stasiem przekroczyłem próg nowego mieszkania. W pierwszej chwili wydało mi się ogromne. Była to wielka hala, której część najbliższa schodów tworzyła „salę wykładową” z ławkami, tablicą i stojakami na karabinki. Dalej mieściła się sypialnia podzielona przegrodami z wysokich szafek, ustawionych jedna przy drugiej, na pomieszczenia działonów. Przez całą długość „rejonu” biegło szerokie przejście, zamknięte ścianą dzielącą nas od siódmej. Do granicznego muru przylegały trzy klitki: magazyn broni, palarnia i magazyn mundurowy, czyli „gaciownia”, królestwo plutonowego Andrzejaka. Na rozglądanie się brakowało czasu. Ledwie

znalazłem wolne łóżko i położyłem walizkę, szef przypomniał, że nie przyjechaliśmy na opowiadanie „Maćkowych glind”. Śniadanie, fryzjer, łaźnia. Taki zaproponował nam program na najbliższą godzinę.

Do jadalni trafiliśmy bez pytania o drogę. Wypiłem kawę i zwróciłem uwagę Stasia na obfite porcje białego i czarnego chleba.

- Artylerzystom dopisuje apetyt. Jedz, Stasiu, wbij choć kromkę. Wstyd zostawiać. Stoły zavalone chlebem.

Nie wiedzieliśmy, że chleb fasuje się rano na cały dzień. Rekrut w pułku dostawał 1600 g chleba dziennie. W szkole też dawali sporo. Staś, oswiały i milczący, gryźł komiśniak z coraz bardziej chmurną miną. Ogłuszający krzyk odebrał i mnie resztki apetytu.

- Siódma na górę!

Kilkudziesięciu facetom kubki wypadły z ręki. Koledzy zerwali się od stołów i jak wariaci popędzili w kierunku schodów. Plutonowy, który w jadalni pilnował porządku, podszedł do nas.

- Szypuliński zawsze zaczyna pierwszy. Idźcie już, panowie, do siebie. Ogniomistrz Całus pewnie też się niecierpliwi.

Tego samego dnia podzielił nas szef na działony. Staś powędrował na prawo, a ja na lewo. Andrzejak zasypał nas stosem „klamotów” i „maneli”. Upychałem majdan do szafki, gdy zza ściany doleciały rytmiczne, dziwne odgłosy. W siódmej huczało, jakby ktoś drewnianą „babą” ubijał klepisko. Wszyscy nastawili ucha. W wojsku, jeśli coś dzieje się obok, to za chwilę będzie się działo w dziesięciu innych miejscach.

- Słysząc u sąsiada, jak siódma siada - powiedział chudzielec, którego szafka sąsiadowała z moją. - Zaczyna się, proszę pana. Ale tłucze nimi, co?

- Ciekawe, z czego zrobiona podłoga? Czym ją tu smarują? Czy pan czuje obrzydliwy smród?

Wymieniliśmy kilka uwag na temat wojska i spraw ściśle związanych z nowym otoczeniem. W pewnym momencie zastanowiła mnie cisza. Odwracam głowę: szef o parę kroków. Stoi i patrzy. No, cóż...

- Na dpę siad!!!

Cała bateria siadała razem z nami. Kiedy szło to już dosyć sprawnie, szef powiedział:

- Podłogę, serdeńko, smaruje się pyłochłonem. Powstań, robić dalej.

- Wie pan co - mruknął sąsiad - mówmy sobie po imieniu. Józio jestem, z Żoliborza. No, tak. Zaczęło się...

Byliśmy jednak w błędzie. Zaczęło się na dobre, gdy spadły pierwsze deszcze. Plucha zmieniała rejon koszar w czarne, połyskujące wodą trzęsawisko. O krok od brukowanej drogi buty zostawały w błocie. Kląłem czarnoziem wołyński dosadniej i częściej niż Napoleon podczas pochodu na Moskwę.

Na tylnej ścianie szafki odkryłem wśród napisów, pozostawionych przez poprzedników, sentencję godną uwagi: „Od konia nigdy nie jest za daleko”. Nie wiedziałem, że z pułków i dyonów

powypychano do szkół bestie złośliwe, kopiające, narowiste i rozhisteryzowane. Czekałem więc spokojnie na uroczystą chwilę, czyli na prezentację nowego rocznika miejscowym koniom.

Rogatywka z wymarżonym zielonym otokiem wisiła spokojnie w szafce. Zaprzyjaźniłem się z Józkiem i Markiem Proteźnikiem. Staś żył zajęciami swego plutonu. Spotykaliśmy się rzadziej niż w Warszawie, choć mieszkał dosłownie o kilka kroków.

Pewnego dnia pomaszerowaliśmy do stajni III Dyonu. Dwójkami weszliśmy do środka. Padły komendy: „Lewy rząd w lewo zwrot, prawy rząd w prawo zwrot”. Konie zerkały ciekawie i doświadczonym okiem taksowały nowe twarze. Przede mną piętrzył się ogromny, czarny zad. Wielkie konisko przyglądało mi się spod sennie opuszczonej powieki. Nad stanowiskiem wisiła tabliczka: „AZBEST, 1929 r.” Zaintrygowały mnie czerwone wstążki wplecione w ogon i grzywę Azbesta.

- Panie plutonowy, kanonier z cenzusem zapytuje posłusznie, co znaczą czerwone wstążki?

Inne konie wstążek nie miały, więc pytanie było całkowicie uzasadnione. Podoficer zaprzęgowy zachłysnął się moją naiwnością.

- Macie szczęście. Trafił się wam oficerski koń.

Jak na wierzchowca Azbest był trochę za tęgi. Przypominał budową konie rozwijające piwo. Kopyta wielkości dorodnych słoneczników od razu wpadły w oko. Wszedłem jednak śmiało, poklepałem kare bydlę po szyi i poczęstowałem kostką cukru. W chwilę później kazano siodłać konie. Zdjąłem rząd z wieszaka, ująłem oburącz i trzymając przed sobą tak, jak regulamin uczy, ruszyłem do konia.

- Nastąp się, Azbest!

Krzyknąłem ostro, żeby wiedział, z kim będzie miał do czynienia. Azbest stał, niedbale przechylony na prawy bok. Nagle błysnęło kopyto i w tej samej chwili zderzyłem się z rozpędzoną lokomotywą.

Oprzytomniałem na korytarzu. Plutonowy polewał mi twarz wodą z cebrzyka. Porucznik, instruktor konnej jazdy, dopytywał się zdenerwowanym głosem, co się, do ciężkiej francy, znowu stało?

- Nic, panie poruczniku. Uczeń uderzył się głową o podłogę. Trochę go zamroczyło. Już gębą rusza, oczy otwiera. Widzicie, jaki regulamin mądry? Gdybyście siodło trzymali nieprzepisowo, wyrobiłby wam Azbest taką kategorię, że do Sądu Ostatecznego mielibyście spokój. Co wy tak leżycie? Powstań!

-Tak jest! - krzyknąłem zrywając się na nogi.

W taki oto sposób dowiedziałem się, że wstążka w grzywie znaczy: „gryzie”, wstążka w ogonie: „bije”, a wstążki tu i tam oznaczają, że „bije i gryzie”. Po nauce wchodziłem do Azbesta przez sąsiednie stanowisko, gdzie stał anioł w końskim ciele, kasztan z białą strzałką, imieniem Ananas. Po świętach zmieniono konie. Dostałem Ananasa i rozplakałem się ze szczęścia.

Azbest, siodłowy z dyszlowej pary pierwszego działu, dał mi szkołę, przy której zbladły emocje wywoływane klasówkami z matematyki. Podczas czyszczenia spinałem (proceder surowo zakazany!) Azbestowi lewą przednią nogę pasem. Na trzech nogach nie mógł ani kopać, ani bić. Wykorzystywał jednak każdą okazję, żeby mnie capnąć zębami. Plecy i niżej pokryły się sińcami wielkości bakłażanów. Gdybym wdał się w romansik z pierwszą sadystką wśród wiedźm tysogórskich, złąziłbym z kija chyba

mniej poturbowany. Podczas ćwiczeń nocnych, kiedy szliśmy, prowadząc konie w rękę, Azbest uparcie udawał zaspanego. Niby przez sen starał się postawić kopyto na mojej prawej stopie. Kłamię, płakałem z bezsilnej złości, waliłem artyleryjskim batem, przekupywałem cukrem, zaklinałem na pamięć przodków spod Somosierry i tych z powstania. Nie pomagało nic. Uparło się czarne bydło, żeby mnie zgnoić i zniszczyć... Nie pamiętam bioder dziewczyny, w której pierwszy raz zakochałem się skutecznie „na śmierć i życie”, ale czarny zad Azbesta jeszcze dziś widzę tak wyraźnie, jakbym przed kwadransem wyszedł z włodzimierskiej stajni. Sentencję o biodrach dziewczyny i zadzie Azbesta dopisałem do złotych myśli figurujących na szafce.

Marysia pisała regularnie. Listy były długie i rzeczowe, były takie, na jakie się czeka w wojsku. Włodzimierskie panny wierciły się niespokojnie, a nam sypano coraz większe porcje sody do kawy i do zupy.

Błoto, błoto!... Jedną za drugą zdierałem ryżowe szczotki, którymi z grubsza czyściło się buty. W czasie jesiennych roztopów czyszczenie butów wysunęło się przed wszystkie inne zajęcia. Nawet przed „prasowanie” łózek.

Rano, kiedy piechota smacznie śpi, działony służbowe zrywają się z łózek, ubierają się w alarmowym tempie i biegną do stajni. Dzień się zaczyna od zgrzebła i szczotki. Pracuję w pocie czoła, żeby wystukać z konia trzydzieści sześć kresek. Konie czyści się szczotką, szczotkę czyści się o zgrzebło. To, co zostanie na zgrzeble, wystukuje się na kamienną podłogę korytarza stajni. Po kreskach - obrokowanie. Najmilsza chwila dnia. Spokój, cisza.

Jednostajny chrobot przeżuwanego owsa, pobrzękiwanie łańcuchów. Gdyby w tej chwili sam marszałek wszedł do stajni, nikt nie strzeli obcasami i nie wrzaśnie „Bacność”. Cisza, spokój, konie jedzą! Stajnia nie jadalnia... Oparty o żłób, trzymam Azbesta za kantar, żeby nie rozsypywał skarbowego owsa. Drzemię, dosypiam, marzę. Wyobrażam sobie najmilsze, na jakie tylko stać wyobraźnię, sytuacje cywilne i urlopowe. Gwiżdże lokomotywa, konduktorzy wołają „Warszawa Główna, Zieliński wyskakiwać!” Wyskakuję i pędzę do domu. Rola Marysi w tych wizjach jest dość skomplikowana i do powtórzenia trudna. A potem, cicho dzwoniąc ostrogami, maszeruję do budy na Polną, żeby pokazać się w mundurze, zamienić parę słów z panem Piotrem i udowodnić Malajowi, że w pięciocyfrowych artyleryjskich tablicach logarytmicznych czytam jak w otwartej księdze.

- Koniec, wychodzić. W dwuszeregu zbiórka.

Pryska złoty sen. Zamiast biustu Marysi, pod nosem grzywa Azbesta. Wracamy biegiem. Bateria już wstała, więc teraz mycie, golenie, ślanie łózek i pierwsze czyszczenie butów. Potem idziemy na śniadanie. Po śniadaniu doczyszczamy buty, bo zaraz ranny apel i odmarsz na zajęcia. Wracamy w południe. Poprawiamy łóżka, chowamy ręczniki suszące się na zagłówkach, czyścimy buty i maszerujemy na drugie śniadanie, na sławne włodzimierskie „granaty”, czyli kotlety z grochem. Z jednego kotleta można śmiało wykroić pięć stołówkowych obiadów, ale nikt nad talerzem nie siedzi długo. Jemy szybko, bo po „granatach” znów trzeba trochę wyglansować buty. Znowu zajęcia i powrót na obiad poprzedzony oskrobaniem butów z grubej warstwy błota. Wieczorna zbiórka z rozkazem i modlitwą zamyka pracowity dzień. Czyścimy buty bardzo starannie. Ale Wielkie Czyszczenie Butów zaczyna się dopiero po komendzie „rozejść się”. Regulamin bateryjny powiada bezlitośnie: czyścić buty można przed budynkiem lub na schodach. Wychodzenie na dwór w ogóle nie wchodzi w rachubę. Świeżego powietrza mamy powyżej dziurek od nosa. Przedmuchani wiatrem,

tęsknimy do ciepłego smrodu i okien zabitych na głucho. Od smrodu nikt nie umarł, a na schodach grabieją ręce. Czyścimy więc buty na działonach. Uszy postawione, oczy rozbiegane, w sercu zajęcza łapa. Chwila nieuwagi i oto staję oko w oko ze starszym ogniomistrzem Boną.

Szef nosi ciche ostrogi i buty na gumie. Nie złości się i nie wrzeszczy. Kiwa ze smutkiem głową i pokazuje zainteresowanym pięć rozcapierzonych palców. Piątka oznacza pięć dni noszenia wody. Bo najdziwniejsza ze wszystkich urządzeń jest umywalnia bateryjna. Są w niej dwa kamionkowe koryta, lecz nie ma bieżącej wody. Nieznany wynalazca umieścił nad kamionkami koryta blaszane. Z nich przez otwory, zatkałe metalowymi „cyckami”, ciurka woda. Kto chce się umyć, musi głową lub ręką wepchnąć „cycek” do środka i tak trzymać, bo jak przestanie trzymać, „cycek” opada, zamyka otwór i - po siku. Koryta pojemne, w każdym dwanaście czubatych wiader. Pompa blisko, tuż przed wejściem do budynku. Noszenie wody należy do zajęć porządkowych, czyli do obowiązków luzaka przydzielonego z baterii ćwiczebnej. Nasz luzak roztył się wspaniale. Nie przyniósł chyba ani jednego wiadra wody. Buty i łóżka dostarczały regularnie nosiwodów. Ci trzęśli się nad każdą kroplą wody, odpędzali od „cycków”. Wieczorem rozlegały się w umywalni histeryczne krzyki: „Syreno śmierdząca, oszczędzaj wodę! Panowie, w sobotę kąpiel! Rany boskie, znowu myje nogi!” Umywalnia pusta. Ukarani noszeniem wody człapią do pompy i z powrotem. Klną i noszą. Noszą i sobaczą.

Wyczyszczone buty stawiam przed taboretem, na którym leży mundur i bielizna złożone w „kostkę”. Wieszam na cholewach onuce i pakuję się do łóżka. Zaraz capstrzyk, gaszenie światła. Koniec dnia, ale nie koniec zdrowych emocji. Zasypiam na jedno oko. Ciche kroki od razu wybijają mnie ze snu. Światło latarki przesuwają się wolno po łóżkach, taboretach i wyprężonych na baczność buciorach. Kapral Bombała w asyście służbowego przeprowadza inspekcję rejonu. Spod lekko uniesionych powiek obserwuję czynności Bombały. Kostka powinna mieć wymiary 25×30 cm. Kapral przykłada miarkę - mucha nie siada, kosteczka jak złoto. No, to Bombała bierze się za buty. Wyjmuje z kieszeni scyzoryk i szydełkiem zaczyna dłużyć między obcasami i podeszwą. Podeszwy lśnią, od cholew bija blask, ale na końcu szpikulca pojawia się bryła błota wielkości ziarenka maku. Bombała podtyka scyzoryk służbowemu pod nos.

- Błoto, fura gnoju... Służbowy, zapisać trzy krzyże... - kapral wydaje dyspozycje szeptem i na palcach odchodzi do następnego działonu.

Krzyż Bombały tyle wart, co palec szefa. Osiem dni noszenia wody mam jak w banku. Luzak przewraca się na drugi bok, a ja wciąż nasłuchuję. Bombała kręci się po sali wykładowej. Sprawdza iglice karabinków. Słucham, cały w potach. Może zapomniałem spuścić iglicę po czyszczeniu broni? Może jakieś bydlę strzeliło kretyńskim dowcipem? Bombała kolejno naciska języki spustowe karabinków. Cisza, cisza... Nagle dwa pstryknięcia. Chyba poza naszym działonem? Pstryknęto gdzieś w końcu stojaków.

Służbowy odmeldowuje się, Bombała już pobrzękuje ostrogami na schodach. Wyskakuję z łóżka. Pytam o numer 8616. Służbowy zerka na karteczkę.

- Nie, twego nie zapisał. Siadaj, pogadamy. Chcesz papierosa?

- Coś ty, chory?

Pędzę z powrotem do łóżka. Nareszcie zasypiam spokojnie. Napięta iglica kosztuje grubo drożej. Ceny różne. Od meldowania się w pełnym oporządzeniu do meldowania, się z parą koni u oficera służbowego szkoły. Do tego „koszarniak”, czyli pozbawienie przepustki.

Konie odpoczywają w czwartek. Dzień bez jazdy konnej, bez wołyżerki i bez ćwiczeń „baterii zaprzężonej”. Wojsko odpoczywa w niedzielę, o ile nie pełni służby wartowniczej. Rano, po niedzielnym śniadaniu, dziesięć szkolnych baterii wbija się w mundury i wiąże białe żaboty. Z malinowym dzwonieniem ostróg maszerujemy do kościółka na teren pułku piechoty. Ksiądz kapelan Michułko wita nas z ambony:

- Zaśpiewajcie, żeby się wam nie nudziło. Już się przebieram i zaraz zaczynamy.

Śpiewamy uczciwie. Trzeszczy sklepienie, święci na obrazach zatykają uszy. Modlimy się o przepustkę i o spokojny, następny tydzień. Kapelan nie przeciągał struny. Związał się przy ołtarzu i nie zanudzał kazaniem. Podobno zamordowali go w Katyniu. Kto by się wtedy spodziewał?

Po obiedzie ogarnia baterię świąteczne podniecenie. Przed bramą szkoły kolejka jak w Wielki Tydzień na Groby. Podoficer służbowy sprawdza płaszcze, szable, mundury, ostrogi, długość włosów, chustki do nosa, żaboty, skarpetki... Sprawdza dosłownie wszystko, nawet czy nogi czyste. Po godzinie, spocony jak mysz kościelna, wydostaje się za bramę. Szablę pod pachę i gnam za kolegami. Dorożkarze krzyczą:

- Pod „Strzechę”, do „Lubelskiej”, do „Krakowskiej”!... A może na Piaski, na Wiejską, żeby już mieć z głowy? Do mnie, do mnie, do mojego galopa!

Ba, sami jeszcze nie wiemy dokąd! Jechać czy iść? Namysłu rozstrzyga patrol żandarmerii. Kontrola dokumentów i rzeczowa rozmowa na temat regulaminu służby wewnętrznej urywa jeszcze jeden cenny kwadrans. Inni widząc, co się święci, skaczą w dryndy i galopem, z dzikim pokrzykiwaniem włodzimierskich bałagułów, pędzą do miasta na złamanie karku.

Włodzimierz wita otwartymi ramionami. Polecają się krawcy, szewcy, rymarze i felczerzy. Lokale odnowione, panie w odświętnych strojach. Większość ludności męskiej w regionalnych ubiorach: w czarnych sukmanach i czarnych czapeczkach z małym daszkiem. Starsi w lisich czapach i białych pończochach. Jedziemy, drynda zatacza się od rynsztoka do rynsztoka. Boże, Boże, co za frajda! Z wielu okien, zza firanek zgarniętych dłońią, kiwają przyjaźnie nieznanym panie. Czerwone szlafroczyki, niebieskie staniki, róże i bławatki, wykapany Paryż.

- Zatrzymać, natychmiast zatrzymać!

Zdławiony okrzyk ginie w turkocie kół na kocich łbach.

- Zatrzymać? Przerwać takiego galopa?

Dorożkarz śmieje się, ma procent od klienta, wiezie więc prosto do „Lubelskiej”. Nikt nie wysiada, mijamy Paryż z piekielnym hałasem.

A z chodnika znajomy głos.

- Halo, halo, wy też do cukierni? - woła Staś, schludny i opięty.

- Strzelaj! Co za pytanie! - krzyczy Józio.

Dorożkarz strzela z bata, lecz zaraz potem ostro ściąga lejce. Daleko przed nami czerwienią się żandarmskie otoki.

Włodzimierskie panie cieszyły się opinią skończonych piękności. Jak było naprawdę, któż to dziś pamięta? Do dziś żyją w anegdocie dla dorosłych i wiele osób podszywa się bezceremonialnie pod ich kresową fantazję. Zdarzało się, że o późnej porze gnały ulicą do koszar zapóźnione sanki lub drynda pędziła na złamanie karku. W dryndzie niewiasta w półkożuszk narzuconym na szlafrok, a pod baranicą zapomniana szabla. O rozwiąłości obyczajów niech opowiadają inni. W mojej pamięci utrwaliły się jedynie swoiste, wojskowo-damskie więzy koleżeńskie.

Włodzimierz Wołyński, niegdyś stolica obronna dzielnicy książęcej, sławny gród i pełen uroku. Był tam kiedyś zamek, było i biskupstwo. Miasto łupione przez Mongołów, Tatarów, Węgrów, Kozaków i wielu innych. Z dawnej tradycji ocalało wspomnienie „niejakiej Sadowskiej”, która własnym sumptem pobudowała kościół i klasztor jezuicki. Na tym tle wynikł spór z bazylianami, ale o co tam szło i kiedy to się wszystko działo, zabijcie, nie pamiętam.

W poniedziałek, od samej pobudki, brał baterię w obroty pan ogniomistrz Całus. Ogniomistrz wielką wagę przywiązywał do obrony przeciwlotniczej biernej. Maszeruje więc bateria drogą od kwater ku działonom i ujeżdżalniom. Maszerujemy, śpiewamy niedzielnym jeszcze trochę głosem. Artyleria uboga w piosenki. Lubimy pieśń nad pieśniami: „Bo całus to słodycz daktyla, on życie żołnierza umiła i słodzi, całują się starzy i młodzi, trzy, cztery!”, ale pan ogniomistrz piosenki nie kocha. Ryczymy: „A wtem Napoleon na Polaków skinął, trzy, cztery! Skoczył Koziętulski, w czwórki jazdę zwinął!” Niestety, niestety... Całus przerywa śpiew i mówi tak:

- Jak powiem „lotnik”, to te lewe rzędy za lewy rów. A te prawe rzędy - za prawy rów.

A za rowami, o metr od drogi, czarna, lepka bryja. Błoto po kolana. Raz padniesz i trzeba potem patykiem błoto wydłubywać z pępka.

- Lotnik!

Przeskakuję rów i walę się w rozkisty czarnoziem. Chłodnawa woda wlewa się za kołnierz. Całus, ręce założony z tyłu, przygląda się bez zachwyty.

- Co tak wolno? W czwórkach, w marszu, biegiem zbiórka! Lotnik! Głowy niżej do ziemi!
W czwórkach, w marszu, biegiem zbiórka!...

W tym samym czasie drugi nieprzyjacielski lotnik wleciał do rejonu baterii i zobaczywszy źle postane łóżka wyrzucił sienniki na schody. Przez całą przerwę śniadaniową bateria pryskała wodą i prasowała taboretami jako tako uładzone łóżka. Trzeci lotnik wdarł się w trakcie obiadu. Szef udawał zdziwionego. Poznaliśmy już słabość starszego ogniomistrza do sypialnianych porządków. Bywało, brał za róg pierwszy lepszy siennik i wychodził. Opamiętawszy się na parterze, wołał służbowego.

- Rób, serdeńko, zbiórkę. Zdaje się, że to z naszej baterii siennik.

Ledwie zdyszana bateria stanęła w dwuszeregu, szef za głowę się brał, zasłaniał oczy.

- Te muchy, te pszczoły... No, jakże się to takie małe nazywa? Skauty, harcerze? Zuchy! To te zuchy zbierają się prędzej od was. Na działony biegiem marsz! Na dpę siad!

Siadanie na schodach jest czynnością bardziej skomplikowaną, niż mogłoby się zdawać. No, a potem w kilkudziesięciu chłopów wnosiliśmy ten cholerny siennik i zamiataliśmy wszystko, co się do zamiecienia nadawało. Gdyby miotły skarbowe miały nieco dłuższe kije, szef kazałby zamiatać niebo nad budynkiem. Pełno brudnych, deszczowych i śnieżnych chmur kręciło się nad rejonem baterii.

Stwardniało błoto. Na ujeżdżalniach pojawiła się gruda. Spadł pierwszy wojskowy śnieg. Wkręciłem Azbestowi hacce. Przez monotonną równinę gnał lodowaty wichur z północnego wschodu. Zbrzydły koszary i domy cywilne. Zmarnieli nagle mieszkańcy sławnego Włodzimierza. Z jesiennego Paryża nie zostało śladu. Łata-szmata, mówiliśmy podczas ćwiczeń w terenie. Na wnioski brakło czasu.

Wychodziliśmy na zajęcia z nausznikami w kieszeni. Posłuszne prośby szef kwitował niebotycznym zdumieniem.

- Macie maturę i wam zimno? Co innego ja, prosty cham...

Całus nie lubił piosenki o daktylu, szefa irytowała inna: „Miałeś, chamie, złoty róg...”

Wiatr hulał również w nocy. Przycichał dopiero nad ranem, by po śniadaniu uderzyć z nowym zapasem energii. Pod kocami kostniały nogi i płyn w człowieku podmarzał. Ogromne, czarne piece rozgrzewały się prędko i jeszcze prędzej stygły. Piece wojskowe służyły przede wszystkim do czyszczenia. Jeśli który grzał, dziwiono się wielce. Piec powinien się świecić, koszary nie łaźnia i nie oranżeria. Kto ma pretensje, niech pisze do cara, bo to po jego Kozakach dostały się nam budynki i piece. Kiedy mróz zaczął nadciągać, pakowaliśmy między koce płaszczy, a na siebie kałesony. Niestety, spanie w kałesonach było ciężkim wykroczeniem przeciwko regulaminowi. Porucznik Józefczak z dziewiątej baterii miał na punkcie kałesonów nieszkodliwego bzika. Kiedy na Józefczaka wypadła służba oficera inspekcyjnego dyonu, trzy baterie pękały ze śmiechu od rana. Porucznik zjawiał się milczkiem. Od połowy schodów psykał na służbowego i palec ostrzegawczo kładł na ustach: nie waź się meldować głośno, bo... Służbowy wzdychał, Józefczak na paluszkach wsuwał się na salę. Nie obchodziły go ani iglice, ani kostki, ani buty. Polował tylko na gacie. Dyskretnie zaglądał pod koce. Nic, nic... I raptem radość od ucha do ucha.

- Gacie, jak Boga kocham, gacie! - piskał wniebowzięty Józefczak i dyrygował służbowym: - Aniołku, zapalaj światło!

Służbowy przekręcał kontakt. Józefczak budził ofiarę. Kanonier z cenzusem ścigał gacie i wskakiwał w buty.

- Trzy razy - ordynował porucznik.

No, i zaczynało się wojskowe kino. Gaciowiec chwycił gacie za nogawki i ruszał ostrym biegiem. Najpierw wśród swoich. Potem do sąsiadów.

- W kałesonach spać nie wolno! W kałesonach spać nie wolno!

Cały dywizjon wybijał się ze snu, bo gaciowiec, obudziwszy dziewiątą, gnał dookoła bloku do baterii siódmej. W zimie pozwalał Józefczak narzucić na kozulę kożuszek. W dzień cieplejsze „bieg pod

gaciami” odbywał się w krótkiej wojskowej koszuli i w butach z cholewami. Marzeniem porucznika było złowienie trzech gaciowców, po jednym z każdej baterii. Wtedy uruchamiał takie wesołe miasteczko, że brzuch bolał ze śmiechu i do rana sen nie chwycił. Dobry był chłop, ten porucznik, tylko głupio trzepnięty.

- W kalesonach spać nie wolno!

Józefczak popiskiwał z uciechy i walił się po udach. Co z tej bieganiny miał - nie wiadomo. Bawił się tym przez okrągły rok szkolny.

Robiła się zima coraz dokuczliwsza. W duży mróz na maszt przy komendzie szkoły wciągano żółtą flagę. „Piętnaście stopni mrozu. Nie ma zajęć w polu”. Żółtą flagę, lubili wszyscy. Niestety, gospodarowano nią bardzo oszczędnie. Czasami wywieszano po wymarszu baterii do zajęć. Zdarzyło się również, że przy mniejszym mrozie dostaliśmy mocno po kulach. Śnieg prószył, gdy wychodziliśmy z koszar na dwudniowe ćwiczenia z piechotą. W kwadrans później wiatr rozhulał się na całego. Zadymka podcinała nogi, przenikała przez płaszcze i kożuszki. Szliśmy jak ślepy, ubrani w śnieżne worki. Nogi grzęzły w kopnym śniegu. Szybko rosły zasy sięgające „konusom” za uszy. Wiatr dusił, ogłuszał polarnym wyciem. Udawaliśmy pułk piechoty przeciwko prawdziwej piechocie. Zdaje się, że w założeniu ćwiczeń była mowa o „boju spotkaniowym” lub o innej bzdurze. Wróciliśmy jednak, choć poznaczeni białymi plackami odmrożeń. Sanitariusze przynieśli z izby chorych wiadro maści ichtiolowej i udzielili zbawiennych rad. Ktoś rąbnął w nich butem, opuścili więc rejon baterii bardzo zawiedzeni, bo każdy z tych dupków miał ambicje lekarskie. Tego wieczora zostawiono nas w idealnym spokoju. Bombała nie mierzył kostek, szef nie rozdzielał zajęć nosiwodom, Józefczak nie zaglądał w gacie i Całus nie zdierał gęby nad czyjąś „skrzywioną mordą”. Mówiono, że w piechocie dwóch strzelców przymarzło na amen do rkmu na placówce. Fakt, że od tych ćwiczeń z piechotą żółta flaga częściej wjeżdżała na maszt. Dziesięć stopni z wiatrem liczono za pełne piętnaście. Ucichę dowcipy na temat nauszników. Wyfasowaliśmy nowe, ciepłe polówki. Przez bity tydzień, pomazani czarną maścią, chodziliśmy jak przebierańcy na „ostatki”.

I wreszcie dawno wypatrywane święta zbliżyły się na odległość rzutu kamieniem.

Pojechaliśmy na urlop i wróciliśmy. Wyganianie cywila trwało dwa tygodnie.

Skończyło się pisanie listów podczas „nauki własnej”. Gdyby włodzimierskie przedmioty załadować na wóz, za każdym bombardierem z cenzusem wlokłaby się kopiasta fura. Musiałem wkuwać jak za dawnych malajowskich czasów. Nie na darmo szkolna „żurawiejka” zaczynała się słowami „łeb jak bania”... Strzelanie z armaty wymagało ogromnych przygotowań. Od promocji i tytułu „podchorążego rezerwy artylerii” dzieliła nas jeszcze „szkoła ognia”. Za Kowlem, na poligonie koło Powórska, pierwszy raz w życiu wystrzeliłem z prawdziwej armaty. „Dobra to broń - mawiał stryj - bo głośna. Głos na wojnie wielką odgrywa rolę”.

Biwakowaliśmy pod namiotami we wsi Czeremoszno. Wokół piaski, laski, wydmy i leniwe strugi. Wsie Cerkówka i Smolary. Wysokie triangule 181 i 194. Za dnia dudnienie armat i haubic wszystkich kalibrów, pod wieczór lokalne życie towarzyskie. Trzy popówny zostały w pamięci, przemiłe córki miejscowego popa. Ładne były pannice i życzliwe. Zwijały się jak w ukropie, żeby obdzielić uśmiechem dziesięć szkolnych baterii. Generałowie zjeżdżali jeden za drugim na inspekcje i kontrole. Generał Römmel kochał się w galopie. Zaprzęgi latały jak zwariowane, telefoniści cwałem rozwijali

kabel, w podstarzałe armaty wstępował diabeł, pociski furczały jak szesnastolatki. Pod okiem Rómmla strzelało się prędko i głośno. Pudełko zapalek zastępowało lornetkę. Kurz się podnosił z całego poligonu. Wykładowcy instrukcji strzelania z kamiennym spokojem przeczekiwali generalską fantazję. Nastrój się zmieniał, gdy przyjeżdżał Cehak. Wyciągano wtedy stoliki topograficzne i z aptekarską dokładnością obliczano współrzędne. Generał Cehak upierał się, że nawet lekkie armaty i haubice muszą strzelać celnie. Od czasu do czasu groźne wybuchy przypiekały pięty wystraszonemu celom. Trafiało się, trafiało. Pewnego dnia o mały figiel nie trafiliśmy w punkt obserwacyjny.

Poligon mijał pod znakiem upału, forsownych ćwiczeń, ostrego strzelania i braku wody. Chodziliśmy na bliski Stochód. W rozlewiskach o tajemniczych właściwościach konserwacyjnych znaleźliśmy zwłoki żołnierza rosyjskiego, poległego w 1915 roku. Nadziwić się wszyscy nie mogli, że w tak dobrym stanie przeleżał trup przeszło dwadzieścia lat. Ze starych okopów na piaszczystych wydmach odwiewał wiatr zetłałe czaszki i kości. Zębów było tam więcej niż kamieni. Niektórzy zbierali je na pamiątkę i jako amulety porozwozili w różne strony Polski.

Antek Czerwiński z Czeladzi trąbił nam na wszystkie możliwe okazje. Ostry dźwięk sygnałówki regulował poligonowe życie, które nie różniło się niczym od życia poprzednich roczników. Jedyną nowością był wynalazek naszego dowódcy baterii. Kapitan, zanim awansował na majora, wymyślił rogatego diabła, czyli polową umywalnię. Przywieźliśmy czorta z Włodzimierza. Była to wielka blaszana beczka, do której przylutowano promieniście dziesięć cienkich rurek. Przy każdej rurce - metalowy korek na łańcuszku. W obecności kapitana powieszono umywalnię na dzikiej gruszy rosnącej za naszymi namiotami. Służbowi, klnąc wynalazek, targali wiadro za wiadrem ze studni i napełniali diabła wodą. Łaźnienie po drzewie z wiadrem pełnym wody nawet dla wojskowego nie jest przyjemnością. Dwa działony z ręcznikami i mydłem czekały gotowe do próby. Kapitan chrząkał, ustawiał ludzi, kontrolował, czy beczka „wisi w pionie”. Szef zapewniał, że na pionie mucha nie siada.

- Podejść bliżej.

Wyznaczeni do mycia podbiegli i otoczyli beczkę wianuszkami. Kapitan zakomenderował donośnym głosem:

- Wyjąć korki! Myjcie się śmiało!

Rogaty diabeł ożył momentalnie. Woda siknęła ostrym strumieniem. Ktoś tym sikiem dostał w oko i zaklął tak wyszukanie, że nawet kapitan odwrócił głowę.

- Tu nie ujeżdżalnia.

Rzeczywiście, na ujeżdżalni podczas jazdy konnej i wołyżerki częstowali nas instruktorzy najpiękniejszymi wiązkami. Ze słów powszechnie znanych układali małe arcydzieła. Ponieważ furmani również sobaczą dosadnie, przyczyna tkwi zapewne w koniu. Koń pobudza wyobraźnię i oliwi język.

Polowa umywalnia zapowiadała skecz na kijku. Woda biła z początku na dość znaczną odległość. Ludzie skakali jak pajace, żeby trafić pod cienką strugę. Potem ciśnienie spadło, woda kapiała niby z łaski. Namydleni bombardierzy stłoczyli się pod beczką. Ani się ruszyć, ani splukać mydła.

Szef stał z boku, mruzczał: „Cyrk, panie kapitanie, cyrk”. Ziemia wokół gruszy rozmiękła. Poproszono kapitana, żeby pozwolił umyć się pod studnią.

- Beczka wisi za nisko. Skrócić linę! - Kapitan miał pretensję do całego świata.

- Skrócić linę - powtórzył ponuro szef.

Kapitan wykręcił się na pięcie i odszedł, nie mówiąc do widzenia. Wtedy szef zapalił papierosa. Patrząc w niebo powiedział:

- Gdyby beczka spadła, gdyby się zrobił z tego smark i woda, też bym się wcale nie dziwił. Skrócić linę!

W minutę po odejściu szefa polowa umywalnia gruchnęła na ziemię. Odpadły rurki i zrobiła się spora dziura w dnie. Nie domyci artylerzyści zawlekli beczkę do magazynu. Andrzejak pozłóścił się o dziurę, ale diabła przyjął.

Wyszło bajorko pod gruszą. O polową umywalnię nie pytał ani kapitan, ani szef. Dopytywał się tylko gospodarz, na którego gruncie stały nasze namioty. Czy się dopytał - nie wiem. Plutonowy Andrzejak kłął się na wszystkie świętości, że z wojskowych „klamotów” musi wyliczyć się w garnizonie.

Wystrzelaliśmy amunicję. Pewnego dnia znikły namioty. W sennym Czeremosznie rozgościły się po staremu bieda z nędzą. Baterie spakowały graty i odjechały na stację do Powórka. Zostały piękne popówny i cenne wojskowe złotówki.

Włodzimierz huczał trzy dni i trzy noce. W gramofonach pękały sprężyny, grajkom mdlały ręce, ostatnim chabetom wyrastały skrzydła. Iskry leciały z kocich łbów, bo dorożkarze podkarmili szkapy owsem namoczonym w wódce. Zjechały się do nas panny z Kowla, Łucka, Chełma i innych wielkich miast. Zjechały też co ciekawsze znajome z cywila. Nie dotrzymały jednak kroku kresowiankom. Opuściła je całkowicie fantazja, gdy zobaczyły tradycyjny wyścig kolarski, zorganizowany tego roku przez znakomitą Rózię na Piaskach. Otóż po tym wyścigu bardziej wrażliwe panie zadartły ogon i odjechały śmiertelnie obrażone. Podobno o to, że wyścig odbywał się bez rowerów. No, tak, ale o sławnej Rózi mówiło się przecież: „Nasza czarna cyklistka”. Stąd też nazwa obmyślonej przez nią konkurencji.

Machnęliśmy piękną defiladę w szyku konnym i pieszym. Generalicja biła brawo, dudniła ziemia. Szliśmy ósemkami, grzmocąc buciorami jak najstarsza gwardia. Potem obiad żołnierski z „kochajmy się” na deser. Ale „kochajmy się” nie wyszło. W przegrzanych głowach mieszała się ciepła woda z letnim piwem. Tłuszcz gęstniał na talerzach. Pierwszy dzień bez apetytu.

- I co?

- I nic. Po prostu skończyło się zbyt nagle.

Ktoś krzyknął:

- Wiosna, wiosna, muchy...

Parę głosów podjęło: „Natura człeka wzrusza do łez, pachną kwiatki, bratki i bez!...”, ale ulubiona piosenka utonęła w piwie. Podoficerowie opowiadali z rozpaczliwym uporem dowcipy

z przydeptanymi brodami. „Zrobiliśmy swoje, co będzie dalej, Pan Bóg raczy wiedzieć...” Siedzieli z minami zatroskanych rzemieślników, którzy wychuchane narzędzia oddali w toporne ręce. Przystojny kapitan, dowódca pierwszego plutonu, prowokował „szczerą rozmowę”. Ktoś sennie protestował: „Panie kapitanie, po co?” Szczerze mówiąc, czy w ogóle można się dogadać? Zawodowy wojskowy widzi w cywilu „rezerwę”, „pospolite ruszenie” z bronią lub bez broni i wreszcie „masę ewakuacyjną”, zatykającą drogi, przysparzającą ogromnych kłopotów na każdym kroku. Cywil traktuje wojsko jako zło konieczne, cmoka z zachwytem nad wielką armatą i jednocześnie stęka, bo wie, że to sprawunek za jego pieniądze.

- Pana kapitana, za przeproszeniem, gnębi tryper, a mnie myśl następująca: co będzie z Polską po mojej śmierci? Przyzna pan, że różnica kolosalna.

- Pacyfiści to świnię.

- Stu chłopca, wszyscy po maturze, połowa po wyższych studiach, siada potulnie „na dpę” i wali się w błoto na skinienie kaprała, a pan mi o pacyfistach! Panie kapitanie!

- Ja tak, w ogóle.

- Klniemy w koszarach, a potem w domu gładzimy o wojsku do późnej starości. Gdyby pewnego dnia zwolniono was wszystkich, powstałoby natychmiast prywatne polskie wojsko. Bo kochamy armię. Daję panu słowo. Czy można kochać się w głupawej pannicy? I jeszcze jak! Pan się obraża? O co? Żadna statystyka nie informuje, ilu durniów nosi mundur, a ilu cywilne ubranie.

„Kochajmy się” nie wyszło, dzień był zbyt spiekliwy. Tegoż popołudnia rozwarczały się włodzimierskie „singery” i „łuczniaki”. Krawcy obszywali mankiety srebrno-czerwonym galonem i nakładali belki na naramienniki. Tymczasem zaczęła się trzydniówka, przedziwne życie nie kontrolowane. Do baterii mało kto zaglądał, a jeśli zajął, to mówił „dobry wieczór, żyjecie jeszcze?” i ostrzegał „panowie, tylko nie za ostro”.

Knajp nie zamykano. Wypiliśmy straszliwe, kolorowe wódki, których przez trzy kwartały nikt nie brał do ust. Nosiliśmy obce panie na barana i było nam bardzo wesoło. Komuś z naszej baterii wysmarowano mordę wazeliną i zbito tyłek wyciorami. Żandarmi usiłowali przymazać się do towarzystwa. Topili w wódzie policyjną duszę, kajali się i leżeli pod stół, żeby odszczekać meldunki. Jednego musiał Józio wykopać z dorożki, taki się zrobił natrętny i przylepny. „Wysiadaj - krzyczał Józio, bo spity żandarm znowu laź do dryndy. - Do pań jedziemy, a nie do cyrkułu!” Pojechaliśmy składać wizyty pożegnalne, śpiewaliśmy „Wiła wianki” i „W cywilu były czasy złote”. Niemuzykalna cholera otworzyła okno.

- Ja wam dam czasy srebrne, wy, ostatnie ścierwa!

- Józiu, poleli nas pomyjami...

Dorożkarz ściągnął lejce. Drynda stanęła.

- Sałata, jedź.

- Jechać? A kto pójdzie tam, na górę?

- Jedź!

- A, jaka teraz delikatność...

- Jedź. Albo nie jedź. Złaż z kozła, siadaj z tyłu.

U pań śpiewano właśnie „I kwitną znów jabłonie i czereśnie, pąsowe róże i liliowe bzy”. Weszliśmy z wielkim rumorem.

- Wiosenna noc przychodzi do was we śnie! - wrzasnął Józio. - Dobry wieczór, gdzie Cyklistka?

Za szafy wylazł Jaśku Samborak.

- Na dachu.

- Na dachu? Po co?

- Nie wiem, Józku, przysięgam Bogu. Ał, taki dziś w ogóle nastrój dziwny. Czekaście, koledzy, zaraz ktoś zleci z dachu, to opowi dokumentnie.

Domek był parterowy, kryty strzechą, spadało się więc z niewysoka. Po co? Tego nikt nie wiedział. Cyklistka miała zacięcie cyrkówki i szwależerską fantazję.

Wesołości zawsze towarzyszą łzy. W przeddzień wyjazdu zjawił się zapłakany Bombała. Chcemy wieszować trzeciej belki, podrzucić kilka razy, lecz plutonowy ręką macha, krzyczy, że musi coś powiedzieć.

- Kochana baterio, pomylili papiery. Miałem jechać na kurs wf do Warszawy, ale nie pojedę. Odjeżdżam, baterio kochana, do Brześcia na kurs dla „fajermanów”.

Każdy ma jakieś zmartwienie. Całus trapi się powodzeniem pięknej żony, Andrzejak nie może doliczyć się prześcieradeł, szef wydziwia nad wojskiem, „co nie było pod Werdunem”, kapitan drugi miesiąc chodzi okrakiem, bo go leczy jakiś kanciarz. Bombała ucałował dziesięciu najbliższych i jako tako pocieszony odszedł w Polskę włodziwską.

Następnego dnia losowano pułki. Starłem się o Rembertów, Skierniewice, Płock. Wylosowałem Grodno. Do Płocka trafił Staś. Celowaliśmy w pułki lubiące podchorążych i stacjonujące blisko domu. Nikt nie przypuszczał, że ciągniemy losy wojenne. Przedwojennego życia zostały nam wszystkiego dwa lata z małym hakiem.

I już za bramą. Oglądam się: Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii im. Marcina Kątskiego. Kątski?

- Daj spokój - Marek Proteźnik krzywi się i odciąga - siedemnasty wiek.

- No, właśnie!

Marek wyciąga aparat i trzaska kilka pamiątkowych zdjęć na tle bramy, pod tablicą, z widokiem na bardzo już teraz dalekie budynki III Dyonu.

Przed szkołą ruch targowy. Fury, dorożki, furki. Ładujemy się do półkoszka i hajda, „poganiaj, dziadźka, na kolej!” Kolorowe chustki w oknach, krzyk Bombały z chodnika (gdzie on wytrzeptał taką dziewczuchę?): „Co złego, to nie my!” i już po Włodziwierzu.

- Dobra szkoła, błoto po kolana.

W kilka miesięcy później powstała druga SPRA w Zambrowie. Podobno też była dobra, choć „mazowiecka”. Od czasu do czasu pożyczali we Włodzimierzu jedną armatę lub haubicę. Zawsze oddawali w doskonałym stanie, wyczyszczone na medal i natłuszczone jak należy. Mazowsze, mówiono o nich, bo *mazowsze* czyste buty. No, tak, ale w wołyńskiej SPRA służyli wszyscy, a w Zambrowie tylko profesor Lengren i syn premiera Kwiatkowskiego. Zanim Zambrów dorobił się tradycji, wybuchła wojna. Taki to nasz zafajdany los.

Do 29 Litewsko-Białoruskiego Pułku Artylerii Lekkiej wyznaczono marszrutę przez Brześć, Białystok. Marek, też warszawiak, kłął razem ze mną. Jechaliśmy omijając dom. „Przerwa w podróży” wypadła nam w Brześciu. Właściciel hotelu nie mógł się nadziwić.

- Panom podchorążym naprawdę niczego nie trzeba? To ja pierwszy raz słyszę od wojskowych. Może być i tak, u mnie jest luksus. Ale ja się bardzo dziwię.

Gruchnęliśmy się odespać włodzimierską trzydniówkę. Dobry żołnierz śpi twardo, lecz reaguje prawidłowo na łachotki. Otwieram oko. W nogach łóżka siedzi obca pani i pije herbatę, łyżeczką podpierając brew. I gadaj tu o pacyfistach!

- Może panu arbatki?

- Napiłbym się, ale z cytryną - mruczy Marek przez sen.

- Może samej cytrynki? - pani wachluje się koszulką i wzdycha - taki dzisiaj spiek...

Tuż za nami przyjechały do Grodna trzy żandarmskie meldunki. Opisały nas kanarki za „nieprzepisowe ostrogi”, „nieprzepisowe galony” i „nieprzepisową czapkę”. Uśmieli się w pułku. Czapka z firmy „Z. Karp” była śliczna. Później, kiedy przez Wilno jechałem na poligon do Pohulanki, podszedł do mnie brodaty nieznajomy.

- Pan nie wie, co pan nosi, za przeproszeniem, na głowie. To jest wielka czapka! Ja panu to mówię, ja, stary fachowiec na wszystkie czapki i na wszystkie kaszkiety!

Rogatywka z zielonym otokiem zrobiła furorę nawet w Wilnie, a przecież Wilno słynęło z czapek sławnego Mirona! Adresu Mirona nie pamiętam. Zresztą firma od lat nie istnieje.

Moda wojskowa, kapryśna i zmienna, nie ustępowała modzie kobiecej. Warszawska firma „E. Niedziński i S-ka” w Alejach Jerozolimskich pod czternastym słynęła z eleganckich długich butów o wysokiej „szklance”. Nazwę „oficerki” nawiąta dopiero okupacja. Buty od Niedzińskiego, bryczesy z Torunia, mundur od Zielińskiego z Nowego Świata. W tym samym domu, obok hotelu „Sawy”, mieściła się firma Bohrera o bardzo efektownej nazwie „Ubraniozmian”. Można tam było zamienić ubranie gorsze na lepsze, stare na nowe. Z tego też się żyło.

Sentymenty rodzinne zaprowadziły mnie do znakomitego Hiszpańskiego na Krakowskim Przedmieściu, tak jak „pilotka” Janka zaprowadziła do Karpia. Paradowałem w pięknej czapce aż do ostatniego wyjazdu z Grodna. Przepadła gdzieś nad Pilicą razem z taborem baterijnym.

Rogatywkę, choć nie wybierałem się na zawodowego, nosiłem częściej niż inne nakrycie głowy. Po odbyciu rocznej służby posypały się wezwania na ćwiczenia: na „Litwę”, na „Zaolzie”. A potem

„mobilizacja marcowa”, która przeciągnęła się aż pod sam wrzesień 1939. Wczesnym rankiem dwudziestego czwartego sierpnia znowu ubrałem się w mundur. Elka na łapu capu pakowała walizkę.

- Czy bierzesz prawidła?

- Och, co za pomysły. Po co?

Zadzwoń do Marka.

- Jedziesz?

- Nic nie rozumiem, nie dostałem karty. Brat pobiegł do komisariatu dowiedzieć się dlaczego.

Och, nasz stosunek do wojska był piekielnie skomplikowany. Może właśnie dlatego rogatywka z zielonym otokiem tak wypiękniała we wspomnieniach?

Do dworca mieliśmy dosłownie kilka kroków. Zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę.

- Na Główny.

Wysiadam, sięgam po pieniądze. Szofer obruszył się okropnie.

- Coś pan, chory? Zapłacisz pan po powrocie!

Elka została na peronie, a ja zatłoczonym pociągiem pojechałem do Grodna, żeby piękną czapkę posiać gdzieś pod Sulejowem. Drugiej takiej czapki już się nie dorobię. Rogatywki wyszły z mody.

Twarzą na południe

...Poszedłem dalej,
Lecz z sercem pełnym jakichś
Dziwnych drzeń...
- Trzy, cztery I
Oczarowały mnie błękitne oczy twe...
- Trzy, cztery!

Przed kinem przyczepił się gość o maślanych oczach. Co grali wtedy w „Apollo”? Chyba „Szarzę Lekkiej Brygady”. Zresztą - nie pamiętam.

- Panie kolego... Czy Szypuliński jest tam jeszcze?

- W siódmej.

- Jeszcze jest... A mnie tam już nie ma! Nie ma i nie będzie! - wrzasnął i odpłynął ze swoim towarzystwem.

Było to podczas urlopu. Łatwo powiedzieć „pojechaliśmy na urlop i wróciliśmy”. Prawie jednocześnie zaważyły się dwie sprawy. Marysia pisała wspaniałe listy. „Przy takich listach - mówiło się w baterii - wysiadają paryskie foto-akty”. W Warszawie okazało się, że przyjechałem po zamknięciu sklepu. Umówiliśmy się do kina. Nie przyszła. Poszedłem z Romanem. Film podobał się bardzo, odpowiadał moim ówczesnym gustom. Wychodziłem z kina czując piasek w gębie. Do dziś nie bardzo zdaję sobie sprawę, jak to się wszystko rozlazło. Pewne, że trzasło, bo nie przyszła. Wtedy napatoczył się wychowanek Szypulińskiego.

- Cholernie nie chce mi się wracać.

- Dasz radę.

Prosto z kina pojechaliśmy na jej ulicę. Roman przycupnął w kawiarni.

- Zaczekam pół godziny. Potem wracam do chałupy.

Przed domem ferajna w cyklistówkach na oczy, z rękami w kieszeniach. Ironiczni, pewni siebie. Musiałem dobrze nadrabiać miną, żeby mi nie sprzedali płyty z chodnika, bo zmrok już gęstniał. „Nie ma, wyszła, kiedy wróci? A bo ja wiem?” Zostawiłem kartkę. Odpisała dopiero do Włodzimierza.

Wróciłem do Eugeniusza Rzepy, czyli kawiarni „Milusia”.

- Płać za ciastka. Trzy eklery i dwa ptysie.

Roman lubił słodczyce. Na chodniku potknąłem się o pięćdziesiąt groszy.

- No, proszę, jak to się jednak sprawdza.

Roman schował monetę i zapewnił, że postawi mi ćwiartkę na pociechę, jeśli znajdę jeszcze trzy dwudziestki.

Oczywiście, nie znalazłem. Przed wojną również nie posypywano chodników bilonem.

Po świętach, kiedy zaczęły się lekcje, poszedłem na Polną pokazać się w budzie.

- A, to ty, Zieliński...

Pan Piotr spotkał mnie w hallu, obejrzał szablę, buty, ostrogi. Przyznał, że „wszystko razem niczego sobie”, że szabla dobrej, jeszcze przedwojennej roboty, i zadzwonił na „dużą pauzę”.

Na drugim piętrze znajomków miałem jeszcze sporo. Rozproszeni uciążliwymi studiami dociągali powoli w maturalne okolice.

- Wykończyliśmy Malaja - to były pierwsze słowa po wyczerpaniu dowcipów na temat konia, armaty i straszego huk, z jakim działo strzela.

- Co ty powiesz? Ciekawe...

Nie wierzyłem ani przez chwilę. Wykończenie Malaja wydawało mi się równie nieprawdopodobne, jak powiedzenie Całusowi: „pocałuj mnie, wiesz gdzie”.

- W tym roku nikt nie będzie zdawał matematyki. Będziemy pisać maturę z fizyki. Kapujesz, co za cios dla Malaja?

- Wlepi kilkanaście dwój na trzeci kwartał i serwus, święto lasu.

- Nie wlepi. Klasa odznacza się dobrymi postępami z matematyki.

Michał przymrużył oko.

- Piszemy klasówki na „dostatecznie z plusem” i na „dobrze z minusem”. Aha!

- Niby jak? - przyznaję, że trochę się zdziwiłem. Czwórki u Malaja nie chodziły stadami.

- Zwyczajnie. Mamy klucz do pokoju nauczycielskiego i klucz do szafki Malaja.

- Zgadza się, Malaj poprawia klasówki dopiero po pewnym czasie i w pewnej kolejności. Zawsze tak było.

- Pewien czas wystarczy nam w zupełności. Zanim Malaj zabierze się do zeszytów, wprowadzamy drobne, lecz istotne zmiany. Naturalnie, pracujemy z głową. Matoły nie mogą pisać klasówek na piątkę.

- Dobraliście klucze, czy tak zwyczajnie, wytrychem?

- Z początku wytrychem... - Michał zniżył głos. Mali chłopcy kręcili się blisko szabli. O sposobie na Malaja nie musieli wszyscy wiedzieć. - Teraz mamy klucze.

- No, patrz, a nam to nie wpadło do głowy.

- Słuchaj dalej. Malaj wchodzi do klasy, a na tablicy narysowana świnia i podpis „Malaj”. Heca, co? Z dawnego Malaja wypuściliśmy cały gaz. To już nie ten sam Malaj.

Zapytałem, jak zachował się Malaj zobaczywszy świnie?

- Udał, że nie widzi. Potem, patrząc w okno, powiedział do dyżurnego: „Przyjdiesz do tablicy i zetrzesz deskę”. Człowieku, co on mógł powiedzieć?

- Pokazał wam jednak klasę. Kto inny narobiłby rabanu na całą budę. Byłaby z tego heca i obniżenie stopni ze sprawowania.

- Łatwo ci gadać, masz budę za sobą... - Michał zawahał się. - Uważasz, że historia z kluczem jest trochę nie tego?

- Ależ skąd? Jest bardzo tego.

Michał nie wytrzymał.

- Gadanie! Zastrany Anhelli! A kto cię usadził na ostatnim ustnym egzaminie? Tak się nie robi w humanistycznej budzie. Mógł stopień podciągnąć. Na świadectwie nie widać, czy trójka czysta, czy z kilometrowym minusem. Głodne kawałki z Armii Zbawienia!

Cóż, Malaj mógł podciągnąć, ale nie musiał. Uważał mnie za głupka, którego nie warto podciągać. Postanowił więc zaczekać, aż o własnych siłach dojdę do matematycznego rozsądku. Po oblaniu matury wyłem ze złości i przysięgałem zemstę. Głupie nastroje prędko wywietrzały z głowy.

- Malaj walczył otwarcie. Rozkładał mnie przy wszystkich. Więcej pretensji mam do Grubego Beńka, bo paskudził za plecami.

Traf zrządził, że Gruby Beniek z wypchaną teką pod pachą laźł właśnie na górę. Michał pochylił głowę i krzyknął przerażonym głosem:

- Nie bij go, rany boskie, nie bij! Odebrać szablę! On go zabije wojskową szablą!

Inni podchwycili krzyk. Wybuchło normalne szkolne zamieszanie. Gruby Beniek podniósł głowę. Zobaczył mnie w tłumie i uśmiechnął się tym swoim uśmiechem „lewego fetniaka”. Potem klapnął dłonią w czoło, zawrócił na pięcie i poczłapał na dół. Kto jak kto, ale Gruby Beniek nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie z wojskową szablą.

Skecz z szablą rozładował atmosferę. Dzwonek uniemożliwił dalszą rozmowę. Zresztą gdyby nawet do niej doszło, nie umiałbym uzasadnić stanowiska w „sprawie Malaja i innych”. Coś w tej sprawie śmierdziało. Istniała różnica między ściągaczką, telefonem, środkiem przeczyszczającym i wytrychem. Nigdy nie byłem obrzydliwy. Tym razem nie mogłem wykrzesać z siebie zachwyty.

Drugi dzwonek. Ułatwiłem sytuację Michałowi.

- Sptywaj, ja też cholernie się śpieszę.

- No i jak tam, Zieliński? - spytał pan Piotr, kiedy zszedłem do hallu.

Na górze przycichał zwykły gwar budy. Zaczynały się lekcje po dużej pauzie. Buda szumiała normalnie, ale...

- Zmieniło się, to już nie ta buda, co dawniej.

- Jedni odchodzą, drudzy przychodzą. Wiadomo, kto ze szkoły wyszedł... A co powiedzieć o tych małych? Nikt nie wie, jacy oni będą. Zmienia się, pewnie, że się wszystko zmienia...

Pan Piotr przyglądał wąsy i westchnął. Za ledwie kilkunastu zapóźnionych pamiętało starego Dyrka. Po Mignonie zostały tylko ślady na pulpitych i murach. Kiedy deszcz odświeżał na asfalcie wielkiego Mignona i białe litery świeciły jak na fosforyzowane, mali chłopcy pytali, co to znaczy i dlaczego gruba strzała wskazuje na drzwi budy.

Zastałem budę podczas wykonywania zwrotu. Zdawało mi się, że stara szkoła znajduje się w groźnej, conradowskiej sytuacji. I jak ów statek „waży się u stóp mrocznego lądu”. Zbawczy okrzyk „wyszliśmy na wiatr” rozległ się znacznie później.

A Malaj wkrótce umarł. Opowiadano mi o ciężkiej chorobie, o nowotworze, o nieodwracalnych zmianach. Nie znam szczegółów, lecz sprawę oceniam prościej i tragiczniej. Malaj nie przeżył porażki. Groźna forteca runęła nagle. Pryśła atmosfera sali rysunkowej. Młode roczniki były głuche. W ogóle nie słyszały czarodziejskiego fletu. Malaj zszedł do roli zwykłego nauczyciela matematyki w humanistycznej szkole. Na korytarzu, dosłownie o parę kroków od Malaja, pętały się za łby. Na lekcjach coraz głośniejsze odzywały się szepty i chichoty. Malaj nie reagował. Odwracał śmiertelnie bladą twarz, patrzył w okno, nad placem Politechniki, na Pole Mokotowskie. Tam też zaszły zmiany. Wyścigi przeniesiono na Służewiec. Zawaliła się wznoszona latami konstrukcja. Malaj musiał zginąć pod gruzami.

Było w tym wszystkim coś bardzo irytującego. Bo przecież myśmy sami dopomagali Malajowi w umacnianiu matematycznej twierdzy.

Czule pożegnałem pana Piotra, gmach budy zmałał podczas mojej nieobecności. Pogapiłem się chwilę na brzydką, kilkupiętrową kamienicę i poszedłem. Jakie wrażenie wywoła buda za pięć lat, za dziesięć? Za pięć lat, licząc od matury, odbędzie się zjazd koleżeński naszej klasy. Za lat pięć, to znaczy w 1940 roku.

Po wojnie odszukałem pana Piotra w kiosku z papierosami na Pięknej blisko Kruczej. Zbielały sumiaste wąsy, zmienił się głos. W oczach charakterystyczna mgiełka. Od tamtej rozmowy minęło dziesięć lat.

- Panie Piotrze... - byłem pewny, że będę musiał się przypomnieć. - Pan chyba nie pamięta...

Dziesięć lat w tym wieku - kawał czasu. Pan Piotr machnął ręką.

- Proszę zaczekać chwilę. Niech pan nic nie mówi... A, to ty, Zieliński! Żyjesz!

Wygramolił się z budki (już wtedy chodził o lasce) i szeroko otworzył ramiona. Rozmiękliśmy obydwa jak sentymentalne pensjonarki.

Czekaliśmy nie pięć, ale prawie dwadzieścia pięć lat. Kilka dni przed zjazdem spotkałem pana Piotra przed budą. Patrzył na drzwi i uśmiechał się leciutko.

- Ta sama kłamka. Ta sama.

Pamięć miał nadzwyczajną i do ludzi, i do przedmiotów.

Po jesiennych manewrach wróciłem do Warszawy na stałe. Przez kilka dni obnosiłem mundur i zadawałem szyku wśród znajomych i kolegów. Potem przebrałem się w cywila, zacząłem martwić się, co dalej? Na prawo zapisałem się przed wojskiem. Miałem kontynuować prawniczą tradycję rodziny.

Toczyła się wtedy w sądzie na Miodowej sprawa dość głośna. Jedną ze stron był Starzyński. W sądzie poznałem Elkę. Siedziała obok Romana. Jakoś się zaczęło, jak - tego oczywiście nie pamiętam. Pewnie, że się zaczęło, bo bez początku nie byłoby dalszego ciągu. W pewnym momencie Elka wybuchnęła śmiechem. Prawdopodobnie powiedziała coś o swoim narzeczonemu (pojawił się wkrótce na widowni i parokrotnie zabiegał drogę), bo Roman zareagował bezbłędnym argumentem.

- Ale my, proszę pani, byliśmy w wojsku!

Idiotyczne argumenty najłatwiej trafiają do przekonania. Narzeczonego w ogóle nie służył w wojsku! Roman triumfował. Pierwszą kawę wypiliśmy w trójkę. Dalszy ciąg wiąże się ściśle z szabłą, podobną jak dwie krople wody do szabli, z którą przyjechałem na pierwszy urlop. Początek znajomości należy więc do rozdziału wojskowego, choć ani Elka, ani tym bardziej ja nie mieliśmy ambicji generalskich. Generałem zostałem zaraz po zamachu majowym. Ale o tym przy innej okazji.

Jeszcze była jesień, kiedy Elka zgodziła się obejrzeć broń i patriotyczne sztychy.

- Przyjdę w sobotę i w razie czego zostanę do poniedziałku. Panicznie boję się plotek.

- Pamiętaj, narożny dom, numer nieparzysty, idąc od tramwaju prawa strona ulicy. Na murze wielki neon, ale nie czekaj, aż zabłyśną światła! Od razu wejdź do bramy i z bramy na lewo. Po dwa schody biegnij na górę. Na górze - lewe drzwi. Ja ci sam otworzę. Jeżeli otworzy ci staruszek z brodą, to przeproś grzecznie, bo pomyliłaś się i zadzwoniłaś do sąsiadów.

W korytarzu z trojga drzwi wybierzemy pierwsze z brzegu, czyli znowu lewe. Widzisz, jak łatwo trafić? A w pokoju to już sama decyduj, co wolisz, jak wolisz. Przy lewej ścianie biurko i krzesło, pod prawą szeląg nakryty łowickim pasiakiem. W jednym kącie piec, w drugim etażerka, nad nią „Langiewicz ze sztabem”. Bliżej okna siwy Kościuszko w złotej ramce. Tak siwy, że wszyscy go biorą za nieboszczkę babcię lub za Orzeszkową. Z okna widok na dwa podwórza przedzielone murkiem. Dom jest narożny. Raz jeszcze o tym przypominam.

- Nie rób ze mnie trąby.

- Przyjdziesz?

- Przyjdę.

Przyszła punktualnie. Zadzwoniła energicznie. Natychmiast otworzyłem drzwi. Sąsiadka akurat wychodziła z psem. Obrzuciła nas nieprzyzwoicie natrętym spojrzeniem. Żaden staruszek z brodą nie mieszkał w naszym domu.

- A, to pani - powiedziałem z ukłonem - w sprawie znaczków pocztowych? Bardzo proszę, niechże pani wejdzie, albumy mam pod ręką, zaraz je pani pokażę.

Elka, zaczerwieniona po uszy, wbiegła do mieszkania. Babie trzasnąłem drzwiami przed nosem.

- Co za jędrza, widziałaś jej minę? Gotowa podglądać z okna na klatce schodowej. Zasunę firanki?

- Zostaw, będzie duszno. Pokój podoba się, owszem. Co do ciebie, nie mam jeszcze ustalonego zdania. Dobrze ci w zielonym. Doceniam również fantazję i opanowanie. Ja tu cała w pąsach, wszystko mnie swędzi i piecze, a ty spokojnie zapraszasz na znaczki pocztowe. Można pęknać. Wspaniały pomysł. Babie odjęto mowę i nawet pies przestał szczekać. Zdaje się, że jej trochę przytrzasnęłaś oko. W życiu nie widziałam tak spiczastego wzroku.

- Niech się tylko skrzywi. Wiesz, co wtedy? Obsika się ściany na klatce schodowej.

- Na mnie nie licz.

- Ależ słuchaj! Jak to zobaczy pan Jan, dozorca, taką babie da nauczkę, że na trzeciej ulicy będzie słycać. Pan Jan ma bzika na punkcie klatki schodowej. Bardzo przyzwoity człowiek, choć nie artylerzysta, lecz szwoleżer z pierwszego „szwolu”.

Elka usiadła na biurku. Majtała nogami, mrużyła oczy i mruzczała cichutko jak kot drapany za uchem.

- Zachwył, co? Wal śmiało, nie jestem zarozumiała.

- Owszem, przyjemnie. Wiesz, bałam się, że całą zimę zmarnujemy na ślizgawkach, że będę wracała do domu z posiniaczoną pupą, przemrożonymi łydkami i zalewajką w sercu. Jak się zaczyna jesienią, to wiosna zawsze okropnie daleko. W samą porę przypomniałaś sobie, że masz coś do pokazania. Niby tyle miejsc dokoła, ale jak co do czego, miejsce strasznie trudno znaleźć. Wszędzie ludzkie oczy i kilometrowe jęzory. Z ciebie także ziółko, któż to widział otwierać drzwi w slipach? Na upartego też powód do plotek.

- Dlatego głośno mówiłem o znaczkach. Wypadło całkiem naturalnie.

- Tak, ale mimo wszystko. Sam wiesz, jak jest, czego głuchy nie dostyszy, to zmyśli. Już mnie ktoś obgaduje. Strasznie mi gorąco, a to nieomylny znak. Boję się plotek. Aha, już mówiłam.

Elka wstała z biurka i rozejrzała się po pokoju.

- Naprawdę zbierasz znaczki?

- Nie jestem blagierem. Zbierałem i zbieram. Cenne okazy i wyjątkowo rzadkie mylnodruki. Musiałaś słyszeć o „małym Trąmpczyńskim” ciętym, w kolorze niebieskim? Chcesz zobaczyć?

- Mały Trąmpczyński cięty...

- Niebieski, niebieski! Brązowych do licha i trochę. A, proszę, teraz ja ci zaimponowałem.

- Myślałam, zimna krew, fantazja, wyobraźnia... Obiecywałam sobie kulturalne rozmowy, a on mi mówi, że niebieski cięty więcej wart od małego brązowego! On naprawdę zbiera marki! Z tobą tylko

chodzić na spacer. Będziemy holendrować całą zimą... I znów to kino, dwa seanse pod rząd, i znowu grypa, bo zawsze z kina wychodzę mokra jak mysz. O rany!

- Daruję znaczki, pal sześć sztychy, ale co zrobimy z bronią? Powiedziałaś sama: „Nareszcie wpadłeś na to, o czym oboje myślimy od dawna”.

- Tak powiedziałam? Nic nie pamiętam. Daj mi ramiączko, muszę powiesić sukienkę.

- Proszę. Ech, nie doceniasz formy, czyli uroku pretekstów. Co nam zostanie bez nich? Technika i fizjologia. Dwudziesty wiek goły jak święty turecki. Od czasu do czasu trzeba sięgnąć do form dziewiętnastowiecznych. Gdybym powiedział: „Serwus, Elka. Masz majtki? To zdejm!” , co byś mi odpowiedziała?

- Nic. Dałabym torebką po łbie.

- No, właśnie. A na szablę patrzeć nie chcesz. Nazwałem ją zbiorem starej broni i nic, ani spojrzenia.

- Powinny być zbroje, miecze, husarskie skrzydła i te... No, czym husaria kłuła? Aha, piki. Nie, nie piki. Lance? Też nie. Wypadłam z epoki i nie mogę trafić z powrotem.

- Możemy pójść do muzeum. Tam żelastwa całe fury. Jutro, co?

- Ani jutro, ani ze mną.

- Do Kościuszki stoisz tyłem.

- Bo nie mam dwóch przodów. Gdzie lustro? Szkoda, lubię mieć lustro pod ręką. Okropnie jestem rozkudłana. Co mi proponujesz?

- To, co lubisz.

Lubiła „Cherry Brandy” rektyfikacji warszawskiej, w płaskiej butelce, z głową białego niedźwiedzia na etykietce. Wódka z domowym sokiem smakowała z tej butelki równie znakomicie.

- Nie masz wody sodowej? Szkoda, mogłam po drodze wstąpić do sklepiku.

- Z syfonem na pierwszą wizytę? Wykluczone.

- Bardzo jesteś dobry. Na wszystko jednak przyjdzie czas. Ktoś będzie nosił wodę i kupował butki.

(Zdjęcie Elki z syfonem w ręku znalazło się wśród nielicznych fotografii, które ocalały. Przypadek? Akurat!)

- Stąd wszędzie blisko. Do rzeźnika dwa kroki, kolonialny naprzeciwko, pieczywo za rogiem, spożywczy w co drugiej suterenie. W kwadrans pełny koszyk. Doskonały punkt. Uchlać się można na parterze. Gazety i papierosy, bardzo cię proszę, kupuj u inwalidy na dole.

- Nie widzę się jeszcze z koszykiem w okolicznych sklepach i nie domyślam się istnienia dziurawych skarpetek. Na razie świetnie. A groziły nam straszne rzeczy. Zaczynało brakować tematów. Wpadaliśmy w milczenie. Złościłam się, bo nie umiałeś nic wymyślić. Męczyły mnie randki w kawiarni i te spacer do zamknięcia parku. Ze strachu uciekaliśmy w ohydne zagajniki i na ciemne schody.

Wiesz, czego bałam się najwięcej? Skandalu. Czułam, że któregoś dnia wrzasnę, pokażę język i obleję kawą spodnie. Wprost marzyłam o skandalu! Myślałam, że jak skandalu nie będzie, to pęknię wzdłuż i wszerz.

- A ja często miałem ochotę kopnąć cię w kostkę.

- Podłość.

- Pamiętasz? Szliśmy wtedy nad staw do łabędzi.

Elce zaokrągliły się oczy. Zapytała cicho:

- Do jakich znowu łabędzi?

- Do białych - mówiłem dalej udając, że nie dostrzegam zaniepokojenia. - Zresztą różne miałem chęci. Zerwać biustonosz i rzucić na topolę albo podstawić ci nogę i z całej siły ugryźć w ucho. I nie tylko w ucho. A może i nie tylko ugryźć.

- To już normalniejsze - Elka odetchnęła - i przyjemniej się tego słucha. Bawimy się cudownie. Okropnie lubię słuchać głupstw.

- Nie dajesz mi dojść do słowa - Elka ostatnie drobiazgi rzuciła na biurko. - Jak patrzę na czarną koronkę, to myśl mi się demobilizuje i wątek trzaska.

Elka znów coś sobie przypomniała.

- Ktoś tu mówił, że ja czegoś nie doceniam? A więc, żebyś wiedział, przyniosłam XIX wiek w torebce.

- Metrykę? A po co?

- Skończony osioł. Przyniosłam „kajzery” potąd, widzisz pokąd? I do nich podwiązki w kwiatki. Więcej warte niż biżuteria po babci.

- Różyczki, niezapominajki. Niegłupie połączenie.

- O nie, piękne stroje na niedzielę. A zresztą? Chodź, muszę ci coś powiedzieć.

- Ależ to ja miałem opowiadać. O szabli.

- Co za kretyński pomysł wieszać szablę. Odsuńmy się, bo jak zleci, okaleczy. Zróbmy coś, nie mogę patrzeć. Schowajmy szablę do pochwy.

- Stryjowi byłoby przykro.

- Święty Jacku z pierogami, czemu na każdym kroku potykam się o rodzinne uczucia? No, tak, teraz czuję, że mi na dobre podstawiano nogę. Szabla spada! Co za pomysły! Trzeba było powiesić dwie skrzyżowane onuce! Nic, nic. Nie zwracaj uwagi na głupstwa. Nawet przez sen lubię pogadać sama z sobą. Idioto, nie szukaj teraz onuc!

- A to właśnie szabla. Dostałem ją od stryja. Z całej rodziny tylko stryj nie wykręcił się od służby w carskich żołdatkach. Stało się jak w czytance, co ją każdy zna: źle się uczył, rzucił szkołę, poszedł sobie w świat. Przygarnęli go dragoni i do koni wzięli. Wyruszył na wojnę, nie strzelał na wiwat.

Zanim stryj opuścił szkołę, lubił podczas przerwy bawić się na korytarzu w „bieganie po prostej”. Biegał więc stryj z pochyloną głową i bił bykiem każdego, kto mu wlał na cel. W czwartej gimnazjalnej udało się stryjowi upolować dyrektora szkoły. Legenda rodzinna opatrzyła wypadek patriotycznym komentarzem. Nie przez zarozumiałość, broń Boże, po prostu z przyzwyczajenia. Zarozumiałcom umieliśmy dać odprawę. Kiedyś chwalił się kolega: „Mój przodek służył pod Kościuszką. Mamy dokumenty. Pokazać?„ Od tego są dokumenty, żeby je okazywać w stosownej chwili. „Dobra, pokazuj”. Rzuciłem okiem i poklepałem koleżkę po ramieniu. „Zwróć uwagę, kto ci przodka zrobił oficerem?” - „Generał!” - „Ba, ale jaki?” Przeczytał nasze nazwisko, zebrał szpargały i poszedł chwalić się gdzieś Indziej. Bo tak to było, w każdym pokoleniu rodzina siadała na koń albo biwakowała w lesie. Nie można się od pamiątek opędzić, choć ciągle zaczynamy gromadzić na nowo. Będąc w łazience spójrz na „Szwadron Elby”, wiszący nad półką. Reprodukacja licha, kolory odpustowe, ale obrazek pamiątkowy. Nad czapami dwóch szwoleżerów zobaczysz krzyżyki zrobione anilinowym ołówkiem. Babcia naznaczyła wąsatych, żeby utrwalić ich w rodzinnej pamięci. Z miniaturowy okradziono nas w swoim czasie. Mówiąc jednak szczerze, rodzina okropna i w codziennym życiu trudna. Nawet stryj, normalniejszy od innych, miewał ćwieki w głowie. Jak się uparł, nie było rady. Upierał się często.

Po wypadku z dyrektorem, za poradą rady pedagogicznej, stryj machnął ręką na dalsze nauki. Z „wilczym biletem” w kieszeni wyprowadził się do Połtawszczyzny, a potem jeszcze dalej, zdaje się pod Kursk. Tam ożenił się z córką maszynisty carskich pociągów. Zabawne, na cara wszyscy psioczą, ale nie spotkałem jeszcze maszynisty ze zwykłej lokomotywy. O każdym mówią, że woził carycę i cara w niedziele i w święta specjalnym pociągami z pancerną podłogą i tajnym klozetem. Każdy, gdyby nie bolszewicy, miałby do dziś pamiątkowy zegarek z cesarskim podpisem. Nic dziwnego, że Rosja poleciała na pysk, skoro car przez cały dzień gryzmołił na kolejarskich zegarkach. Wzmiankę o wczesnym ożenku trzeba uzupełnić słowami stryja: „Za moich czasów nie widywało się smarkaterii w czwartej klasie. Tak więc, jak tylko zacząłem pracować w akcyzie, pobraliśmy się...” Zaraz po ślubie uparł się stryj na syna. Nie mogła mu ciotka tego wybić z głowy. Polubił myśl o synu jak zabawę w bieganie „po prostej”. A szło mu - jak z kamienia. Z czasem ambicje wyparowały i stryj zaniechał prób. Zdarza się jednak, nawet jeszcze teraz, że stryj, spojrzawszy na ciotkę, wpada w zadumę. Ciotka wtedy unika wzroku, wierci się, widać, że jej na krześle coraz niewygodniej. Bo to trochę śmieszne, same córki! Byłoby tego pół tuzina, gdyby nie te dwie, co fajtnęły w pieluchach. Zresztą te cztery też starczą za tuzin. Każda inna, tak być powinno, skoro nie czworaczki, ale nad tą ich innością można kręcić nosem. Najstarsza zabrała siostrom urodę i figurę. Cennych atutów nie składała w sejfie. Lubiała podróżować i w kurortach co chwila wychodziła za męża. Rodzinne burze miała gdzieś. „Nikogo nie kompromituję, bo maluję włosy” - odpowiadała na morały. Pewnego dnia przyszła z mężem. Stryj strzelił dwa razy z kawaleryjskiego mauzera, lecz chybił, bo zapomniał ze zdenerwowania nałożyć okulary. Nim znalazł szkła, kobiety wszczęły lament. Stryj machnął ręką, rozładował pistolet i pozwolił nowemu mieszkać. Zięć szurnał nogami i przedstawił się jako „zastępca sekretarza komornika”. Pewne, że stanowiskiem stryja nie olśnił. Raczej zadziwił głową, bo pod pół kotleta wypił na poczekaniu litr. Zmiękło dragońskie serce. „Jak już przyszedł, to niech zostanie...” Stryj westchnął i nawet nie zapytał, gdzie się młodzie poznał i w jakich okolicznościach. Plotki na ten temat krążyły rozmaite. Ja mam pogląd ustalony. Niestety, za mało się jeszcze znamy, żebyśmy mogli się wtajemniczać

w sprawy najbardziej intymne. Najmłodsza, całkiem z innej gliny. Słynie z pilności w nauce, rozważli i rozwiniętego ponad istotne potrzeby biustu. Na punkcie kształtów strasznie obraźliwa. Za odpięcie stanika gniewa się już trzeci rok. Dobra dziewczyna, ale pamiętliwa, więc pomoc nie sposób. Żal mi jej serdecznie, męczy się w upały.

Dwie średnie też nie garbate ani kulawe, mają jednak poważne felery. Do młodszej przyplątał się dziwny zapach. Nie wiadomo gdzie i kiedy, przeszła kozłem. Podobno minie to po zamążpójściu. Szukamy więc amatora z przetrąconym powonieniem. Nie słyszałaś o kimś takim? Szkoda. Radziłem dać ogłoszenie w kurierze, ale ciotka krępuje się, zwleka. Sytuacja trudna, coś w rodzaju błędnego koła. I wreszcie Hipa, czyli starsza średnia. Z Hipą ciągle kłopoty, bo stryjostwo zapomnieli wyciąć jej adenoidy w porę. Hipa potrafi całą rodzinę postawić na nogi.

Było raz tak: wracam do domu i w pobliżu bramy spotykam zapłakaną krewną, do której wszyscy mówią „ciociu”.

- Co się stało? Czy cicię przejechał tramwaj? A może pogryzł pies? Teraz pełno wściekłych. Zawiozę cicię do weterynarza.

- Widać migdał? - podesunęła mi parasolkę pod nos. - Nie bądź za usłużny. Jesteś prawie dorosły, powinienes wiedzieć! Nie ma już Fela!

- Ciozia żartuje! Stryj? Tak nagle? Jezus Maria, chyba serce?

- A czy ja wiem, czy na serce? Czy od Hipy można się czegoś dowiedzieć po ludzku? Spotkałam ją pięć minut temu. „Wiesz - powiedziałam - takie mam zmartwienie. Zdun mi kuchnię rozebrał, mija tydzień, nigdzie łajdaka nie mogę znaleźć. Przez policję trzeba będzie szukać”. Na to Hipa: „Phi, takie zmartwienie, u nas tatuś umarł”. Zdążyłam tylko krzyknąć: „Co takiego?”, bo nieszczęsna sierota pobiegła dalej, pewnie dawać znać. To i wszystko.

Ciozia rozpląkała się, mnie też oczy podeszły wodą i niewyraźnie zrobiło się w sercu. Wszyscy lubili stryja, ale ja lubiłem najbardziej.

- Powiedz rodzicom, ja nie jestem w stanie iść do was na górę. Jedźcie jak najprędzej, tam same kobiety. Sumogrado pewnie już wynosi rzeczy (o mężu najstarszej mówiło się Sumogrado albo Ten. Gorszych epitetów rodzina nie znała). Biegnij, dziecko.

Rodziców nie zastałem. Napisałem więc dziesięć kartek drukowanymi literami: „UWAGA! PILNE! STRYJ NIE ŻYJE” I poprzyklepałem je na widocznych miejscach, przy telefonie, na stolach, na lustrze, w łazience oraz obok. Potem wymyłem kolana i poszedłem do stryjostwa na drugi koniec miasta.

Karawan jeszcze nie przyjechał. Na schodach panowała cisza. Zastukałem, gdyż w takiej sytuacji nikt przyzwoity nie korzysta z dzwonka. Takie rzeczy wie się od urodzenia. Minęło z dziesięć minut, zanim ta idiotka Hipa otworzyła drzwi.

- Dzień dobry. Czy jest stryj? Przepraszam, chciałem powiedzieć, czy można GO zobaczyć?

- Można.

W przedpokoju straciłem pewność siebie. Spocony, biegłem bez oglądania wystaw, żeby zdążyć przed karawanem, obracałem cyklistówkę w rękę. Potem cicho:

- Gdzie... jest... stryj?

Hipa spojrzała na sufit. „Kretynka - pomyślałem - na niczym się nie zna. Nawet stryj nie dostanie się do nieba bez załatwienia na ziemi formalności. W takiej chwili patrzy się pod nogi, a nie na lampę.”
Powtórzyłem ze złością:

- Pytam, gdzie jest? U siebie?

- Tak. Idziesz czy nie, bo gaszę światło.

Na palcach podszedłem do gabinetu. Hipa pierwszy raz w życiu postąpiła taktownie. Odczepiła się, zostawiła mnie samego. Zatrzymałem się przed drzwiami. W gabinecie paliło się przyćmione światło. Firanki były zasłonięte. Przez dziurkę od klucza nic więcej nie mogłem dojrzeć. Pachniało olejami. Wydało mi się, że z pokoju dochodzi jednostajny szelest. Może zapomniano zatrzymać staroświecki zegar na biurku? Przełknąłem ślinę i ostrożnie nacisnąłem klamkę. Zgrzytnął zamek, pisnęły zawiasy. Całe życie skrzypi coś na złość człowiekowi i nie w porę.

Stryj odwrócił głowę.

- A, to ty... Tak się zamyśliłem, że nie słyszałem, jakieś stuknął.

Zsunął okulary na koniec nosa i patrzył na mnie spod gęstych brwi. Przerwałem stryjowi czyszczenie broni, ulubione zajęcie, przy którym, jak mówił, odpoczywał i zapominał o latach. Na biurku kawalerski mauzer, potężny pistolet dużego kalibru. Po złożeniu z drewnianym futerałem bił donośnie i celnie jak karabinek.

- Myślałem... Hipa powiedziała, że stryj drzemie... Bo gdyby stryj spał, to poszedłbym sobie...

Plotłem jak skończony głupek. W gabinecie nie było ani łóżka, ani kanapy. Od czasów wojny stryj nie sypiał na podłodze. Powoływanie się na Hipę wystawiało mi jeszcze gorsze świadectwo.

- Bo, ja tylko, tego właśnie...

Stryj wytarł palce w lnianą szmatkę. Był bez kamizelki, wiśniowe szelki zwisały swobodnie.

- Chodź, cóż to za nowa moda sterczeć w drzwiach? Przeszedłeś wietrzyć pokój?

Stałem przy biurku. Stryj wprawnie składał pistolet. Patrzyłem i przyjemnością na oksydowane, połyskujące tłuszczem części. „Mój mauzer - zapomniałem już o karawanie, makabrycznych plotkach i o kompromitacji z klamką - wszystkie pistolety będą moje. Dostanę też stryjowską szablę i laskę z gwizdkiem”. Po sześciokrotnym pudle stryj na mnie przelał uczucia. Czy można kochać same córki? Można, ale bez przyjemności. Głupim babom nie można jednak dawać broni do ręki. Gdyby nie protesty matki, miałbym od dawna belgijską „piątkę”. Na wspomnienie matki oblałem się zimnym potem. Rodzice! Przyjdą lada chwila! Na pewno z wieńcem!

- Już sobie pójde, stryjku. Mam lekcje do odrobienia.

- Lekcje, mówisz? A mnie się zdaje, że przygnała cię jakaś pilna potrzeba? W twoim wieku... - stryjowi myliły się ciągle lata i klasy. Pamiętał, że po jednym uderzeniu bykiem dyrektor klapnął jak naleśnik

i pedle musieli go cucić amoniakiem. Zauważywszy, że stryj sięga po sakiewkę, dyskretnie odwróciłem głowę. - To w formie pożyczki.

Stryj uśmiechnął się i podał mi srebrną monetę z profilem pani Morstinowej. Ucałowałem stryja i wybiegłem z pokoju. Hipa w jadalnym prasowała bluzkę. Postanowiłem poświęcić kuzynce kilka chwil.

- Widziałaś dzisiaj ciocię?

- Co cię to obchodzi?

- Daj dwa złote. Oddam ci, no, dawaj prędko.

Zamierzyła się żelazkiem. Była starsza, silniejsza i do tego wariatka. A wariactwo dwoi siły. Musiałem być ostrożny. Nic mi nie przychodziło do głowy.

- Daj mi konfitur z róży.

- Paszoł won!

- Ach, tak? Dobrze. Popamiętasz. Zrobię siusiu i wychodzę.

- Podnoś deskę! - krzyknęła za mną jak ostatnia chamka.

Wróciłem z pomysłem.

- Do widzenia, Hipo. Właściwie bardzo cię lubię, bo masz dobre serce. Może znajdziesz trzy pięćdziesiątki?

- Lizus i żebrak.

- Zamknij za mną drzwi. Nie chcę trzaskać zamkiem. Aha, skąd w klozecie cętkowane jajko? Nie ruszałem, może ktoś położył specjalnie? W zeszłym tygodniu jeszcze go nie było.

- Jajko?

- Ehe, jajko. Jak mówię jajko, to nie mandarynka. Zielone w czerwone cętki. Serwus, muszę pędzić - nałożyłem czapkę. - Wpadnę któregoś dnia, to pogadamy. Fajniejszej Hipy w ogóle me znam, wiesz?

- Gdzie leziesz? Zaczekaj.

- Ostatecznie... Wyłącz żelazko. Możemy iść.

Puściłem Hipę przodem. Oczy jej wyłaziły jak żabie. Rwała się do cętkowanego jajka. Widocznie nigdy nic nie znalazła w klozecie.

- Kłamca! - krzyknęła. - Oszust!

- Ślepa molfa! Patrz tam! Leży w kącie za szczotką!

- Ojej, jakie śliczne i duże. Co to może być?

- Jajko. Pewnie dziecięcia, wiesz, takiego nakrapianego. Czy już policzyłaś cętki?

- Raz, dwa, trzy...

- Jeżeli parzysta, to się wyklucze dzięcioł. Z nieparzystej wydziobie się samica.

Zamknąłem drzwi na klucz.

- Co ty robisz?

- Idę po pudełko z watą. Zrobimy gniazdko dla dzięciołka. Zaczekaj chwilę.

- Otwieraj! Świnia, świnia, świnia!

- Nie szarp klamki, bo powiem stryjowi, co robiłaś z żołnierzem na schodach do piwnicy.

- Otwieraj, kłamco! Dlaczego się nie odzywasz?

- Namyślałam się, jak o tym powiedzieć stryjowi. Nie chciałbym, żeby ci zrobił coś bardzo złego.

- Przyjdzie mama, dostaniesz złotówkę. Teraz nie mam drobnych, słyszysz? - przestała walić w drzwi. Po doświadczeniu z najstarszą stryj stał się ogromnie uczulony na zachowanie się młodszych.

- Siadaj i bądź cicho. Nie zaglądać do środka, bo popsujesz dzięcioła. Idę po pudełko - cicho przekręciłem klucz w drugą stronę. Odszedłem, zostawiając drzwi otwarte.

- Ale wracaj prędko!... - prosiła Hipa. Każdemu rura zmięknie, jak siedzi i nie wie, co go czeka dalej.

Rodziców doczekałem się przed domem. Przyjechali czarno ubrani. Ojciec chrząkał i co chwila energicznie przedmuchiwał „nos. Matka miała wielką ochotę na solidny atak serca.

- Wszystko kłamstwo! - krzyknąłem po odjeździe dryndy.- Stryj jak rybka!

- Hipa? - spytał ojciec.

- Hipa.

- Boże wielki - westchnęła matka - ona wpędzi nas w chorobę przed śmiercią.

- Niech mama da te kwiaty. Może stryj zobaczyć z okna i pomyśli, że to nie on umarł, lecz ktoś z nas. A ta Hipa całkiem dzisiaj zwariowana, co słowo to bujda na resorach.

Rodzice zupełnie roztrzęsieni poszli na górę, a ja pobiegłem do kwiaciarni. Wspaniała kobieta podniosła się zza kasy. Zobaczywszy firmowy papier, usiadła. Wytłumaczyłem, że zaszła fatalna pomyłka.

- Przyjmie pani wiązanekę, czy mam stanąć przed sklepem i sprzedawać na sztuki?

- Za pół ceny - zachęcająco brzęknęła bilonem.

Zgodziłem się natychmiast. Kwiaciarka wydeła usta i pokwitowała zgodę spojrzeniem pełnym politowania.

- Do handlu masz za prędko język, kawalerze.

Wyplaciła należność, dodając z dobrego serca złotówkę. Postanowiłem, że tylko w tej kwaciarni będziemy kupować od dziś. Wracalem podskakujac. Nie ominalem zadnej wystawy. Szedlem przez dzielnice „Sprzedazy futer”, „Wyrobów futrzarskich” i „Konfekcji futrzanej”. Usmiechalem sie do lwów i tygrysów z szylców i wywieszek. Potem obejrzałem fotosy przed „Forum” i „Metro”. No, a stąd miałem dwa kroki do „Muchy” i „Reny” na Długiej. Co chwila śliniłem dłoń i przyglądałem włosy. Robiłem miny i pytałem przechodniów o godzinę. Kobiętom w średnim wieku proponowałem przeprowadzenie przez jezdnę, bo „dzisiaj jest dzień staruszki”. Szarmancko zrywałem czapkę i krzycząc „Dobry wieczór, babciu!” kompromitowałem obce panie idące w męskim towarzystwie. Zatrzymywałem się z zadartą głową, mówiłem: „Oho, a tam jeszcze jeden!” i ręką pokazywałem na niebo. Zebrawszy kilkunastu gapiów, szedłem dalej. Chodziło mi się doskonale. Stryj jak rydzyk, Hipa z jajkiem na sedesie, srebro w małej kieszonce zapiętej na dwa guziki. I do tego wieczór taki piękny. Światła, szum, gwar, turkot i dzwonięnie. Na dachach i ścianach kolorowa gonitwa neonów. Przedłużałem drogę. Kluczyłem. Wyobraźnia podsuwała obrazy, sytuacje i spotkania. Znudzony jazgotem tłumu, skręcałem w bocznicę i przebiegałem je parokrotnie. Odgłos kroków ożywiał kobiety stojące po bramach jak posągi w niszach. Były piękne i grzeczne. Pachniały talkiem. Polowałem na twarze i sylwetki. Kobięty rewanzowały się propozycjami, od których rozpalały się uszy. Magiczne, dziwne słowa pętały nogi. To wszystko miało coś wspólnego z maciejką. Działa tylko pod wieczór, w mroku.

Chodziłem, aż wychodziłem całą energię. Wtedy osowiały poczłapałem do domu. Rodzice wrócili na szczęście jeszcze później, lecz o wymówkach pamiętali. O wszystko mieli pretensje. O kartki, które ponalepiałem w mieszkaniu, o kwiaty (bronilem się, że takich kwiatów nie stawia się w wazonie), o Hipę, bo głupia dostała spazmów i musiała brać krople, o smród w mieszkaniu stryjostwa, choć to właśnie ja ostrzegałem Hipę, żeby nie dłuwała w jajku!

W łóżku marzyłem wszystko od początku. Pragnąłem, żeby jak najprędzej znalazły się przy mnie kawaleryjska „dziewiątka”, belgijska „piątka”, bębenkowy „Smith-Wesson” i stryjowska szabla. Trochę było mi żal cętkowanego jajka, ostatniej pisanki wielkanocnej. Zawsze nosiłem ją w kieszeni. Nie przypuszczałem, że przyda się na Hipę. Ale nowa Wielkanoc była już tuż, tuż!... Równie gwałtownie przypominałem sobie sylwetki kobiet.

Aż wszystkie przepłoszyła - zgadnij kto? No, oczywiście, kwaciarka! Kwaciarka wywijająca dragońską szablą stryja Fela! Dlatego, że blondynka? Zanim zrozumiałem, o co chodzi, chodziłem w potach jak po lipowym kwiecie. Na długo straciłem spokój. Przyciągało mnie spojrzenie kwaciarki. Co takiego? Ależ, Elka! Przecież to była stara baba! Na pewno po trzydziestce!

- Muszę na chwilę przestać słuchać.

- Pamiętaj o „Szwadronie Elby”!

Pobiegła. Kiedy wróciła, zapytałem:

- Widziałaś przodków-szwolężerów? Pistolety, co?

- Bardzo śpieszyłam się w obie strony.

- Jesteś kochana.

- Gdzieś bardzo blisko kwitną kasztany...

Elka przeszła przez smugę księżycy i okręciwszy się firanką, wyjrzała oknem.

- Ostrożnie, na parapecie rozdarta blacha, możesz się skaleczyć. Tam nic nie kwitnie. Dwa bzy rosną przy śmietniku, lecz trzymają się ustalonego porządku. Kwitną na Stanisława, czasem dopiero na Zofię, nigdy na jesieni.

- Tylko na wiosnę. Nieinteresujący bez - Elka puściła firankę.

- Zmarzłaś. Księżyc nie słońce.

- Ale też robi swoje. Jestem znów pełna ciekawości. Mogę słuchać od początku. O ile masz ochotę opowiadać?...

- Nie mogłem się tej szabli doczekać. Wyrosłem z portek, przebaczone mi cętkowaną pisanekę. W sekrecie przed matką i pod słowem, że z pistolecika nie zrobię użytku bez telefonicznej zgody stryja, dostałem upragnioną belgijską „piątkę”. Podarował mi stryj także laskę, dziwaczną i staroświecką. Pierścienie z rogu jasne i czarne, nanizane na stalowy pręt. W rogowej rączce gwizdek o przenikliwym głosie. Całość giętka, przylepiona do ciała, podobno niezawodna broń w pewnym ręku. Pracowite cudactwo, wydumane „u czorta na kuliczkach”.

„Niemieckie karabinki i lance, siodła rosyjskie i kanadyjskie, rosyjską broń krótką i rosyjskie dragońskie szable - cenili najwyżej prawdziwi kawalerzyści. Wybrałem moją z paru setek szabel. Wyważona, nadąza za wzrokiem, łagodna, nie szarpie ręki. A stal!... Ej, jaka stal! Znamy się dobrze, całą wojnę razem... Będzie twoja...” - mówił stryj i rozstanie z szablą odkładał na później. Wraciałem do domu, a szabla do stryjowskiej szafy. Za ciężka była jeszcze do mojej ręki.

Stryj „nie liczył portek w taborach”. Zapytany o wojnę, namyślał się nad każdym słowem, bo „głupstwo palnąć łatwo” Koncentracje i mobilizacje nic nie znaczą, wyjaśniał, wojna zaczyna się od palenia wojskowych składów. Kwatermistrze puszczaają z dymem to, co skradli. Dopiero potem przychodzą tajne rozkazy i pułki galopują w pole. Omówiwszy złodziejstwa dostawców i kwatermistrzów („Ech, kradli, sukinsyny, ech!...”), przypomniał słynną dostawę barankowych czapek („szyli, złodzieje, z rozciąganych na mokro skórek. Po pierwszym deszczu żołnierz mógł taką czapkę nałożyć na palec... Afera idąca w miliony rubli!”), stryj dłuższą chwilę poświęcał ówczesnym cenom. „Za rubla...” Wojenne wspomnienia utykały na dzisiejszych ciężkich czasach.

Pewnego lata pułk manewrował w Polsce. Dragoni ćwiczyli przeprawy na Wiśle. Woda zabrała kilkunastu. W nagrodę za udane „pływanie” pchnięto pułk pod Warszawę. Stanęli na peryferiach Pragi. Bazar był blisko. Kiedy puszczone od koni, wojsko ruszyło między baby targować wypitkę i zakąskę. Stryj czuł się fatalnie. W carskim mundurze stał - było nie było - na „nie mszczonych kościach Pragi”. Spodziewał się, że mu ktoś krzyknie: „Moska!” albo zaśpiewa: „Temu pierwszy w łeb wypalę przed kościołem Karmelitów!” Obyło się jednak bez wypominania przeszłości i historycznych połajank. „A toż nasze przebrane za Ruskich!” - krzyknęła przekupka. W dragonach służyło wielu Polaków więc w ojczystym języku dobijali targu. „Wiedz, że za dwadzieścia kopiejek...” No i tak. Kto

miął pieniądze, kupował, czego zapragnęła dusza, a kto nie miał, pocieszał się, że tylko pieniędzy do szczęścia mu brak.

Bywało, mimo rubli, stryj zsiadał i wsiadał na koń głodny. Żołądek wisiał na dobrym niuchu. Trudno jednak niuchać, jak pali się wszystko dokoła i Kozacy przepędzają ludność z miejsca na miejsce.

Niemiecka ofensywa zaskoczyła pułk. Bawarzy przerwali front i wyszli na tyły dragonów. Ci, nic nie wiedząc, czekali rozkazów. W końcu oprzytomnieli, wyrąbali się z otoczenia i forsownym marszem dogнали dywizję. Dragoni winili generałów, że biorąc nogi za pas, pułk zostawili pod opieką Trójcy Przenajświętszej. Okazało się wkrótce, że prawdziwymi sprawcami niepowodzenia są Żydzi z miasteczka leżącego na trasie odwrotu. Ich to bowiem chwytały Kozacy i wieszali z ogromnym pośpiechem. „Zdziwiłem się - mówił stryj - bo dostaliśmy lanie o dobre sześćdziesiąt wiorst od miasteczka. Zwróciłem się przeto do Kozaków: Ech, bracia, wieszacie chyba nie tych? Kozacy mi na to: A co dla Żyda sześćdziesiąt wiorst?” Stryj przerwał, skorzystałem więc z okazji, zacząłem dopytywać się o walkę z Bawarami. Stryj Felo bawił wciąż w galicyjskim miasteczku. „I Żydówki też wisiały. Ale tylko stare. Nie przypominam sobie, żebym coś uczciwego znalazł do jedzenia. Po Kozakach zostawało mało. Złoto zaszywali w siodła.” Zabrnęliśmy w dyskusję o siekierach, bo walkę z Bawarami porównał stryj do „rąbania smolistej karpki tępą siekierą” ... Epicki miał sposób opowiadania. Uroki drobiazgów odciągały go na kilometry od tematu. O powrót nie kłopotał się nigdy.

Coraz rzadziej myślałem o szabli. Doroślałem. Aż tu nagle dzwoni stryj: „Przyjeżdżaj!” Zachciało mi się szabli od nowa. Wciąż była przyciężka, nie na moją rękę. Patrzyłem rozognionym wzrokiem, co wyprawia stryj. Krótco ujął wodze, kolanami ścisnął siodło i wspiął się w strzemionach.

- Ura! - wrzasnął i okropnie ciął od ucha. Zafurkotało powietrze. Potem błysnęło i rozległ się huk. Światło zgąsło, żyrandol gruchnął na podłogę. - Strasznie te mieszkania teraz niskie. Wszędzie tandeta, bo kradną. A szabla jeszcze dobra... Śpiewa pełnym głosem. Niespokojny byłem, długo stała w szafie. Trzeba ci wiedzieć, że stal też choruje, tak jak perły lub turkusy.

- Stryju, ciocia krzyczy z jadalnego.

- Hę? Nie słyszę... - stryj namacał lichtarz i zapalił świece. Uniósł światło. - Widzisz? Mosiężne łańcuchy przecięte jak topuch.

- Z tego będzie pożar - krzyczała ciotka w przedpokoju. - Czy po straż dzwoniłeś?

- Jak telefonować, kiedy nie ma światła? - mówiła Hipa.

- Lepiej wyjść z mieszkania, bo jak zajmą się schody, spalimy się żywcem - radził Sumogrado.

- Ani mi w głowie, żeby rozkradli... Strażaków też ktoś musi przypilnować, bo obcy ludzie.

- A dlaczego się jeszcze nie pali? Pewnie wybuchnie z większą siłą!

Stryj oglądał głownię. Przejechał palcem po ostrzu.

- Ani ryski. Znajdź mi dzisiaj taką, taką stal! - Potem do zięcia: - Marsz po korki!

- Pożar odwołany - Sumogrado wybuchnął śmiechem i pobiegł zmienić bezpieczniki. Po drodze otarł się o Hipę. Krzyknęła:

- Jaka lepka ręka!

- Bierz ją - powiedział stryj Felo. - Sam widzisz, zostawić nie ma komu.

Okręciłem szablę gazetami i poniosłem do domu. Tym razem nie wałęsałem się po mieście. „Co masz takiego długiego? - śmiały się dziewczyny. - Ej, kawaler!” Przyśpieszyłem kroku, wołały za mną rozbawione: „Ale w papierze!” Skończyły się zachwyty. Powiesiłem szablę nad szezlongiem, skrzyżowawszy głownię z pochwą. Ciocia, której zdun rozebrał kuchnię, zaprotestowała przy pierwszej okazji.

- To coś ma udawać karabelę? Felo zupełnie zwariował. Proszę natychmiast spiłować imperatorski gneciuch na rękojeści. Najlepiej byłoby całą szablę przerobić na Księstwo Warszawskie.

Następnego dnia przyniosła ryngraf i osobiście przybiła nad szablą, „żeby prawostawiem nie zajeżdżało od ściany”.

Stryj zachodzi od czasu do czasu. Popatrzy, powie „właśnie” i bardzo jest rad. Przestałem dostrzegać szablę, zalazła jednak głęboko. Uparłem się na artylerię, bo tylko w tej podchorążówce donaszano rosyjskie szable w czarnej pochwie. Opowiadać o szabli nr 105? Paradowałem z nią przez trzy kwartały.

- Trzy kwartały? I chcesz mi opowiedzieć dzień po dniu? Po co? Ile szabel w domu? Tylko jedna?

- Mogę pokazać Lornetkę. Zwróć uwagę na artyleryjską podziałkę. Lornetka wisi obok etażerki.

- Powiększa? Ośmiokrotnie? Cudownie, to mi wystarczy w zupełności.

- Elka, bardzo cię proszę, sąsiedzi...

- Dobrze, dobrze... - cofnęła się w głąb pokoju i skierowała szkła na okno. - Mimo podziałki nie widzę ani armat, ani artylerzystów. Jakaś blondynka z wielkim przejęciem pierze biust w miednicy.

- Tam nawet w niedzielę wstają wcześnie. Ojciec blondynki powtarza do znudzenia, że „tylko Cygan śpi do jedenastej”.

- Czy ona musi w oknie? Łazienki tam nie ma?

- Popsuta.

- Biust też.

- Mówiłem, doskonały punkt, stąd wszędzie blisko. Podglądasz córkę znakomitego ginekologa. A co do biustu, to mój stosunek jest nadal młodzieńczy. Zachwyca mnie sam fakt istnienia.

Elka opuściła lornetkę i wykonała energiczny zwrot w moim kierunku.

- Żadnego porównania - przyznałem lojalnie.

- Nie ma sensu sterczeć nad czajnikiem. Woda dopiero letnia. Wracajmy do siebie. Porozmawiamy, dobrze? Chciałam o coś zapytać? Właściwie wszystko jedno o co. Mów o Hipie.

- Wysłała za męża. Mamy więc teraz w rodzinie Hipka.
- Rodzinne tematy usposabiają mnie znakomicie. Hipa za Hipkiem? Rozczulające.

A jednak spadała.

- Zupełne skretynienie. Wiedziałam, że tak będzie!
- Och, nie myśl tylko, że to jakiś znak.
- Natychmiast postaw szablę w kącie. Wsadź ją za piec! Czy myślisz, że stryj po każdym Bawarze szablę dezynfekował?
- Nie myślę.
- Gdzie woda utleniona? Lej więcej!

Wypięta i zirytowana, przez ramię zaglądała w lustro. Było to w poniedziałek. Przy śmietniku zakwitły anemiczne wyblakłe bzy. Od pierwszego poniedziałku minęło prawie trzy kwartały. W tamten poniedziałek w obawie przed plotkami Elka przyniosła o zmroku drobiazgi pierwszej potrzeby. Resztę rzeczy wnieśliśmy we wtorek, a po zapomniane pojechaliśmy w środę. I tak dzień za dniem, aż zrobiła się wiosna i przysłała razem z ciepłem moda na dwuczęściowe kostiumy kąpielowe. Po zużyciu zapasu wody utlenionej poszliśmy do firmy Plihal na Nowy Świat 19.

Nim wypaliłem paczkę „Śląskich rarytasów”, ekspedientka wezwała mnie na pomoc.

- Pani z plastrem prosi pana do kabiny.

Biedna Elka. Czerwona i spocona stała przed lustrem w pomarańczowym kostiumie w granatowy deseń. Kostium granatowy z pomarańczowym wzorem trzymała w ręku.

- Sama nie wiem, albo ten, albo tamten. Tylko te dwa mają jaki taki wygląd.

Zauważyłem ze zdziwieniem, że do plastra przylepiła się karteczka, używana przez pocztę: OSTROŻNIE! NIE RZUCAĆ! SZKŁO! Ekspedientka nie odrywała oczu od dolnych partii Elki.

- Proponuję porównać kostiumy. Co innego na figurze, co innego w ręku.

Ekspedientka połapała się od razu.

- Ależ z największą przyjemnością. Przebiorę się w sąsiedniej kabinie i zaraz przyjdę.
- Dziękuję. Nie będziemy pani fatygować. Już się zdecydowałam.

Kupiliśmy kostium pomarańczowy z granatowym. Oddał nam wielkie usługi, bo lato było upalne i każdą wolną chwilę spędzaliśmy nad wodą.

Zła wróżba - spadająca szabla nie wróży nic dobrego - przypomniała się bardzo prędko. Powiedzenie „narożny dom, numer nieparzysty, z bramy na lewo” straciło wszelki sens. Nikt tam nikogo już nie zaprosił. Ani ludzi, ani rzeczy, ani pokoju z widokiem na bzy, ani nawet szabli. Elka wyniosła ją z domu

podczas mojej nieobecności. Może zakopała, może wyrzuciła? Później, kiedy wróciłem, szablą po stryju nikt sobie nie zaprzętał głowy. Od uśmiechu trudno się powstrzymać: rosyjską szablę chować przed Niemcami! Blizny trwalsze od murów? Jeśli nawet prawda, to co z tego? Mógłbym zadzwonić któregoś dnia do Elki: „Czy został jakiś ślad? No, tam, gdzie był kiedyś plaster i nalepka «szkło?»” Ale po co? Jakże pytać o część ciała sprzed dwudziestu kilku lat. Bo przecież w tamtą, nie w tę, uderzyła szabla. Dosłownie w oczach wszystko robi się zupełnie inne.

Elka opowiada - a wspólni znajomi, których nigdzie nie brak, chętnie powtarzają - że bujda na resorach zlepiona z faktów dowolnie wybranych. A fakty? Podobno macha ręką. Otóż, daję słowo, że szabla wisiała nad tapczanem, że kupiliśmy kostium pomarańczowy z granatowym wzorkiem, że okno pokoju wychodziło na południe.

Podnoszę słuchawkę. Nakręcam dziewiątkę, szóstkę, siódemkę, znów dziewiątkę i znów siódemkę. Sygnał normalny. Słyszę, dzwoni telefon w przedwojennym mieszkaniu. Czyżby wszyscy wyszli z domu? Zaraz ktoś powie „halo” albo „słucham?” Cierpliwości, jeszcze tylko chwila. Wrócę do pokoju z widokiem na bzy i śmietnik. Jeszcze dzwoni... Przy odrobinie szczęścia mógłbym samego siebie zastać w domu. Wtedy o wszystko rozpytam się dokładnie. Wspomnienia najpierw rosną w górę, potem wszcz. Co, u licha? Naprawdę nikogo tam nie ma? No, nareszcie!...

- Halo!

A więc coś z tego działa się naprawdę. Poprawiam się w fotelu. Na papier pada damski cień.

- Postaw datę.

Stawiam. Reszta później.

Warszawa, 14.V.1963

Okładkę projektował JERZY JAWOROWSKI
PRINTED IN POLAND

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1968 r. Wydanie III. Nakład 60 000 + 257 egz. Ark. wyd. 11,5 Ark. druk. 13. Papier druk. mat. kl. V, 65 g, 70X100 z f-ki we Włocławku. Oddano do składania w lipcu 1967 r. Druk ukończono w marcu 1968 r. Łódzka Drukarnia Dziełowa, Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 43. Zam. nr 397/A/67. N-41. Cena zł 9.-

